Joanna Jurgała-Jureczka

Historie zwyczajne i nadzwyczajne

czyli znani literaci na Śląsku Cieszyńskim

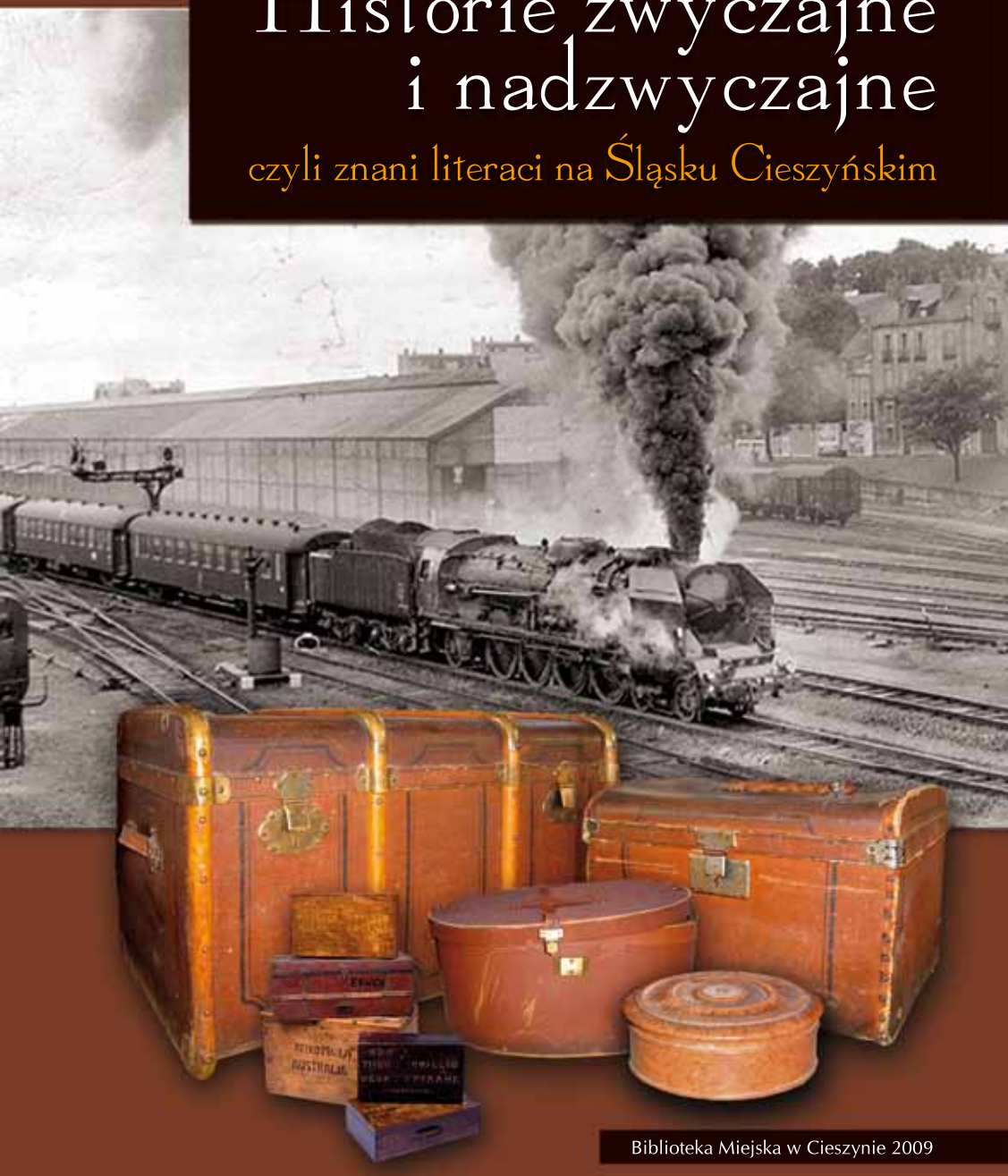

Biblioteka Miejska w Cieszynie 2009

Joanna Jurgała-Jureczka

Historie zwyczajne i nadzwyczajne,

czyli znani literaci na Śląsku Cieszyńskim

2009

BIBLIOTEKA MIEJSKA
W CIESZYNIE

Tekst:
Joanna Jurgała-Jureczka

Ilustracje i fotografie:
Biblioteka Jagiellońska w Krakowie
Muzeum Beskidzkie w Wiśle
Muzeum Literatury w Warszawie
Muzeum Zofii Kossak-Szatkowskiej w Górkach Wielkich
Zespół Szkół Ogólnokształcących im. M. Kopernika w Cieszynie
zbiory prywatne

Wydawca:
Biblioteka Miejska w Cieszynie
43-400 Cieszyn
ul. Głęboka 15
tel./fax 033 852 07 10
e-mail: biblioteka@um.cieszyn.pl
www.biblioteka.cieszyn.pl

BIBLIOTEKA MIEJSKA
W CIESZYNIE

Druk:
Oficyna Drukarsko-Wydawnicza AKANT
43-400 Cieszyn
ul. Kraszewskiego 9
tel. 033 85 22 650

OFICYNA
DRUKARSKO-
WYDAWNICZA
AKANT

Skład i opracowanie graficzne:
Hanna Gawlas

ISBN 978-83-915660-9-1

Śląskie.
Pozytywna energia

Publikacja
współfinansowana
z budżetu samorządu
Województwa Śląskiego

NA NOWO ODCZYTANE

Zofia Kossak napisała, że Ziemia Cieszyńska jest zrodzona z uśmiechu Boga, bo uśmiechał się Bóg, kiedy ją stwarzał. Gustaw Morcinek też napisał o uśmiechu – o tym, że ziemia bywa jak twarz ludzka, a nasza ziemia przypomina uśmiech młodej dziewczyny.

Słyszeliśmy, być może, te zdania już wielokrotnie, ale teraz na nowo trzeba je przeczytać i na nowo odczytać. Ziemi naszej, jak każdej ziemi na świecie przyglądali się i przyglądają ci, którzy jak Zofia Kossak, przyjechali tu z daleka i zobaczyli ją po raz pierwszy. Ziemi tej także przyglądamy się my, którzy tak jak Gustaw Morcinek, mieszkamy tu od urodzenia, ale nasza ojczyzna – ojcowizna wciąż na nowo zdumiewa swoją urodą. Może właśnie dlatego powracamy tu, nawet jeśli zawołał nas wielki świat. Powracamy, bo nasz dom jest naszym prywatnym sacrum i centrum świata.

Wołają nas ckliwe i nieco sentymentalne słowa o ojcowskim domu, który jest istnym rajem i wyśpiewana przez księdza Emanuela Grima – istebniańskiego proboszcza pochwała naszych groni, wśród których płonie serce i *człek czuje się sobą*.

Cieszymy się, kiedy przybysz, który przejazdem zajechał przed nasz dom, zechciał wejść i zasiedział się, bo żal mu było odjeżdżać. Dumni jesteśmy, kiedy nasza ojczyzna – ojcowizna na czas jakiś lub już na zawsze staje się jego ziemią.

Historie zwyczajne i nadzwyczajne, które przed chwilą, drogi Czytelniku, zacząłeś czytać, są opowieścią o przybyszach, którzy dawno temu lub współcześnie zajechali przed nasz dom i zechcieli wejść. Są to jednak szczególnego rodzaju przybysze – tacy, którzy nie tylko widzą i przeżywają, ale słowem odmalowują to, co zobaczyli i czego doświadczyli. Znani literaci – bo o nich mowa – z rozmysłem lub zupełnie przypadkowo trafiali na Śląsk Cieszyński. Ich przybycie było czasem krótką wizytą, czasem efektem zaplanowanej podróży lub życiowej tułaczki.

Dlaczego tu przyjeżdżali, dlaczego zostawali na dłużej lub odjeżdżali pospiesznie szukając innego miejsca? Kto i dlaczego ich tu zaprosił? Jak postrzegali nas i to, co nas otacza? Czy zauważyli, jak niepowtarzalny urok ma ziemia – nasza ziemia stworzona z uśmiechu?

Na te pytania spróbuję odpowiedzieć zapewniając jednocześnie, że nie proponuję pracy naukowej – proponuję raczej gawędę, ale dodam od razu, że jest ona efektem żmudnego badania źródeł i dokumentów. Najważniejsze z nich podaję w bibliografii mając nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto będzie chciał wiedzieć więcej, sprawdzić, upewnić się, uzupełnić i „doczytać".

Badacze i szperacze znajdą w bibliografii potrzebną do dalszych badań wiedzę, bo – zapewniam, żaden sąd i wypowiedź nie została wyssana z palca. Wszystko ma swoje odniesienie w wypowiedziach bohaterów poszczególnych rozdziałów, ich znajomych, przyjaciół a także historyków literatury, krytyków, badaczy. Szłam ich tropem i przetartą przez nich ścieżką, choć są i takie drogi i ścieżki, które udało mi się przejść samotnie i po raz pierwszy.

Ludzie, o których opowiem, mają swoje naukowe i mniej naukowe biografie, a ich twórczość doczekała się opracowań, sporów, ustaleń i poważnych sesji naukowych. Byli jednak żywymi ludźmi, byli zwyczajni i nadzwyczajni, zwyczajne i nadzwyczajne były zdarzenia, które dotyczyły ich samych i ich najbliższych. Zajechali przed nasz dom i zechcieli wejść. Opowiem o nich najlepiej, jak potrafię.

Zapraszam do lektury tych wszystkich, którzy chcą poznać „odbrązowionych" i prawdziwych pisarzy, kojarzących się uczniom ze spisem lektur obowiązkowych, sprawdzianami i odpytywaniem. Postaram się przekonać, że ludzie ci i ich losy są interesujące. Pisarze, o których opowiem mają swoje mniej lub bardziej mroczne tajemnice, słabostki i wzruszające epizody życiowe. Urzekły mnie ich przeżycia i życiowe wydarzenia, czasem zaskoczyły, więc próbowałam dociec ich przyczyn. Próbowałam zrozumieć, współczuć, wyobrazić sobie, stanąć obok. Chcę odtworzyć ludzkie losy na kartach tej książki, odtworzyć je dla każdego czytelnika, który zechce razem ze mną wyruszyć w podróż ulicami dawnego Cieszyna, Skoczowa i Wisły; beskidzkimi ścieżkami i szlakami. Tak jak oni przed laty, wyruszmy w drogę, bo tylko wówczas spotkamy dumnego i niedostępnego Juliana Przybosia, przerażonego górską przestrzenią Bolesława Prusa, „kochliwą niewiastę" – Marię Konopnicką, piszącego od nowa swoją najważniejszą powieść – Władysława Stanisława Reymonta i zauroczoną Górkami Zofię Kossak a także jej gości – Marię Dąbrowską, Jana Sztaudyngera, Melchiora Wańkowicza, Aleksandra Kamińskiego, Witkacego, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską i Magdalenę Samozwaniec.

Kto kocha człowieka – ułomność kocha

MARIA KONOPNICKA

Przeglądam archiwalny „Tygodnik Ilustrowany" z 1910 roku. Był to rok wielu ważnych wydarzeń, na przykład rocznicy grunwaldzkiej bitwy i rok śmierci Marii Konopnickiej. W gazetach zamieszczono wiele artykułów i fotografii, ona w trumnie wśród kwiatów, łóżko, na którym dokonała żywota, wyprowadzenie zwłok i wreszcie pogrzeb – huczny i tłumny. Fotografiom oczywiście towarzyszą artykuły, a treść ich jest patetyczna i wzniosła, opiewają przecież zasługi i dokonania tej, która pochylała się nad losem człowieka prostego, pisała o piwnicznej izbie i Jasiu, który nie doczekał. Pisała wierszyki proste, o niewyszukanych rymach – takie, które zapadały w pamięć i w serce, bo były to utwory wzruszające. „Tygodnik", który przeglądam donosi czytelnikom, że oto pękło wielkie serce i jak Polska długa i szeroka niesie się żałobna wieść *po cichych wsiach i ludnych miastach, po ziemi całej, w której otworzyste łono siała wielka pieśniarka ziarna miłości i piękna, i prawdy*. Szczęściem w nieszczęściu jest fakt, że zapamięta naród jej pieśń – czystą, równą, dopełnioną do miary wysokiej, jaką Bóg dał, bo ta pieśń zostaje z nami na wieki.

Egzaltowane i podniosłe deklaracje i słowa, obowiązkowe w takich przypadkach brązownictwo spotkało się po jakimś czasie z humorystycznym komentarzem Tadeusza Boya-Żeleńskiego – prześmiewcy, który zajął się „odbrązawianiem" pomnikowych postaci. *„Tygodnik Ilustrowany" wysłał do pewnego znakomitego pisarza bawiącego we Włoszech depeszę z prośbą o artykuł o Konopnickiej. Pisarz, który nic jeszcze nie wiedział o śmierci poetki, odpowiedział depeszą: „Czy umarła? Pięćdziesiąt kop. od wiersza." Wolff oddepeszował: „Umarła. Dobrze". Za czym w kilka dni nadszedł artykuł zaczynający się od słów: „Jak grom z jasnego nieba spadła hiobowa wieść"* etc.

Owym pisarzem przebywającym we Włoszech był Kazimierz Przerwa-Tetmajer, a artykuł nosił tytuł *Pieśń i czyn Konopnickiej*. Znalazłam tekst, o którym Boy pisał i ogłaszam, choć lubię jego sposób pisania – że tym razem minął się z prawdą. W zalewie pochwalnych artykułów ten był akurat dość wyważony, a nawet nieco uszczypliwy. Zawierał ciekawą sugestię, która, gdyby się nad nią głębiej zastanowić,

niezbyt wysoko stawia umiejętności literackie Marii Konopnickiej. Oto, co napisał poeta o poetce: *z jej wierszy można by ułożyć katechizm wiary dla niższej inteligencji polskiej, a ta właśnie jest przyszłością narodu. (...) Jeśli stanie jej pomnik, to grosze nań powinny w lwiej części iść z kalet chłopów, szwaczek, rzemieślników, a także nauczycielstwa ludowego, drobnych przemysłowców, niskich funkcjonariuszy i urzędników, ludzi mało lub średnio wykształconych, bo dla nich to właśnie Konopnicka pisała i do nich umiała przemawiać*. Z dzisiejszej perspektywy trzeba przyznać rację tym słowom. Tetmajer i jemu podobni pisali dla innego czytelnika, niż autorka *Roty*. Minęło prawie sto lat od artykułu i okoliczności, które jego powstanie wymusiły. Wiele się zmieniło. Przyznajemy, że Maria Konopnicka była jednak swego czasu jedną z najpopularniejszych pisarek. Jej wzruszające i patriotyczne wiersze opiewające krasę ojczystej ziemi, niedolę ludu, potęgę ducha narodu znajdowały wielu czytelników. Konopnicka, rzecz jasna, miała swoją ugruntowaną pozycję w spisie lektur szkolnych i całe pokolenia na jej tekstach uczyły się umiłowania ojczyzny i wielu innych pozytywnych wartości. Dziś jest inaczej. Mówi się wprawdzie o *Rocie*, krasnoludkach i sierotce Marysi, Koszałku Opałku, ale maleje grupa tych czytelników, którzy zachwycają się Konopnicką. Wielu badaczy przyznaje, że uchodzi już za „poetkę drugorzędną", że dziś razi jej egzaltacja, archaiczne słownictwo, natrętny dydaktyzm. Prus napisał o niej w notesie interesujące zdanie: *Konopnicka – słowik, który chciał wyśpiewać sonaty Beethovena improwizacyjnym żonglerstwem*. Myślę, że z perspektywy współczesnego czytelnika interesujące ze względu na tematykę i warsztat pisarski pozostaną jej nowele i opowiadania. Chyba warto inaczej spojrzeć na twórczość zapomnianej poetki i zobaczyć Konopnicką na nowo – tym razem jako prozatorkę. Oczywiście, nie ograniczmy się do *Naszej szkapy*, z której już od lat dworują kabarety, ale przeczytajmy na przykład *Martwą naturę*.

***

Mówiono o niej: wieszczka ludu, poetka proletariatu, niezwykła kobieta, Matka-Polka, człowiek gorącego serca. Umarła, ale oczywistym była konieczność umieszczenia cnotliwej i zasłużonej patriotki na pomniku, a nawet na pomnikach. Nie napisano w żadnym z żałobnych tekstów, że była kobietą pełną sprzeczności, że jej życie osobiste zawierało zdarzenia, które miały nie ujrzeć światła dziennego. Wśród nich doprawdy niewinny jest właściwy kobietom grzeszek fałszowania prawdziwej daty urodzenia... Cóż, Konopnicka odmładzała się czasem o cztery, czasem o sześć lat...

***

Oddajmy teraz głos tej, o której mowa. Ona sama powie o sobie, coś, co jeszcze bardziej zmąci i tak już niewyraźny obraz. Oto fragment poematu dygresyjnego *Imagina:*

Ale się lękam tak jak Mojżesz trądu,
Że po mej śmierci jakaś dłoń Judasza
Zacznie artykuł od słów: Znana nasza. (...)
Znana? Kto znał mnie? Chcę widzieć człowieka,
Co by mi w oczy powtórzył to słowo
Tak, by mu kłamstwem nie drgnęła powieka.
(...)
Ta brzoza, gaj ten i to kwiecie z głazem
Lepiej mnie znają niż wy wszyscy razem.

W tym miejscu z całą powagą zapewniam, że nie ośmielę się zacząć tej części mojej opowieści od słów „znana nasza". Cytat, który przytoczyłam trafnie oddaje stan naszej dzisiejszej wiedzy, a raczej niewiedzy o pisarce. W ciągu wielu lat po jej śmierci wiele się zmieniło. Można odnieść wrażenie, że współcześnie rozgłos pisarce przynosi nie jej twórczość, która, owszem, w dużej mierze czasy świetności ma już za sobą, ale... skandal obyczajowy. Dlaczego? Zaraz wyjaśnię. Jakakolwiek wyszukiwarka internetowa zawiadomi nas natychmiast, że, owszem, część informacji o Konopnickiej dotyczy nie szkół jej imienia i sympozjów naukowych; nie jej patriotycznych wierszy, wielce pouczających czytanek, wzruszających i egzaltowanych rymowanek. Część informacji dotyczy jej wieloletniej przyjaźni z Marią Dulębianką zwaną Pietrkiem. Niektórzy uważają, że znają odpowiedź na pytanie, kim dla niej była malarka i feministka, która zrezygnowała z dobrze zapowiadającej się kariery i towarzyszyła jej do końca, a kiedy koniec nastąpił, zorganizowała huczny pogrzeb z mniejszym, niż się spodziewano udziałem duchowieństwa.

Powiem od razu, że nie znam jednoznacznej odpowiedzi na pytanie – kim była. Nie znam odpowiedzi jednoznacznej i może jej nigdy już nie poznam, ale wspomnieć trzeba o tym fakcie, ponieważ Maria Dulębianka zwana przez Marię Konopnicką Pietrkiem, ma związek z tą historią, którą chcę opowiedzieć. Mówiono i pisano o niej: wierna, stara przyjaciółka o wybitnie męskim typie urody, nosząca męskie stroje i męskie uczesanie; ekscentryczna malarka, radykalna, jak na owe czasy, działaczka feministyczna. To pod jej wpływem autorka *Roty* zgodziła się przewodniczyć w 1907 roku w Warszawie Zjazdowi Kobiet Polskich, a kiedy przyjaciółka wygłaszała prelekcję,

która spotkała się z uszczypliwymi komentarzami, Konopnicka niespodziewanie porzuciła towarzystwo obradujących kobiet.

***

Odkąd zaczęła odnosić sukcesy literackie, Maria Konopnicka bardzo konsekwentnie budowała własny wizerunek. Współcześni specjaliści od Public Relations byliby zapewne pełni podziwu. Maria Szypowska, jej biografka przyznaje: *listy pisywała zawsze tak podniosłe, jakby z góry przewidywała, że będą opublikowane*. Jej tajemnic strzegły osoby najbliższe, Maria Dulębianka i córki – Laura i Zofia. Nie tylko broniły dobrego imienia w prasie, ale i dokonywały selekcji pozostałych po niej dokumentów paląc wszystko to, co mogło rzucić *nieodpowiednie światło na życiorys matki*. Mimo to przypomniano sobie, że publicysta Ludwik Krzywicki nazwał ją *niewiastą mocno kochliwą*, sam Sienkiewicz wyrazić się miał podobno, że jest *starą, wyróżowioną zalotnicą*. Byli i tacy, którzy mówili o niej *mężczyźniara*.

Zanim opowiem o jednym z epizodów, który mógł spowodować takie opinie, spójrzmy najpierw na beskidzkie gronie oczami przybywającej do nas w odwiedziny Marii Konopnickiej.

***

Ani wy nie Tatry
Ani nie Karpaty.
Ani po was sokół lata,
Halny wiatr skrzydlaty (…)

Nie sięgacie w chmury
Czołami z kamienia,
Ani jasna wam siklawa
Piersi ostrumienia (…).

Ale wy poklękły
Pod świerkowym borem.
Odziały się w maj nadziei
Wiośnianym kolorem.

Tak zachwycała się naszymi górami znana już wówczas i uwielbiana poetka w cyklu wierszy *Pod Beskidami,* zamieszczonym w „Gwiazdce Cieszyńskiej" w 1896 roku.

Pisała tak pięknie o górach, bo doskonale je znała, już wcześniej bywała w Suchej, Mikuszowicach, Jaworzu, Wiśle i Istebnej.

Podróżowała Maria Konopnicka bardzo dużo i można nawet powiedzieć, że wciąż ją coś gnało po świecie. Nieraz o chłodzie i o głodzie zasiedlała kolejne miejsca w zajazdach, hotelikach i gospodach. Czy szukała swojego miejsca, czy chciała poznać świat, czy może, jak sądzą niektórzy, przed czymś uciekała? Jedno z jej dzieci wywołało skandal w Warszawie i może właśnie dlatego córki się wyrzekła, wyjechała, by nigdy się z nią już nie zobaczyć. Helena, bo o niej mowa, była najmłodsza z licznej gromadki dzieci i miała siedemnaście lat, kiedy oskarżono ją o kradzieże. Nie oskarżono jej bezpodstawnie, bo została zdemaskowana i okazało się, że kradła w zaprzyjaźnionych domach i podczas procesu poszkodowane rodziny zeznawały przeciwko niej. Oskarżona upozorowała samobójstwo. Gazety podawały sensacyjne informacje. Matka Heleny wyjechała. Mówiono, że uciekła przed skandalem.

Obojętnie jaki był powód, zauważmy w tym miejscu, że wyjazdowi czy ucieczce zawdzięczamy jej liczne podróże i odwiedzanie naszych okolic.

***

Opowiadając o pobycie Marii Konopnickiej na Śląsku Cieszyńskim nieraz użyję słów: „prawdopodobnie", „podobno", „być może"... Są tacy, którzy utrzymują, że można użyć sformułowania: „z całą pewnością", ale lepiej bądźmy ostrożni.

Skoro „Gwiazdka Cieszyńska" wydrukowała cytowany już cykl wierszy *Pod Beskidami*, wiadomo, że autorka współpracowała z kierującym pismem księdzem Józefem Londzinem, więc być może przyjechała do Cieszyna. Być może... W „Gwiazdce" z 1896 roku napisano, że sławna poetka polska pragnąc zaznaczyć, jak się sama wyraża, *sympatię dla celów i usiłowań* gazety przesłała *dla pomieszczenia* kilka wierszy. Dalej następuje zapewnienie, że trafią one do serc czytelników i *bezsprzecznie wszystkim się podobać będą, bo dotyczą gór naszych śląskich.*

Paweł Zawada, nauczyciel, utrzymywał, że Konopnicka była w Istebnej. Podobno mieszkała u gaździnki o przydomku: „Majstrowa" na Kulonkach. Dzisiaj już tego domu nie ma, wspomina Piotr Majeranowski w artykule *Na tropach „Roty"*. Dom pełnił wiele funkcji, mieścił piekarnię i gospodę, pełniącą również częściowo rolę zajazdu. Ciotka „Majstrowa", czyli Anna Stańko z domu Małyjurek, podczas dziecięcych zabaw pokazywała karty świąteczne, widokówki i listy, a wśród listów były takie, które pisane były pięknym, różowo-fioletowym atramentem. Według ciotki „Majstrowej" były to listy Konopnickiej pisane do jej ojca.

Podobno zachwycała się śląskim strojem, pisała w liście, że kobiety na Śląsku ubierają się ślicznie, a podobały jej się *szczególnie gorsety złotą i srebrną lamą szyte.*

Mówiono też, że w Istebnej obejmowała wychodzące z kościoła góralki, wzruszona urodą ich zapasek i kabotków.

Z pewnością była w Wiśle, odwiedziła ją w lipcu 1896 roku – prawdopodobnie spędziła tu tylko jeden dzień. Zatrzymała się wówczas w niedalekim Jaworzu i szukała tu pokoju na dłuższy pobyt. Zniechęciły ją jednak prymitywne warunki, jakie panowały w tej wsi, skoro w liście do córki z 17 lipca pisała: *...pierwsza rzecz, mimo wszystko, do Wisły, bo tania. I prawda, tania zupełnie, ale pokoiki zupełnie pod dachem, bez podbitek, tak że żywica od gorąca topnieje na belkach*.

Wisła czekała wtedy na ludzi, którzy stworzą odpowiednie miejsca dla letników, na razie miała niewątpliwe zalety – było pięknie i tanio. I najwyraźniej nic poza tym.

Od tamtego spotkania z Wisłą minęło siedem lat. I wtedy właśnie wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazywały, że Maria Konopnicka znajdzie w niej dom. Dom, w którym zamieszka na stałe. Niewiele brakowało...

***

Był rok 1902 i zbliżał się jubileusz 25-lecia pracy literackiej poetki, a zamierzano obchodzić go hucznie i z wielkim rozmachem. W liście do syna Maria Konopnicka pisała: *Tak więc szykuje się jubileusz od nieba do ziemi*, a bliscy zauważyli, że jest odmłodzona, ożywiona *oznakami czci i miłości publicznej*.

Jak zwykle w takich wypadkach, powołano komitet organizacyjny, w skład którego wchodziło wiele znakomitych osobistości. Wśród nich nie mogło zabraknąć koleżanki ze szkoły, która z czasem stała się przyjaciółką – Elizy Orzeszkowej. Napisała do Konopnickiej, że cieszy się tym świętem. Sporo jest egzaltacji w zdaniu: *Jak ten chłopiec, który w czerwonej pelerynce za procesją idzie, idę, głowę wysoko podnoszę i dzwonię, dzwonię: Na klęczki! Cześć dawajcie!* I dbała o to, żeby cześć dawano, a oprócz czci i dary materialne. To ona właśnie relacjonowała Konopnickiej przebieg przygotowań, opisywała plany i chciała znać opinię jubilatki na temat proponowanych prezentów. Najważniejszy z nich i najkosztowniejszy to oczywiście dom. Dziś już do lamusa odłożono pomysł z jubileuszowym darem narodu dla zasłużonego literata. Słusznie czy nie – trudno przesądzać, ale jedno jest pewne – naród wytrwale gromadził składki, hucznie obchodzono jubileusz, co zwłaszcza w okolicznościach niewoli narodowej, miało wielkie znaczenie dla zamanifestowania uwielbienia dla polskich pisarzy.

Eliza Orzeszkowa wyraźnie starała się dyskretnie kontrolować, jak mają się pomysły znakomitego komitetu organizacyjnego do oczekiwań Konopnickiej. Dowiedziała się w ten sposób, że jest ona propozycją *srodze uradowana i wzruszona*. Cieszy się, że będzie miała swój *skrawek ojczystej ziemi*. Zwierzała się w jednym z listów: *Własny*

dach nad głową mieć po tak długim tułactwie. To przecież szczęście wielkie! (...) a może będzie i ogródek, choć mały.

Finalizowano już pomysł, który widać na początku przypadł do gustu autorce *Roty*. Chciano na zawsze już związać ją z naszą Wisłą, którą przecież znała już, którą się zachwycała i w której mogła, otrzymawszy dom, osiąść na stałe. Postanowiono kupić jedną z willi Juliana Ochorowicza, który budował je właśnie po to, żeby zainwestowane w ten sposób pieniądze odzyskać z nawiązką i przeznaczyć na swoje kontrowersyjne badania naukowe. Wszystko zmierzało prostą drogą do szczęśliwego zakończenia. Trzeba było tylko wpłacić zebrane pieniądze, ulokować Konopnicką na Śląsku Cieszyńskim, a my moglibyśmy się zapewne dzisiaj cieszyć kolejnym ważnym muzeum biograficznym na naszej ziemi. Pytanie brzmi – „kto", czy „co" stanęło na przeszkodzie i ostatecznie „wieszczka ludu" zamiast do Wisły, pojechała odebrać dar do Żarnowca? Oto relacja z brzemiennego w skutki posiedzenia: *Gdy przyszło do willi Ochorowicza w Wiśle, ogólne zapytanie: Jaka to willa? Czy wygodna? Czy ładna? Czy dobrze położona? Czy będzie na co przydatna? Postanowiono zapytać p. Papieskiego, który na wylot zna Wisłę*. Sprowadzono więc przed oblicze komitetu niejakiego Papieskiego, warszawskiego adwokata, który ostatecznie przekreślił szanse naszej Wisły, bo bez ogródek zreferował, co następuje: *willa nic niewarta; źle zbudowana, kurzem od bitej drogi wiecznie owiana, bez gruntu, bez drzew etc.* I w ten oto sposób nie dopuścił do jakże znaczącego wiślańskiego etapu biografii wieszczki ludu. W rezultacie Orzeszkowa napisała do Konopnickiej: *Czy Ty tej willi Ochorowicza chcesz? Podobno wielkie nic dobrego*, a sama zainteresowana powiadomiła córkę: *Zaszły jakieś zmiany, bo się rozmyślili, że ta willa Ochorowicza, którą już chcieli zadatkować, jest bez żadnego drzewka i przy drodze, na kurz wystawiona. Więc poniechali tego projektu i oglądają się za czymś bardziej wiejskim i cichszym.*

Czymś bardziej wiejskim i cichszym okazał się dworek w Żarnowcu...

***

Był taki czas w historii naszego narodu, że, mówiąc językiem nieco kolokwialnym, zapotrzebowanie na patriotyczne wiersze było ogromne. Wypadało je czytać, wzruszać się nimi, uczyć się ich na pamięć i zamawiać kolejne u wybitnych i nieco mniej wybitnych poetów. Cieszyńscy działacze narodowi nie ustępowali w niczym działaczom z innych regionów. Zanim powiem, jaki tekst zamówiono u Marii Konopnickiej, przywołam jeszcze inny tekst, który dziś już niewielu z nas rzuca na kolana, ale jest świadectwem tamtych niełatwych i pięknych czasów.

Dawno temu budowano w Cieszynie Dom Polski. Wielka to i patriotyczna była inicjatywa, nic dziwnego więc, że na tak uroczystą chwilę, jaką było otwarcie Domu,

postanowiono dokonać czegoś szczególnego. I dokonano – poproszono samego Kazimierza Tetmajera o napisanie wiersza, aby, jak wspomina Lucyna Kotarbińska (żona dyrektora teatru J. Słowackiego w Krakowie) *artysta polski polskiego poety słowy przemówił do zebranych*.

I tak oto stanął w miejscu byłego zajazdu Franciszka Schreinzera, okazały budynek w stylu eklektycznym, wybudowany staraniem Towarzystwa Domu Narodowego i stoi do dziś w centrum naszego miasta. Mieści się w nim Cieszyński Ośrodek Kultury, ale my nadal nazywamy go po prostu: „Domem Narodowym". Nie próżnowali nasi cieszyńscy przodkowie, nie próżnował i Kazimierz Przerwa-Tetmajer, a owoc jego pracy ogłoszono drukiem w „Gwiazdce Cieszyńskiej" z 1901 roku. Nosił dość oczywisty tytuł: *Wiersz na otwarcie Domu Polskiego w Cieszynie* i też w dniu otwarcia miała miejsce jego podniosła recytacja. Podniosła, bo wiersz jest podniosły do tego stopnia, że po pobieżnej lekturze niełatwo od razu rozszyfrować sens dramatycznych obrazów, w których aż roi się od rumaków, skrzydeł i krwi. Zaczyna się od słów:

Biały się rumak wspięty ciska
Nad płoty z mieczów i ścierniska,
Aż krew mu z rannych boków broczy –

Potem krew zamienia się w pióra *i rumak skrzydła wnet roztoczy*, wzniesie się zuchwały jak orzeł i ponad miecze wzleci tak wysoko, że u *stóp mu będą góry stały*. Wreszcie się rumak przeistoczy w Anioła, a czytelnik przeczyta wersy, które muszą zapaść w pamięć:

Bracia! To wolność, wolność idzie!
Próżno krew na żołdaka dzidzie…

Okolicznościowy utwór kończy się równie patetycznie, jak się zaczyna:

I zapytają: gdzie wam droga?
A odpowiecie: tak, jak dawniej,
Tak, jak przodkowie nasi sławni,
Idziem za ludy walczyć całe!

Proszę nie myśleć, ze nie doceniam wartości tego rodzaju wezwań, retorycznych pytań i uroczystych wykrzyknień. Doceniam je, ale w odniesieniu do czasów i okoliczności, w jakich je formułowano. Z punktu widzenia dzisiejszego odbiorcy pozostają jednak tylko świadectwem czasu.

***

Świadectwem czasu i utworem pisanym na zamówienie jest też najbardziej chyba znany wiersz Marii Konopnickiej – *Rota*. Kiedy powstała, dla kogo została napisana – na te pytania nie mamy do dzisiaj jednoznacznej odpowiedzi. Spory można streścić prostym sformułowaniem: naukowcy swoje, a tradycja swoje. Na stronie internetowej jednej z partii czarno na białym napisano, że *pieśń, która budziła polskość* została napisana dla ludu śląskiego, czyli dla nas. Bardzo chcielibyśmy, żeby miała rację ludowa partia, ale sprawa jest dość skomplikowana. Cytowany już Paweł Zawada utrzymuje, że z całą pewnością bywała poetka w redakcji „Gwiazdki Cieszyńskiej" i interesowała się żywo sprawą rozwoju poczucia polskości wśród Ślązaków. Pewnego dnia ksiądz Józef Londzin poprosił ją o krótki wierszyk, *który mógłby stanowić zew polski dla młodzieży śląskiej*. Prośba została spełniona. Zew polski dla młodzieży poznał cały naród. Znalazłam i dość odważne i oryginalne zdanie, którego prawdopodobieństwo jest już jednak mocno wątpliwe: *o powstaniu „Roty" rozpisali się ludziska i różne gazety i każdy twierdzi co innego, tymczasem faktem jest , iż „Rota" powstała w Istebnej na Śląsku Cieszyńskim (…) Wierszyk był pisany dla młodzieży śląskiej po zabawie w gospodzie*. Starałam się zrozumieć, czemu akurat po zabawie i w dodatku w gospodzie – i pomyślałam, że może dawniej zabawy w gospodzie miały dużo bardziej patriotyczny charakter, niż dzisiaj…

Lepiej chyba będzie, jeśli skupimy się na znanych nam faktach. Z całą pewnością *Rotę,* a więc pieśń, która o mały włos nie została hymnem narodowym, wydrukowano w „Gwiazdce Cieszyńskiej" w 1910 roku. W obliczu tego stwierdzenia można byłoby z dumą stwierdzić, że to była nasza *Rota*. Niestety, duma jest przedwczesna, bo oto ustalono, że wiersz wydrukowała „Przodownica" w 1908 roku. Nie wszystko stracone, bo można założyć, że napisała go jednak Konopnicka dla czasopisma „Gwiazdka Cieszyńska", o czym lojalnie poinformowała redakcja „Przodownicy", podkreślając, że miał on *podnieść ducha narodowego w Polakach śląskich, przechodzących obecnie ciężkie chwile*. Zresztą dedykacja autorki: *Ludowi śląskiemu* mówiła sama za siebie.

Dlaczego *Rota* wtedy nie ukazała się w „Gwiazdce Cieszyńskiej" i na publikację czekała dwa lata? Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że Konopnicka znała dobrze księdza Józefa Londzina może jednak utwór napisała na jego prośbę lub zamówienie. Tym bardziej dziwi zdanie, które podobno znalazło się w liście do redaktora „Gwiazdki", że przysłany do druku wiersz na Rok Grunwaldzki został napisany dla Wielkopolski, a wysłany na Śląsk, bo tu rodacy są równie prześladowani. Jak było naprawdę? Nie wiem. Listu i cieszyńskiego rękopisu *Roty* już nie ma. Przechowywany ostatecznie przez ks. Rudolfa Tomalę, nie był jedynym rękopisem tego utworu, ale był jedynym rękopisem „cieszyńskim". Zaginął niestety, kiedy po aresztowaniu księdza książki i wartościowe materiały schowano w młynie w Ropicy.

Pozostała legenda o *Rocie* napisanej w Istebnej po zabawie w gospodzie…

***

Ostatnia już część opowieści o Marii Konopnickiej dotyczyć będzie historii najciekawszej i najdramatyczniejszej. Dotyczyć będzie historii miłosnej.

Znana? Kto znał mnie? Chcę widzieć człowieka,
Co by mi w oczy powtórzył to słowo
Tak, by mu kłamstwem nie drgnęła powieka.

Zacytowałam raz jeszcze fragment poematu Marii Konopnickiej, żeby na nowo zapewnić, że nie ośmielę się stanąć w rzędzie tych, którzy uważają, że wiedzą o niej już wszystko. Wydawać by się mogło, że niewiele można jeszcze do jej biografii dodać, skoro lata całe pisano kolejne i kolejne opracowania, kiedy nagle ktoś znalazł w Cieszynie na Winogradzie (w okolicach ulicy Hażlaskiej) plik listów wyrzuconych na śmietnik. Listy miały nigdy już nie ujrzeć światła dziennego i nieodwołalnie pogrzebać tajemnicę Marii i zakochanego w niej młodzieńca, ale stało się inaczej. Znalazca wiedział, że w Cieszynie mieszka Ludwik Brożek – kustosz muzeum i miłośnik książek, staroci i dziwnych rzeczy, dla którego stare listy nie są godne śmietnika, a mogą stać się prawdziwym skarbem. I stały się skarbem, zapewne większym, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Odsłoniły tajemnicę Marii i zakochanego w niej młodzieńca i wzbudziły spory i kontrowersje. A teraz opowiem po kolei, co stało się dawno temu i miało związek ze Śląskiem Cieszyńskim.

***

Skoro o podbojach miłosnych legendarnej już prawie Matki-Polki mówimy, przytoczmy w tym miejscu fragment książki M. Szypkowskiej: *Niejedna osoba oglądając obecnie zebrane podobizny Konopnickiej mówi: „Taka brzydka! Przecież ona nie mogła się podobać!" Cóż, twarz Marii Konopnickiej na pewno nie przyciągała klasyczną urodą, ale mogła urzekać.*

Oj, mogła, mogła – i urzekła. Nie zawsze przecież była stateczną i leciwą matroną zza binokli obserwującą świat. Podobać się mogła jej twarz z zadartym nosem, kobiecy urok i wdzięk. Była, jak zapamiętano, bardzo miła, energiczna i, rzecz jasna, inteligentna. Nie bez powodu Eliza Orzeszkowa wspominała, że uchodzi ona w towarzystwie za jedną z najpiękniejszych kobiet, a przecież lata całe *siedziała na wsi, nieznana, prawie uboga, kłopotana gospodarstwem i dziećmi*. Teraz czterdziestoletnia kobieta urzekała mężczyzn.

***

Zaczęło się od zupełnie niewinnej znajomości. 30 lipca 1890r. pisała: *Graz jest tak fatalny, że wynoszę się stąd co rychlej. Jedna rodzina krakowskich Żydków Gumplowiczów złożona z ojca, profesora uniwersytetu i dwóch synów studentów – oraz matki cierpiącej na astmę.*

Na początku kontakty z rodziną przebiegały pewnie zwyczajnie i bez sensacji. Sensacje i nieporozumienia zaczęły się w momencie, kiedy Maksymilian Gumplowicz – doskonale zapowiadający się naukowiec, zaczął wyraźnie adorować pisarkę. Jego zachowanie wzbudziło energiczne działania rodziny, a zwłaszcza ojca, który trzeźwo zauważył, że wybranka syna jest ponad dwadzieścia lat od niego starsza, jest matką sześciorga dzieci i w dodatku ludzie mówią, że jest *niewiastą kochliwą* i ma nieślubne dziecko. Z całą pewnością nie jest więc odpowiednią kandydatką na ukochaną utalentowanego syna. Znamy najsekretniejsze myśli i poczynania ojca, ponieważ wszystko spisywał w szczerych listach, a listy te kierował do przyjaciela Józefa Piotrowskiego. Józef Piotrowski zaś, choć nie pochodził ze Śląska – wybrał Puńców pod Cieszynem na miejsce swojego stałego zamieszkania. I właśnie listy, w których zrozpaczony i zirytowany sytuacją ojciec relacjonował przebieg zdarzeń, są owymi listami znalezionymi na śmietniku. Zostały napisane w latach 1895-1896, a ich lektura pozwala poznać punkt widzenia jednej tylko ze stron konfliktu, bo – dodajmy – miłość ta doprowadziła do konfliktu, a w końcu i do tragedii.

Ludwik Brożek długo zwlekał z publikacją listów, które odsłonić miały tajemnicę Konopnickiej i powiadomić wszem i wobec o tragedii sprzed lat. Pokazał je podobno uczonemu profesorowi, który miał powiedzieć, że nie trzeba do życiorysu poetki dorzucać niechlubnego epizodu i byłoby *niepedagogicznie ukazywać poetkę w niewłaściwym (...) świetle*. Wobec takiego oświadczenia Ludwik Brożek listy schował. W końcu jednak chęć podzielenia się z innymi sensacyjną historią, a może i zwyczajne umiłowanie prawdy zwyciężyło. Po raz pierwszy przeczytał je w 1956 roku, a opublikował w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej" dwadzieścia lat później. Ponieważ, mimo naszych pobożnych życzeń, nie cała Polska czyta „Głos", zainteresował swoim odkryciem pisarkę z Warszawy – Krystynę Kolińską, a ona, jak sama stwierdziła, nie podchodziła już tak pryncypialnie do biografii Marii Konopnickiej jak ów profesor i nie uważała, że pisarz powinien być *kryształowo czysty, stanowić ideał i onieśmielający wzór do naśladowania*. W 1983 roku wydała książkę pt.: *Listy do niekochanych*, a jeden z jej rozdziałów opowiadał historię miłosną opartą na listach ze śmietnika na Winogradzie w Cieszynie. Kiedy po śmierci Ludwika Brożka Krystyna Kolińska pytała w cieszyńskim muzeum o rękopisy, które udostępnił jej kustosz, okazało się, ze pracownicy nic o nich nie słyszeli...

***

Zanim powrócimy do miłosnej historii, dłuższą dygresję poświęcić trzeba koniecznie temu, który poznał doskonale jej okoliczności i konsekwencje. Mam na myśli Józefa Zaleskiego.

Notatka encyklopedyczna mówi, że jego właściwe nazwisko brzmiało: Józef Piotrowski. Urodził się w 1850 roku we Włodawie, był polskim publicystą, z zawodu lekarzem. Mieszkał w dworku Zalesie we Władysławowie, później na żądanie władz carskich musiał opuścić teren Kongresówki. Przebywał w Stambule, pod Grazem, by w 1898 roku osiedlić się na Śląsku Cieszyńskim. Kupił gospodarstwo w Puńcowie. Opublikował liczne artykuły i broszury, poematy, a nawet powieść.

Kiedy represjonowany przez władze carskie szukał dla siebie i rodziny spokojnego miejsca, wyjechał aż do Turcji i tam właśnie spotkał profesora krakowskiej uczelni – Ludwika Gumplowicza, z którym się zaprzyjaźnił. Rozstali się, kiedy Józef Zaleski wyjechał, by w końcu na stałe osiąść w Puńcowie pod Cieszynem, ale wymieniali listy, między innymi te, które po latach trafiły na śmietnik.

Barwną opowieść o Zaleskim, a właściwie Piotrowskim i jego rodzinie usłyszałam u państwa Sobczyńskich mieszkających w Cieszynie w kamienicy przy ulicy Błogockiej. Kamienica ta ma bogatą przeszłość i można ją na pewno nazwać„domem z duszą". Mieszkała w niej Janina Marcinkowa – osoba znana w Cieszynie i poza nim. Była choreografem i kierowniczką artystyczną Zespołu Ziemi Cieszyńskiej i dbała bardzo o zachowanie nie tylko pamiątek, ale i dobrego imienia rodziny. Mówiono, że była „depozytariuszką tradycji." Publikacja „listów ze śmietnika" bardzo ją zdenerwowała i energicznie walczyła o umieszczenie stosownych sprostowań. Po pierwsze – utrzymywała, że publikacje listów, które adresowane były do jej dziadka, nieżyjącego już wprawdzie, należało uzgodnić z jego spadkobiercami. Po drugie – urażona była zamieszczonymi w książce Krystyny Kolińskiej niezgodnymi z prawdą informacjami. Broniła takiej wersji wydarzeń, zgodnie z którą nie rodzinę należy posądzić o niewłaściwe obchodzenie się z dokumentami, które znalazły się na śmietniku domu przy ulicy Hażlaskiej. Janina Marcinkowa wyjaśniła w „Kalendarzu Cieszyńskim" na 2000 rok: *w czasie drugiej wojny światowej, po aresztowaniach i eksmisji rodziny z domu przy ul. Błogockiej 12 w Cieszynie, listy, a także niektóre książki i dokumenty, ocalały dzięki ukryciu ich w spichlerzu na Winogradzie. Po wojnie znaczną ich część odzyskaliśmy. Część listów, które się tam zawieruszyły i których nie odebraliśmy, znaleźli późniejsi lokatorzy.*

Potomkowie doktora Zaleskiego pielęgnują pamięć o rodzinie, bo istotnie rodzina to była niezwykła. Słuchałam wzruszających i szczerych opowieści o przeszłości i może przyjdzie czas, aby do nich powrócić, ale dziś przywołajmy te, które dotyczą nieszczęsnych listów. Informacji potrzebnych do niniejszego opracowania udzieliła mi

pani Krystyna Sobczyńska – córka Janiny Marcinkowej. Swoją opowieść ilustrowała fotografiami. Zajmująco mówiła o tym, jaką dobrą i pokorną żonę miał Zaleski – rzuciła wszystko, by pojechać z nim w nieznane. Miał syna, który zmarł w dzieciństwie i dwie córki, piękne o subtelnych rysach. Obie wyszły za mąż tego samego dnia. Oglądam zdjęcia ze ślubu – welony młodych mężatek wysokie, tak, że mężowie przy nich wyglądają nieco niepozornie. Młode panny zaledwie nastoletnie (Stefania ma 18 lat, Jadwiga – 17), robią wrażenie szczęśliwych, a przynajmniej pogodzonych z losem, choć oba małżeństwa zostały zaaranżowane przez ojca niekoniecznie zgodnie z ich wolą. Dramatycznie potoczyły się losy córek doktora. Stefania – żona Franciszka Michejdy – spełniona i szczęśliwa w rodzinie, zginęła w obozie koncentracyjnym, a matka na jej powrót czekała i czekała...

Jadzia zaś niewiele zaznała radości w małżeństwie. Urodziła dzieci Antoniemu Marcinkowi z Winogradu – gospodarzowi, którego wybrał jej ojciec i po kolejnym porodzie już nie wstała z połogu. Oglądam fotografię zmęczonej i wymizerowanej kobiety, która niebawem urodzi syna, nazywanego przez rodzinę Jadzikiem, bo Jadzię przypominał najbardziej ze wszystkich dzieci. Jego losy i losy całej rodziny mogłyby stać się materiałem na kolejną opowieść. Powiem tylko, że i w tej materii autorce *Listów do niekochanych* zdarzyło się nie sprawdzić szczegółów, skoro napisała o tym, że gdy doktor Zaleski zmarł, pozostałe po nim papiery odziedziczyła Jadwiga Marcinkowa. *Schowała je na strychu, nie mając czasu ani chyba i ochoty przejrzeć je, przeczytać. Leżały tam przez lat wiele, aż do chwili, gdy pan Marcinek zdecydował, aby pozbyć się tych starych, nikomu niepotrzebnych papierzysk po zmarłym teściu.* Wystarczy napisać, że doktor przeżył Jadwigę, żeby stwierdzić, że cała ta część historii jest oczywistą nieprawdą. Uściślijmy – nieprawdą jest interpretacja i próba czytania między wierszami. Prawdą są natomiast listy i im teraz poświęćmy tyle miejsca, na ile zasługują. Drogi Czytelniku – oto szczegóły historii, o której świat miał nie usłyszeć. Przypadek sprawił, że stało się inaczej...

***

Józef Zaleski, a właściwie Józef Piotrowski otrzymywał systematycznie opisy miłosnych perypetii Maksymiliana Gumplowicza. Maksymilian był historykiem, robił karierę naukową i wróżono mu świetlaną przyszłość. Zapewne na taką zasługiwał, bo pracował intensywnie, do tego stopnia oddając się pracy, że ojciec później podejrzewał, że *padł ofiarą nauki* i *rozum mu się pomieszał*. Jak napisał Ludwik Gumplowicz w liście do Zaleskiego, nie był jedyną osobą w tej rodzinie, która miała podobną przypadłość. *Mój brat najstarszy miał różne takie bziki* – czytamy w dziwnym trafem ocalonych epistołach. *Teraz Maksymilian zadurzył się w starej babie Konopnickiej* – donosił

zrezygnowany ojciec próbując mimo wszystko przekonać egzaltowanego syna, że jego miłość nie ma przyszłości.

Syn nie przyjął tej argumentacji do wiadomości, więc ojciec szukał wsparcia u samej Konopnickiej. Odwiedził ją tłumacząc, że powinna przekonać Maksymiliana do zmiany obiektu uczuć, ponieważ ona sama... mogłaby być jego matką, jest przecież starsza od niego o, bagatela, 22 lata. Wypominanie wieku kobiecie nie jest posunięciem ani taktownym, ani dyplomatycznym. Nic więc dziwnego, że Ludwik Gumplowicz niczego tą wizytą nie osiągnął – wręcz przeciwnie. Obraził poetkę, obraził tym samym własnego syna, który odtąd stanowczo, uparcie i z podziwu godną determinacją domagał się przeprosin. Ojciec przepraszać nie zamierzał, a Zaleskiemu jawnie i szczerze przedstawiał swój punkt widzenia. Nie należał zapewne do cichych i potulnych mężczyzn, więc można przypuszczać, że najbliższe otoczenie też mogło poznać jego wyrażaną bez ogródek opinię. Uważał on, że Maksymilianowi małżeństwo nie posłuży, bo jest za słaby i nadaje się raczej do klasztoru. Konopnicka zainteresowała się nim z litości, a ponadto zapewne go *zhipnotyzowała*. Nazywał ją w listach babą – poetką, która psychicznie maltretuje Maksymiliana, ma wobec niego jakieś plany, bo po burzliwym życiu chce *zawinąć do portu spokojnego*. Do tej pory włóczy się po świecie i nie bywa zapraszana, cała Warszawa wie, że *o uczciwości u niej nie ma mowy*.

Chcąc jakoś rozwiązać trudną dla całej rodziny sytuację Ludwik Gumplowicz szukał wsparcia u lekarza – przyjaciela. Okazało się, że Maksymilian miał do niego zaufanie, przyjeżdżał do Cieszyna i odwiedzał Józefa Zaleskiego. Zwierzał mu się ze swoich przeżyć, nie wiedząc o tym, że ojciec równocześnie relacjonuje po swojemu zdarzenia, które zaczęły przybierać coraz bardziej dramatyczny przebieg. Widać doktorowi z Puńcowa udawało się przekonać zakochanego do szaleństwa naukowca do swoich racji, skoro wdzięczny ojciec napisał: *Szkoda doprawdy, że Pan marnuje zdolności swe na gospodarce wiejskiej – powinien byś Pan założyć w Puńcowie – sanatorium psychologiczne!*

Sanatorium psychologiczne nie powstało, a listy zaczęły zawierać coraz bardziej dramatyczne informacje. Maksymilian oświadczył, że pożegna się ze światem, jeśli nikt z rodziny nie przeprosi jego ukochanej i nie poprosi o jej rękę. *Jesteś psycholog, wiesz Pan co to znaczy* – alarmował zrozpaczony ojciec i podawał niepokojące przykłady świadczące o tym, że jego syn jest niezrównoważony psychicznie. Cechuje go, jak słusznie zauważył Zaleski, skrytość i upór, jest zagadką psychologiczną. Jako naukowiec – mądry i rozsądny, w miłości – wariat i czekać teraz tylko trzeba, *która sfera mózgownicy zwycięży*. Jako dziecko zachowywał się dziwnie. Mając niespełna dwanaście lat niespodziewanie zamiast do szkoły, poszedł w zimie boso i bez pieniędzy w świat. Wygłodniałego i zmarzniętego odnaleziono po czterech dniach.

Jak zachowa się teraz? Czy spełni groźbę, którą wypowiedział w desperacji i rozpaczy?

Zaleski tłumaczył i przekonywał młodego historyka, ale ostatecznie wszystkie starania i usiłowania okazały się niewystarczające. Próbował nawet porozumieć się z Marią Konopnicką. Zachował się list, w którym zapraszał ją do odwiedzenia Cieszyna. 25 września 1896 roku do Puńcowa nadszedł z Mikuszowic bardzo grzeczny list Konopnickiej o tym, że pragnęła poznać Cieszyn, jego życie intelektualne i jego polskie żywioły, musi odłożyć jednak wielką przyjemność i prawdziwy zaszczyt poznania Szanowanych Członków Czytelni Ludowej w Cieszynie, a przede wszystkim poznania się z Szanownym Panem, w którym czuje się tyle polskiego ducha i polskich dążności. Żałuje, ale wezwana została do Lwowa w sprawach nie mogących być odroczonymi. Napisała: *Szlązak – o ile ziemię tę i ludzi poznałam – zaznacza się dla mnie nader ujmującym wrażeniem. O „Gwiazdce Cieszyńskiej" pamiętać będę. Ten skromny posterunek na Kresach bardzo wart tego, żeby mu w (...) pracy pomagać*. Potem nastąpiły wyrazy podziękowania za uprzejme pismo i zapewnienie o szacunku. Jeżeli Zaleski, jak uważał ojciec Maksymiliana, chciał w ten sposób sprytnie sprowadzić poetkę do Cieszyna i wyjaśnić trudną sprawę, podstęp się nie udał.

Wszystko zaczęło szybko zmierzać do dramatycznego końca. Maksymilian opowiadał, że z Konopnicką łączą go tylko plany założenia spółki literackiej, śledził jej kroki i poczynania, z gazet dowiadywał się o jej planach. Chodził za nią krok w krok, zaczepiał, pisał... Nie reagował na jej wyraźne sygnały. Już dawno „wymówiła mu dom", Dulębianka napisała do niego przykry list, w którym wspominała coś o policji, którą poprosi o pomoc. Maria, spotkawszy go na ulicy, rzuciła mu w twarz jego listy, podarłszy je uprzednio i powiedziała: *Oto odpowiedź ty chłystku jakiś!* Nie pomogło.

Pojechał za nią do Wiednia, wszedł do hotelu, w którym mieszkała z Marią Dulębianką. Prosił o rozmowę. Maria Konopnicka otworzyła, myśląc, że wróciła przyjaciółka. Przemocą wyrzuciła go za drzwi. Wyszedł przed budynek wiedeńskiego hotelu, wyciągnął przygotowany pistolet, strzelił sobie w głowę. Zbiegli się ludzie, przyjechali lekarze, dziennikarze zaczęli dopytywać o szczegóły. Dulębianka zastała Konopnicką *w bardzo opłakanym stanie,* jak donosiła w liście do Laury Pytlińskiej. Uspokoiła ją i poszła do szpitala. Przyniosła dobre wieści. Rana jest wprawdzie ciężka, ale samobójca zostanie uratowany. Wyjęto kulę, dni mijały i stan rekonwalescenta zaczął się poprawiać. Maria go nie odwiedzała, wieści przynosiła przyjaciółka. Wydawało się, że Maksymilian z powodzeniem walczy o życie. Zaczął już wstawać. Po szesnastu dniach umarł. Dulębianka poinformowała Konopnicką o wszystkim *powoli i ostrożnie*, a potem *z nikczemnymi pismami niedzielnymi miała przejścia* i do drugiej w nocy zbierała w redakcjach solenne zapewnienia o tym, że nie dadzą najmniejszej wzmianki o wypadku. *A potem pisali wszyscy* – donosiła zrezygnowana. Skandal był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała poetka.

W redagowanej przez Aleksandra Świętochowskiego „Prawdzie" wydrukowano krótką wzmiankę o tym, że młody uczony *w tragicznych warunkach targnąwszy się na życie własne, pozostawił niczym nie zapełnioną szczerbę w sercu znękanego ojca (...) i pozbawił naukę historyczną swojską świetnych nadziei, jakie ogłoszonymi już pracami zapowiadać się zdawał. Poniósł (...) za sobą do grobu żal ogólny i ubolewanie nad przyczynami, które katastrofę spowodowały.*

Miał 33 lata, kochana przez niego kobieta – miała 55 lat. Konopnicka w żadnym liście nie wspomniała o tym, co wydarzyło się w Wiedniu w listopadzie 1897 roku.

Nie znamy opinii samej zainteresowanej na temat samobójczej śmierci zakochanego w niej młodzieńca. Eliza Orzeszkowa pisała, być może mając na myśli wydarzenie związane z samobójstwem: *Wiele, wiele dałabym za to, aby Pan był tam z nami, widział nas i słyszał, bo prysnęłyby w umyśle Pana bez śladu brudne bańki tych oszczerstw, którymi świat obryzguje kobietę bardzo nieszczęśliwą, lecz jeszcze więcej szlachetną i dobrą.*

W 1988 roku kustosz muzeum w Żarnowcu – Zdzisław Łopatkiewicz napisał w liście do cieszyńskiego profesora – Edmunda Rosnera: *Konopnicka na tej znajomości straciła tylko...*

***

Rodzina Gumplowiczów obwiniała Marię Konopnicką. Odtąd fatum zaciążyło nad rodziną pochowanego w Wiedniu młodego uczonego. Ludwik powiedział przyjacielowi, że on również podzieli los rodu Gumplowiczów. Był rok 1909 – mijał dwunasty rok od samobójczej śmierci Maksymiliana. Ludwik poprosił młodszego brata – Władysława, aby załatwił jakieś formalności w banku. Kiedy wyszedł, państwo Gumplowiczowie otruli się cyjankiem potasu. Po powrocie zastał ich w salonie, wypili truciznę. Mówiono, że popełnili samobójstwo, ponieważ oboje byli nieuleczalnie chorzy. Mówiono też, że ich śmierć była konsekwencją śmierci syna. Krążyła odtąd, jak podają biografowie Marii Konopnickiej, *uporczywa pogłoska, nawet przez Zofię Mickiewiczową powtarzana, że 33-letni genialnie zdolny filozof i historyk Maksymilian Gumplowicz popełnił samobójstwo dlatego, że nie odwzajemniła jego uczuć*, winą za samobójstwo jego rodziców też obciążono poetkę.

Gumplowiczowie – samobójcy spoczęli w tym samym grobowcu. Władysław napisał wiersz:

Gdzieś na świecie jest miłość –
Ja jej nie mam
Gdzieś na świecie jest szczęście –
Ja go nie znam

Gdzieś na świecie jest śmierć –
Tę posiądę.

Grobowca przez lata strzegła wykuta w kamieniu wysoka postać młodzieńca, który gasił płomień życia. Przechodzący i przystający przed nim ludzie mogli przeczytać, że pożegnano na zawsze Ludwika Gumplowicza, socjologa; Maksymiliana, najstarszego syna, Franciszkę żonę Ludwika i matkę Maksymiliana, wierną mężowi do śmierci.

***

Cóż, na koniec zadedykujmy nieszczęsnemu naukowcowi – Maksymilianowi Gumplowiczowi – synowi Ludwika – słowa Marii Konopnickiej, która w jednym z listów napisała – nie o nim wprawdzie, ale o kimś takim, jak on i o kimś takim jak ona sama: *Kto kocha człowieka – ułomność kocha. Niechże nie narzeka, kiedy mu się ta cała miłość w sercu pokruszy...*

Wracam do siebie

BOLESŁAW PRUS

Odkąd Wisła zaczęła interesować pierwszych badaczy i turystów, zrobiło się o niej coraz głośniej. Wiedziała już Maria Konopnicka, jak pięknie wyglądają nasze gaździnki i jak dostojni są wiślańscy gazdowie, pora, żeby dowiedzieli się i inni. Wiele w tej materii zawdzięczamy... Ochockiemu z *Lalki*. Nie, nie pomyliłam się i zaraz udowodnię, że nawet *Lalka* ma związek ze Śląskiem Cieszyńskim.

Zacznijmy jednak od początku.

***

Znalazło się kilku mądrych i energicznych ludzi, którzy uważali, że Wisła jest piękna i równie piękne ma perspektywy. Wincenty Pol a potem Bogumił Hoff i jego syn Bogdan należą do odkrywców i propagatorów na pozór tylko zwyczajnej i dość biednej podgórskiej wsi. Kiedy już sami przekonani byli o jej niezwykłej urodzie i świetlanej przyszłości, przekonywali innych, że kto osiedli się w Wiśle, będzie szczęściarzem. W ten oto sposób Bogdan Hoff zaczął współpracę nad upiększeniem i uatrakcyjnieniem miejscowości z warszawskim pozytywistą, psychologiem, filozofem i wynalazcą – doktorem Julianem Ochorowiczem. Zaczęli budować pierwsze drewniane pensjonaty po to, żeby zaprosić gości, którzy nie tylko zachwycą się górami, ale za wszystko zapłacą, a potem swoim zachwytem zarażą innych, inni przyjadą, zachwycą się, zapłacą i tak dalej.

Julian Ochorowicz dziesięć lat mieszkał w Wiśle i dla Wisły zrobił wiele a geneza jego przyjazdu i osiedlenia się tutaj związana była z prozaiczną chęcią zdobycia pieniędzy. Nie tyle więc sam urok gór, ile perspektywy sprowadziły go do nas. Jak barwnie napisano w jednym z opracowań, nawet najlepszy uczony nie może żyć powietrzem a manna nie spada z nieba. Ochorowicz pieniędzy potrzebował, genialny naukowiec wydawał je na swoje badania, zaś plany miał z pewnością dalekosiężne. Ponieważ był człowiekiem wszechstronnie utalentowanym, zabrał się za budowę domów, które przeznaczał dla letników. Był jednym z tych, którym zależało

na rozpropagowaniu walorów Wisły jako miejscowości wypoczynkowej. Praca wymagała poświęceń. Nie był zachwycony mieszkańcami Wisły, których tak między innymi scharakteryzował: *Powolność ich była po prostu przerażająca! Nic podobnego nie spotkałem nigdzie. A zdumiewająco powolną była nie tylko ich praca, ale nawet przejście paru kroków, albo sięgnięcie po narzędzie, tak, że ostatecznie robotnik ten, tańszy niż gdzie indziej, kosztował znacznie drożej.* Próbował Ochorowicz dociec, skąd wziął się taki sposób podejścia do pracy i doszedł do zaskakującego wniosku. Jego zdaniem mieszkańcy Wisły i okolic pracują wolno, a ich powolność wynika *ze starosłowiańskiego nieposzanowania czasu*. Kierowali się sprawdzoną zasadą: *co się odwlecze, to nie uciecze. Niemniej posiadali moi Wiślanie pewne zalety* – uzupełnił swój wywód Julian Ochorowicz –

1) nie męczyli się łatwo,

2) byli zręczni,

3) byli ambitni. Gdym do którego podszedł i przypatrzywszy się jego robocie powiedział: „To tak się pracuje?", inni spoglądali na niego ze współczuciem, mówiąc: „Zgańbił go" (zhańbił, upokorzył). Postanowiłem z tego skorzystać i wprowadziłem zmiany… Od tej chwili większość zaczęła pracować znacznie szybciej i lepiej, a po skończeniu budowy podrzucili mi adres dziękczynny, który wstydzili się oddać sami…

Znając wady i zalety swoich pracowników, inwestor z wielkiego świata sam doglądał wszystkich prac i razu pewnego spadł z rusztowania. Był mocno potłuczony, złamał kilka żeber i nogi. Kości „nastawił" mu ktoś z okolicy i dalej leczył się sam, leżąc podobno nieruchomo przez kilka miesięcy. Jego robotnicy nie wierzyli, że kiedyś wstanie. Wstał i chodził, ale odtąd utykał.

Mimo, że wypowiedział sporo krytycznych uwag na temat mieszkańców Wisły, Julian Ochorowicz pomagał im dość energicznie, do tego stopnia, że sam się naraził. Pisał: *zarząd Komory mści się na mnie w dalszym ciągu za popieranie chłopów. (…) Gdyby chłopi mieli rozum, dawno by już tę psiarnię pańską wykurzyli z Wisły.* (Powiedzmy w tym miejscu, że Komora była właścicielką sporej części ziemi i trzeba się było z nią liczyć).

Narażanie się Komorze Cieszyńskiej to nie jedyna zasługa budowniczego drewnianych willi o pięknie brzmiących nazwach – „Maja", „Sokół", „Zofiówka", czy „Jasna". Ochorowicz był przecież współzałożycielem Towarzystwa Miłośników Wisły i współcześni miłośnicy Wisły są mu za to dozgonnie wdzięczni.

***

Wiemy już, co myślał przybysz z Warszawy o tubylcach. Pora zastanowić się nad tym, co myśleli i myślą o nim mieszkańcy Wisły. Zanim odpowiemy na to pytanie, trzeba bliżej zaznajomić się z nowym mieszkańcem Śląska Cieszyńskiego, który uważał, że nasi przodkowie byli leniwi, choć zręczni i ambitni.

Mówiono o nim: renesansowy człowiek z pozytywistyczną duszą. Nie będę przytaczać bogatego w wydarzenia biogramu Juliana Ochorowicza, powiem tylko, że zainteresowania miał bardzo rozległe, a wiedzę wszechstronną i określa się go nie tylko jako filozofa i psychologa, ale także badacza parapsychologii, przyrodnika, spirytystę, pioniera psychologii klinicznej i eksperymentalnej. Był także wynalazcą w dziedzinie elektroakustyki, telefonii, fototechniki i telegrafii bez drutu. Pisał wiersze publikowane pod pseudonimem „Julian Mohort" i teksty publicystyczne. Jako młody chłopak zwierzył się:

Świat cały kocham, chociaż mu nie wierzę,
Kocham naukę, a nie dbam o złoto…

Zakochany w nauce jej poświęcił życie. Na szczęście znalazł też przyjaciół, a jednym z nich był Bolesław Prus, który obserwując zapał, zaangażowanie, wciąż nowe pomysły i idee, wszechstronność i otwarty umysł, sportretował go w *Lalce*. Ochocki – wynalazca i oryginał jest w rzeczywistości Ochorowiczem, którego życiowe drogi zaprowadziły w końcu do naszej Wisły. W powieści opisany został w następujący sposób: *Młody człowiek nie dosięgnął jeszcze lat trzydziestu i rzeczywiście odznaczał się niezwykłą fizjognomią. Zdawało się, że ma rysy Napoleona Pierwszego, przysłonięte jakimś obłokiem marzycielstwa*. W usta Ochockiego włożył Bolesław Prus słowa, które mógłby wypowiedzieć lub nawet wypowiedział dawny kolega ze szkoły. *Co mnie żeniaczka, kobiety, a nawet mikroskopy, stosy i lampy elektryczne? Oszaleję albo… przypnę ludzkości skrzydła….*

I przypinał ludzkości skrzydła i, jak mniemano, otarł się przy tym o szaleństwo, jeśli szaleństwem jest próba oswojenia i zbadania świata niedostrzegalnego naszymi zmysłami – świata, do którego wtargnięcie może być niebezpieczne. Julian Ochorowicz najwyraźniej żadnych niebezpieczeństw się nie bał i sądził, że jest w stanie naukowo udowodnić zjawiska tajemnicze i niezbadane. Przeprowadzał eksperymenty, badał nadnaturalne zdolności kobiet, które twierdziły, że kontaktują się z duchami. Opisywał i fotografował seanse spirytystyczne z udziałem słynnej Eusapii Palladino – prostej, niepiśmiennej włoskiej chłopki, która na przełomie XIX i XX wieku stała się najgłośniejszym europejskim medium.

Zajmował się medialnością dwóch kobiet – Jadwigi Domańskiej i Stanisławy Tomczykównej. Mówiono, że Jadwiga Domańska przepowiadała przyszłość,

a w transie podobno władała językiem staroegipskim, greckim i łaciną. Znana była z tego, że, jak utrzymywała, słyszała wiersze „dyktowane" przez zmarłych poetów. W lipcu 1927 roku dyktował jej Słowacki wiersz zaczynający się od słów *Rymy są nieudolne… któż nimi wypowie uczuć głębię lub myśl, gdy szuka wyrazu….*

Juliana Ochorowicza od jakiegoś czasu uważano za dziwaka, może nawet niebezpiecznego dziwaka i wolnomyśliciela. Henryk Sienkiewicz w *Szkicach węglem* umieścił scenę i, zmieniając nieco nazwisko wynalazcy, przedstawił sposób, w jaki mówiono o nim i jego naukowych pomysłach. Ksiądz Czyżyk, którego kazania słuchała Rzepowa i podobni jej pobożni ludzie *ostrzegał owieczki, aby jako prostaczkowie, ubodzy niby owi ptakowie niebiescy, a zatem mili Bogu, nie słuchali rozmaitych fałszywych mędrców i w ogóle ludzi zaślepionych pychą szatańską, którzy kąkol sieją zamiast pszenicy, a łzy i grzech, zbierać będą. Tu mimochodem wspominał o Condillacu, Voltairze, Rousseau i Ochoriwiczu, nie czyniąc zresztą między tymi mężami różnicy, a w końcu przeszedł do szczegółowego opisywania rozmaitych nieprzyjemności, na jakie potępieńcy będą na tamtym świecie narażeni.*

***

Cóż, Julian Ochorowicz osiągnął wiele, ale i wiele stracił. Dziś na sztandarach mają jego nazwisko portale internetowe i czasopisma, które wmawiają nam, że kontaktują się z duchami, wróżą z kart i są w stanie przewidzieć naszą przyszłość.

Środowisko naukowe w pewnym momencie zaczęło się dystansować od jego poczynań uważanych za mocno podejrzane, a jego zwolennicy sądzą, że to genialny psycholog i śmiały badacz, wręcz geniusz porównywany do Leonarda da Vinci, który urodził się za wcześnie i dlatego dzisiaj raczej mówi się nie o jego najbardziej wartościowych pracach i wynalazkach, ale o niefortunnych kontaktach z duchami.

Z punktu widzenia naszej opowieści interesujące są jego kontakty nie tyle z duchami, ile z pisarzami, a także wspomnienia mieszkańców Wisły i pamięć, jaką po sobie pozostawił niezwykły mieszkaniec i propagator jej niewątpliwych walorów.

Przekonałam się, że do dzisiaj są w Wiśle zaangażowani obrońcy „polskiego Leonarda". Nie tylko postarali się, aby w ich miejscowości stanął obelisk upamiętniający tego, który na Śląsku Cieszyńskim prowadził twórcze i pracowite życie, ale sporo emocji wkładają w to, żeby nie ograniczać się do mówienia o Ochorowiczu i duchach. To był wybitny naukowiec, który zasłużył na międzynarodową sławę i, prawdę mówiąc, znany jest bardziej za granicą, niż na swojej ziemi – przekonują.

Jeśli jednak powiemy, że badacz wyprzedzał swoją epokę, że fascynowało go zagadnienie ciała eterycznego i biopola, ciała astralnego, telekinezy, magnetyzmu i tak dalej, nie zmieni to faktu, że jego pracownia zapełniona była dziwacznymi instrumentami (zapamiętano tarcze obrotowe na sznurkach, jakby kołowrotki, dzwonki, jakieś lampy).

Goszcząca w jego domu kobieta – medium – Stanisława Tomczykówna i wreszcie seanse, które opisywał i życie, jakie prowadził spowodowały, że zapamiętano go dość szczególnie i z tą pamięcią nie da się polemizować. Dla Wisły zrobił wiele – to dzięki niemu o Wiśle usłyszeli znani Polacy, a dzięki nim ich znajomi i czytelnicy. Chciał *nieść kaganek oświaty* na tej ziemi, która stała się jego nowym domem. Próbował nawet sam edukować chłopów. Jan Wantuła – bibliofil, o którym jeszcze wspomnę, opowiadał, że warszawski naukowiec zagadnięty o swoje pasje demonstrował fonograf, *na którym był uchwycony głos, pokazał różne najnowsze instrumenty do badań fizycznych*. Cieszył się, że znalazł się wśród okolicznych chłopów ktoś, kto chce czytać i wypożyczał swoje książki, żaląc się przy tym, że nikt z nim o książkach nie rozmawia, choć są już tacy, którzy przyjdą się poradzić w sprawach spornych z Komorą Cieszyńską, albo chcą pożyczyć pieniędzy...

Co zapamiętali jeszcze mieszkańcy, kiedy w ich spokojną i senną nieco egzystencję wdarł się wielki świat, a ich położona prawie na samiutkim końcu świata wioska pretendować miała do zaszczytnego miana letniska dla „miastowych panów", a jeden z tych panów był jakiś inny... ?

> *Chodził latem w białej marynarce, średniego wzrostu, barczysty, ale szczupły. Nie był mówny. Żeby stanąć z tutejszym, pomówić, to ni. Nigdy się nie uśmiechoł. Chodził zamyślony, jak szeł po ceście, to się mu mówiło dzień dobry, un odpowiedzioł, ale nic więcej.*

Ludzie bali się Ochorowicza i wspominają: *Jak szeł Dzielnicami, a my paśli krowy, to my uciekali przed nim, bo tam w tej „Ochorowiczówce" straszy, duchy jakisi tam chodzą*. Byli tacy, którzy przysięgali, że widzieli stół, który się sam podnosił i różne inne dziwy.

Zachowały się też i inne wspomnienia – zapamiętano „dochtora" – Ochorowicza patrzącego przeszywającym człowieka wzrokiem. *Pewien syn chłopa, wykształcony na mierniczego, opowiadał, jak to spotkawszy Ochorowicza, miał czarne okulary na oczach – z porady lekarza, bo kując do egzaminu, sprowadził sobie ból oczu*. Jego dolegliwościami zainteresował się „dochtór", który kazał zdjąć natychmiast okulary, pójść do źródła, umyć najpierw ręce, a potem oczy. Kuracja trwała tydzień, ból ustał, a wdzięczność pozostała.

W końcu wynalazca miał dość „swojej" Wisły. Nie osiągnął tu widać stawianych sobie celów, a może wciąż szukał nowych możliwości i wrażeń, Miał napisać w liście do Jana Wantuły w 1913 roku: *Wisła mi zbrzydła*. Kupił ziemię pod Warszawą, tam wybudował dom, w którym zamieszkał. Wybudowane w Wiśle wille sprzedał, opuścił murowany dom stojący do dziś. Opuścił go, jak mówią, nagle, pozostawiając bibliotekę

i kosztowne instrumenty do badań. Nic dziwnego, że splądrowali źli ludzie co tylko się dało i co miało dla nich jakąś wartość. Mówiono, że kartki książek służyły pastuszkom jako pomoc w rozpalaniu ognisk.

***

Chcę sprawdzić, co w Wiśle po nim pozostało. Jest obelisk i tablice upamiętniające jego pobyt, ale jest też coś znacznie istotniejszego. Pozostał jego dom. Wprawdzie Julian Ochorowicz był budowniczym wielu domów, ale one już nie istnieją. Dla siebie wybudował najpierw willę drewnianą, która podzieliła los innych pensjonatów, ale murowany dom przetrwał. Mówiono, że w Ochorowiczówce do dziś dzieją się niezwykłe rzeczy, coś stuka, mieszkający tam ludzie w niektórych miejscach domu odczuwają dziwny niepokój, w innych – wręcz przeciwnie. Może „pón" z Warszawy uruchomił tajemne siły, których nie zdołał uspokoić. Niebezpieczne to przecież i niezbadane jeszcze tajemnice, a mądre zdanie mówi o tym, że są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom. Tymczasem ciekawy wszystkiego naukowiec postanowił, że dla niego nie będzie żadnych tajemnic... z tym większą ciekawością pojechałam do Wisły i szukałam „Ochorowiczówki". Smutny dziś przedstawia widok. Upływający czas zawsze bezwzględnie obchodzi się z rzeczami, które kiedyś były świadkiem poczynań ludzi, których dawno już nie ma. Rozmawiam z mieszkańcami, którzy wiedzą wprawdzie, że dom jest stary, ale niewiele poza tym. Mówią, że dom niszczeje. Na ścianie wmurowano tablice, które informują, jak wielkie znaczenie ma to miejsce. Mimo to daleko mu do doskonałości. Liczne przeróbki nie pozwalają już odtworzyć jego wyglądu z czasów pierwszego właściciela. Jest dobudowana część, a jedna ze ścian, ta, na której potomek Ochorowicza umieścił tablicę, została otynkowana naprędce specjalnie na tę uroczystość. Taką opowieść usłyszałam od mieszkańców, których pytam, czy w tym domu straszy.

– *W tym domu nie straszy, to ten dom straszy* – mówi jedna z mieszkanek. *Bałagan tu panuje straszny, dom wymaga remontu* – dodaje, a kiedy pytam o jego przeszłość, odsyła mnie do innej mieszkanki – ona lepiej pamięta, bo jest tu od ponad czterdziestu lat. Cóż, nawet wieloletnia mieszkanka „Ochorowiczówki" nie słyszała nic o przesuwaniu się mebli, tajemniczych krokach na schodach, szmerach i trzaskach. Opuszczam smutny dom i przyglądam się jego okolicom. Dla swojej siedziby Julian Ochorowicz wybrał niezwykłe otoczenie. Kontrowersyjny naukowiec zamieszkał na uboczu, a z okien jego samotni roztaczał się piękny widok na otwarte przestrzenie. I taki pozostał do dziś.

***

Julian Ochorowicz pozostawił po sobie nie tylko wspomnienia i dom. Zawdzięczamy

mu wiślański epizod w biografii Bolesława Prusa i Władysława Stanisława Reymonta. Jan Wantuła utrzymuje, że miał przyjechać także Henryk Sienkiewicz i już nawet szykowano dla niego mieszkanie. Nie przyjechał... Szkoda. Przyjechał na Śląsk Cieszyński w pośmiertnej swojej wędrówce, a ślad tego zdarzenia widziałam daleko stąd – w jego podarowanym na jubileusz pisarski domu w Oblęgorku. Przechowuje się tam pamiątki z roku 1924, kiedy to sprowadzano ze Szwajcarii do odrodzonej Polski trumnę z ciałem Noblisty, a nasi dziadkowie oddawali mu hołd na dworcu kolejowym w Piotrowicach i Zebrzydowicach. Nad trumną mówiono: *Wszyscy przyszli, ażeby Cię uczcić. Tyś lud ten uczył Twoimi książkami i lud śląski zna Twoje dzieła*. Dodawano jeszcze piękne zdania w rodzaju: *Henryku! Byłeś nam apostołem nadziei w bólu, cierpieniu i ucisku….*

Chociaż tłumy Polaków i Czechów zgromadziły się na dworcu kolejowym i wszyscy w zgodzie manifestowali gorące uczucia dla polskiego pisarza, komuniści pisali bez ogródek: *Gdyby Sienkiewicz nie umarł, a tylko zapadł w letarg, to by go w Piotrowicach apopleksja trafiła na widok takiej obłudy*. Dodawali jeszcze, że i tak nikt nie czyta jego książek, a fakt, że był dobrym pisarzem, przemawiającym plastycznymi i zapadającymi w pamięć obrazami, powinien być raczej ostrzeżeniem. Dlaczego? Działacze komunistyczni na to pytania znali, oczywiście odpowiedź: *Sienkiewicz jest dlatego tak niebezpieczny, ponieważ jest złudnie porywający za serce i zwodzący na manowce ideologii drobnomieszczańskiej*.

Po takim oświadczeniu wszystko staje się jasne. Taki Sienkiewicz przeszkadzał, ale wobec sympatii czytelników nawet komuniści byli bezradni...

***

Czas teraz na spotkanie ze szczególnym turystą, którego przyjaźń z Julianem Ochorowiczem datowała się od czasów szkolnych. Opowiem zatem o przyjaźni, której konsekwencją była wizyta Bolesława Prusa w Wiśle.

Bolesław Prus, a raczej Aleksander Głowacki (bo tak przecież brzmiało jego prawdziwe imię i nazwisko) poznał Juliana Ochorowicza w szkole i zaczął się z nim przyjaźnić w 1864 roku a kolejne lata przyniosły wiele i epizodycznych, i ważnych zdarzeń, które przyjaźń ugruntowały i wzmocniły, choć czasem narażały na ciężkie próby.

Łączyły, a czasem dzieliły ich ważne i mniej ważne sprawy. Ochorowicz pisał na przykład w swoim *Dzienniku*, że wyjeżdża na dalsze studia do Lipska, a Oleś nie oddał mu pieniędzy, które pożyczył. Prus za to chwalił jego wiersze, a za szczególnie prześliczny uważał ten, który zaczynał się od słów: *Do przyszłych trupów*. Spotykali się w gronie znajomych, a na imieninach Juliana serwowano gorące serdelki, pączki i miód, a potem zachwycony Słowackim gospodarz recytował *Smutno mi, Boże*.

Przy różnych okazjach świadczyli sobie nawzajem drobne lub całkiem poważne uprzejmości. I tak na przykład swego czasu Ochorowicz oddał Prusowi jedną ze swoich korepetycji, a ten z kolei zwierzał mu się ze swoich miłosnych przeżyć.: *Oleś mówił* – zanotował Ochorowicz – *że zobojętniał dla Nusi, że dawniej mówił o niej z zapałem, a dziś jest człowiek „zakotwiczony"*.

Innym razem *Oleś wyrobił zamówienie odczytu* i, co więcej, *bogom podobny Juleczek* (tak Prus mówił o Ochorowiczu) otrzymał papierosy na drogę.

Nie tylko papierosy, serdelki i przyjacielskie pogawędki umacniały ich przyjaźń. Prus zawdzięczał ciekawemu świata badaczowi i wynalazcy nie tylko postać Ochockiego, ale i wiele ważnych i ciekawych informacji i szczegółów, które wykorzystał pisząc *Faraona*. W 1893 roku uczestniczył w odczytach Juliana Ochorowicza *Tajemnicza wiedza kapłanów egipskich*. Badacz omawiał wówczas nowe znaleziska dotyczące historii i kultury starożytnego Egiptu, z którymi zapoznał się w czasie swojego pobytu w Paryżu. Prus słuchał uważnie...

Łączyły ich wspólne zainteresowania, razem się uczyli i razem opowiadali o swoich pasjach. Prus mógłby powtórzyć za Ochorowiczem: *Kocham naukę, a nie dbam o złoto*... w 1873 roku na przykład, obaj wygłosili odczyty. Julian Ochorowicz: *O tworzeniu się Ziemi i o tym, co na niej było przed tysiącami lat,* a Bolesław Prus: *O budowie wszechświata*.

Odbywali też wspólne podróże, a kiedy na dobre zaczęła się ich praca zawodowa, nawzajem sobie pomagali. I tak na przykład felietonista Prus nagłaśniał dokonania naukowca Ochorowicza a potem bronił go wówczas, kiedy jego badania budziły spore kontrowersje. Pisał sprawozdania z odczytów Juliana Ochorowicza, zachwycając się na przykład wygłoszonym przez niego referatem *O płucach i oddychaniu*. Młodzi zapaleńcy dyskutowali o swoich planach życiowych i naukowych. Kiedy Ochorowicz pracował nad projektem maszyny do szycia, gorąco namawiał Głowackiego do współpracy. Prus zresztą nie tylko chwalił, ale czasem też krytykował Ochorowicza. Kiedy ten wydał w 1870 roku książkę: *Miłość, zbrodnia, wiara i moralność. (Kilka studiów z psychologii kryminalnej)* poradził mu, żeby przynajmniej na jakiś czas odłożył psychologię, a zajął się na przykład historią.

***

Badając dostępne źródła zastanawiałam się nieraz, czy Prus wypowiadał się na temat naukowych i odrzucanych przez naukę zainteresowań przyjaciela z przekonaniem, mając zaufanie do jego poczynań i wniosków; czy też świadomie narażał dobre imię rzetelnego felietonisty, chcąc mu po prostu pomóc. Znów, po raz kolejny w tej książce muszę napisać – „nie wiem".

Ponieważ jednak spór na temat „nowych prawd", które odkrywał Julian Ochorowicz miał związek z Wisłą, pozwolę sobie poświęcić im nieco więcej miejsca. Spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytanie: *Po czyjej stronie stał Bolesław Prus pisząc swoje „Kroniki"*?

W 1888 roku Julian Ochorowicz wygłosił w Warszawie trzy odczyty: *Z historii magnetyzmu i hipnotyzmu*, wcześniej pochwalił się swoimi wynikami badań w artykule o leczeniu hipnotyzmem osób nerwowych. Zaprezentował poglądy, które nie były ogólnie przyjęte. Na reakcję innych naukowców nie trzeba było długo czekać. Niebawem w czasopiśmie medycznym „Zdrowie" napisano, że Ochorowicz to znachor, a jego metody nazwano partactwem lekarskim. Znów nie trzeba było długo czekać i w obronie przyjaciela wypowiedział się sam Bolesław Prus. Oponentom zarzucił pochopność w wyrażaniu kategorycznych sądów i nawoływał równocześnie do poważnego zastanowienia się i wypróbowania nowych metod lekarskich. Jego wypowiedź rozpętała długą dyskusję, w której i on okazał się przysłowiowym „workiem do bicia". Dowiedział się mianowicie, że jego *Kroniki* są *kopalnią źle bronionych paradoksów,* a jednym z przykładów jest, jak się domyślamy, fakt, że stanął po stronie *medycznego nieuka*. Ripostę Prusa można streścić w zdaniu: *Osobliwie zaś my, Polacy powinni byśmy ostrożnie obchodzić się z naszymi ziomkami, którzy pracują w oryginalnych kierunkach*. Znów odezwali się fachowcy – lekarze i fizycy, ale z nimi – jak pisał Prus – Ochorowcz musi przegrać – bo oni stanowią „regularną armię" nauki, której on jest tylko „partyzantem". *Niedobrze to jednak* – zauważył obrazowo felietonista – *kiedy jakakolwiek armia bije swoich partyzantów zamiast – korzystać ze zdobytego przez nich terenu*. Ten pogląd nie zakończył dyskusji, więc przywołując opinie o nieuctwie i błędach przyjaciela Prus napisał: *życzyłbym społeczeństwu, żeby w każdej dziedzinie jego pracy i wiedzy znalazł się taki „warchoł" (...) Mielibyśmy przynajmniej jakiś ruch pojęć*.

Tak zdecydowane opowiedzenie się po stronie „warchoła" i „nieuka" spowodowało, że oto bliżej zainteresowano się i samym obrońcą i jego poglądami. Pisano o nawróceniu Prusa i o tym, że był dawniej liberałem i bezwyznaniowcem, jak Ochorowicz. *Prus zaszedł był bardzo daleko w teoriach pozytywnej i ateistycznej filozofii, zgłębił je do dna, przeraził się i cofnął się*.

Dawny „liberał i bezwyznaniowiec" – Julian Ochorowicz organizować zaczął w Warszawie posiedzenia mediumiczne, w których uczestniczyli zaproszeni przez niego goście. Słusznie domyślamy się, że Prusa tam nie zabrakło. Odnotował, że pokazano *rzadki objaw* polegający na możności *czytania bez pomocy oczów*, a w obecności słynnej Eusapii Palladino *sprzęty naprawdę ruszają się, podnoszą się i wchodzą na stoły, tajemnicze dotykania lub zdejmowania okularów naprawdę mają miejsce; światełka naprawdę błyszczą itd.* Uczestnik posiedzeń doszedł do wniosku

i wniosek swój przedstawił czytelnikom, że spirytyzm i mediumizm to *fakt poważny, którego niepodobna zbywać ironicznym uśmiechem ani machnięciem ręki.*

Aleksander Świętochowski – pozytywista z krwi i kości kpił w żywe oczy: *Pan Prus, który w swojej torebce nosił jak dewotka zaledwie parę modlitewników naukowych i urągał nimi największym bibliotekom, sprawił sobie nowy o mediumizmie.*

Wobec takich oskarżeń czy raczej drwin pisarz – realista nie pozostaje obojętny i tłumaczy, że nie jest spirytystą, nie należy bynajmniej do nawróconych i formułuje zdanie, które niekoniecznie mogło spodobać się Ochorowiczowi: *nie radzę czytelnikowi, żeby przesiadywał po ciemku nad stołami; niech lepiej robi to, na czym się zna i co mu chleb daje.*

W tym miejscu uważny Czytelnik powinien mieć wątpliwości. Tyle razy Bolesław Prus dość energicznie bronił swojego przyjaciela, którego kontrowersyjne poglądy nie budziły specjalnego entuzjazmu, tymczasem łatwo znaleźć można jego wypowiedzi, które są przynajmniej sceptyczne. Pisał na przykład, że obserwowane przez uczestników seansów spirytystycznych uniesienie stołu może być kuglarskim figlem Eusapii Palladino (nie wiedział jeszcze, że, istotnie, okaże się ona w końcu oszustką).

Zastanawiając się nad kwestią czy mediumizm jest faktem, czy mistyfikacją pisał: *w Warszawie mediumizm, zwany także spirytyzmem, już posiada garstkę apostołów i prozelitów, którzy gdzieś, po cichu „rozmawiają z duchami."* Kolejne spotkania przy stoliku opisywał wprawdzie, ale już z dużo większą ostrożnością i mniejszym zaangażowaniem. W „Tygodniku Ilustrowanym" z 2 lipca 1910 roku zamieścił tekst: *Zjawiska mediumiczne.* Czyta się go z zainteresowaniem, zwłaszcza, że umieszczono w nim zdjęcia Tomczykówny (tej samej, która przyjechała do Wisły).

Swój tekst Prus – realista, racjonalista, pozytywista zaczyna od słów jak gdyby „z innej bajki": *Któż nie słyszał o „domach nawiedzonych", w których rozlegają się tajemnicze łoskoty, a niekiedy z pokoju do pokoju przelatują różne naczynia gospodarskie, nie wyłączając fajansowych?...* – Słyszałem, słyszałam – odpowie pewnie w myślach prawie każdy z czytających i o to autorowi „Kroniki tygodniowej" z całą pewnością chodzi. Dalej więc wyjaśnia, że dziwnymi zjawiskami zajmują się ludzie tacy jak Julian Ochorowicz i jemu podobni, wśród których są *pierwszorzędni fizycy, chemicy, lekarze, psychologowie, sędziowie, zoologowie, botanicy, astronomowie, nie wspominając o literatach i artystach.* Dodaje od razu, że przez uczonych „prawowiernych" traktowani są jak heretycy. Pisząc o tych niezwykłościach przypomina, że jest *czcicielem nauk doświadczalnych i ścisłych*, ale dodaje, że nie wolno nam z naszej niewiedzy robić dogmatu i absolutnie zaprzeczać możliwości zjawisk dotychczas nieznanych. Uważa, że zjawiska te należy zbadać i bierze w obronę badaczy, a szczególnie doktora Juliana Ochorowicza, o którego niezaprzeczalnych sukcesach naukowych wspomina (Kopernika, Kolumba, Galileusza też nie doceniano –

zauważa jakby mimochodem). *Dodać muszę, że znam Ochorowicza od ławy szkolnej i że już w owej młodzieńczej epoce odznaczał się on niezwykłemi zdolnościami, silnym a szlachetnym charakterem i dążeniem do prawdy.*

Bolesław Prus był uczestnikiem „posiedzenia", które opisuje. Widział, jak Tomczykówna podnosi – *bez dotykania drobne przedmioty, przy takiem świetle, że np. można doskonale czytać grubszy druk*. Widział, jak *badacz uśpił medium, które samo zwinęło sobie rękawy sukni, nakazało wytrzeć stół ręcznikiem, podało palce do rewizji*, a potem bez dotykania przesuwało długi ołówek i srebrnego rubla, które to przedmioty Prus położył na stole. Na zakończenie autor zapewnia, że *nie należy do żadnej sekty, nie jest ani cieniem spirytysty, czci metody indukcyjne i dedukcyjne*. Pozwala sobie jednak na wniosek, że mediumizm jest niby okno wybite w organizmie ludzkim, przez które widać...duszę, *której istnieniu z taką pewnością zaprzecza materializm*.

Powód, dla którego Tomczykówna wypoczywała w Wiśle, podał w swoim artykule Bolesław Prus: *Medium przy doświadczeniach traci dużo siły w rękach, narzeka na wyczerpanie i ból głowy, z czego wynika, że – trzeba je traktować bardzo oględnie i łagodnie*. Ochorowicz, który ją do Wisły sprowadził, charakteryzował nową lokatorkę swojego domu w sposób następujący: *Stanisława Tomczykówna jest ładną, skromną, inteligentną panną, jakkolwiek bez wykształcenia, jest nadzwyczajnie uzdolniona. Przebywa w mojej willi od dwóch miesięcy, gdzie staram się o poprawę stanu jej zdrowia i kieruję rozwojem zdolności medialnych.*

***

Drewniane wille Ochorowicza mogłyby wiele powiedzieć o tych, których kroki i rozmowy słychać było w pokojach, którzy siadywali na tarasach i rozmawiali przy wspólnym stole. Mogłyby, ale nie powiedzą, bo pozostały tylko na fotografiach i w ludzkiej pamięci. Na szczęście nie tylko wille słyszały kroki, rozmowy i myśli jednego z najznakomitszych wiślańskich gości. Czas teraz opowiedzieć o tym, jak znany pisarz – Bolesław Prus zgodził się odpowiedzieć na niewątpliwie serdeczne, a może nawet natarczywe i wielokrotnie ponawiane zaproszenie szkolnego kolegi, którego żartobliwie nazywał Juleczkiem.

Bolesław Prus jadąc do Wisły, jechał w góry, ale także na odludzie, bo przecież to była inna Wisła, niż ta, którą znamy dzisiaj. Nie była to jeszcze wtedy miejscowość ani znana, ani letniskowa. Była to podgórska wieś. O wsi kiedyś pisał Bolesław Prus w „Kurierze Warszawskim", gdzie w 1857 roku drukował swoje *Kartki z podróży*. Wprawdzie relacjonował swoją podróż do Siedlec i Lublina, ale wierszyk o wsi mógłby zapewne powtórzyć w dniu, w którym po raz pierwszy zobaczył naszą Wisłę:

Hej! Nie masz to nie masz,
Jako nasza wioska;
Pieniędzy w niej niewiele
Lecz zieloność boska!

***

Bolesław Prus, który postanowił skorzystać z zaproszenia Juliana Ochorowicza musiał wiedzieć o tym, że jedzie w góry. Może jednak przekonywano go, że to góry łagodne i przyjazne, a nie – tak jak Tatry, przerażające swoim ogromem. A Tatr się Prus po prostu bał. Miał już za sobą nieprzyjemne przeżycia związane ze wspinaczką po królewskich szczytach, choć może lepiej napisać – z próbami wspinaczki, a raczej – dodajmy, z nieudanymi próbami wspinaczki. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Tatry, nie do końca jeszcze zapewne zdawał sobie sprawę z tego, jakie konsekwencje niesie z sobą agorafobia – przypadłość, na którą cierpiał od jakiegoś czasu.

Mówiąc o górach w życiu Bolesława Prusa można użyć dwóch określeń – fascynacja i strach. Zobaczył Tatry, a one przypominały mu ciemną zębatą ścianę, potężne masy, które przerażały swoim ogromem. Napisał w *Kartkach z podróży*, że widok był piękny, ale przygnębiający. Opis, który zamieścił dalej najlepiej świadczy o tym, na czym polegała istota jego uciążliwych dolegliwości: *Słuchałem, o tysiąc stóp nad głową, dzwonków pasącego się bydła z tym wrażeniem, że bydło pospada na mnie, a później wszystkich nas góry zasypią*. Kiedy w „Kurierze Codziennym" z 1887 roku opisywał swoją *Wędrówkę po ziemi i niebie*, używał określeń, które najlepiej oddają nastrój, towarzyszący jego podróży. Pisał na przykład: w*szystko, com tu wycierpiał, zawrotne widoki i przykre niespodzianki*. Podsumowanie relacji z gór jest równie charakterystyczne: uważał mianowicie, że główną cechą natury jest to, że goi rany, które zadała i wynagradza je szczęściem, jakiego człowiek nie oczekiwał.

Pierwszy pobyt w Zakopanem musiał łączyć się, rzecz jasna z próbą poznania nowej ziemi, a więc i z próbą poznania gór – granitowych olbrzymów. Tę próbę nazwie potem krzyżową drogą. Znając jego strach przed otwartą przestrzenią i przepaściami, prowadzono znanego autora drogą najbezpieczniejszą i najmniej stresującą. Szedł do Stawów Gąsienicowych i w końcu tam dotarł, a swoim przewodnikom obiecał dwie nowe strzelby myśliwskie, więc z tym większym prowadzili go zapałem. Słynny zakopiański przewodnik, skrzypek i gawędziarz – Bartuś Obrochta dumny był z tego, że zaufał mu sam pisarz z Warszawy. Po latach wspominał tę „drogę krzyżową" i mówił: *No i wićcie, honor nam beł, co my takiego sławnego człowieka hańde zawiedli*. Mądrzy byli przewodnicy tatrzańscy, jak ten, którego to opisał Stanisław Witkiewicz: *Dobry przewodnik ma swoje bardzo słuszne pojęcia o psychologii „pana". Wie on, że zawieszony nad przepaścią albo postawiony nosem przy prostopadłej ścianie, na którą*

każą mu się wdrapywać, dólski człowiek gubi równowagę wewnętrzną i zewnętrzną i albo się zwali albo też straci władzę w nogach ze strachu.

„Dólski człowiek" – Bolesław Prus był szczególnie nieporadnym turystą, a oswojenie go z górami było zadaniem prawie ponad siły – nawet dla tak doświadczonego górala jak Bartuś.

Całą dość upokarzającą sytuację opisał Aleksander Głowacki w liście do żony z 1881 roku: *Jedna partia z Reichmanem i Ochorowiczem poszła drogą najtrudniejszą, dwie osoby pojechały konno (...), ja zaś z doktorem Śliwickim, moim przyjacielem i z najlepszym przewodnikiem poszliśmy drogą najłatwiejszą, po której jeżdżą wozy przez las*. I ta droga była jednak za trudna.

Postanowiono zastosować swoistą kurację i oswoić niefortunnego przybysza z górami i z tego powodu przez długie pięć godzin chodził z przewodnikiem z góry na dół, a każdy nowy odcinek drogi był dla niego krzyżową drogą.

***

Chcąc opisać krótki, ale dla nas przecież niezwykle istotny pobyt autora *Lalki* w Wiśle, musimy poznać powód, dla którego góry od lat były i na zawsze już pozostały dla niego udręką. Właśnie tak należałoby powiedzieć – nie tylko wędrówki, ale góry były udręką. Nie trzeba było pójść na szlak, żeby się bać, wystarczyło spojrzeć na otaczający krajobraz. Odpowiem na ważne dla naszej opowieści pytanie – dlaczego Bolesław Prus – podróżnik cierpiał, dlaczego fascynacji krajobrazem musiał towarzyszyć strach?

***

Początki uciążliwej choroby, która nosi miano agorafobii, dopatrują się badacze biografii pisarza już w czasach powstania, w którym uczestniczył młody Aleksander Głowacki i został ranny w głowę. Od tej pory datowała się jego krótkowzroczność i dziwne lęki. Choroba podobno spotęgowała się, kiedy znany już wówczas Prus – publicysta warszawski naraził się młodym sympatykom Włodzimierza Spasowicza. Zaraz wyjaśnię, jaki to wszystko miało związek z chorobą. Przenieśmy się do Warszawy. Był rok 1878, kiedy w „Nowinach" wydrukowano kolejną *Kronik*ę. Czytelnicy dowiedzieli się, co autor sądzi nie tyle o odczycie Włodzimierza Spasowicza – adwokata petersburskiego i literata, krytykującego Wincentego Pola – *ostatniego minstrela szlachetczyzny*, ile o zachowaniu części słuchaczy.

Bolesław Prus napisał, że hałaśliwy aplauz, śmiech i oklaski, którymi młodzi ludzie nagradzali prelegenta obrażającego znakomitego literata, były niczym innym, tylko *wybuchem cielęcej wesołości*, zachowywali się, jak na operetce, a oklaskiwanie Spasowicza zdiagnozował jako *tajemnicze zjawisko, dowodzące nie tyle pomieszania pojęć, ile raczej klepek niedobrze widać ulepionych*. Słuchaczy nazwał dzieciuchami, których zachowania rozsądni ludzie nie mogą pojąć.

Nie trzeba było długo czekać na reakcję tych, którzy urażeni byli śmiałymi słowami publicysty. Nie na darmo mówi się: *uderz w stół, a nożyce się odezwą*. Odezwały się, a ich głos był dość zdecydowany. Zaczęło się od pogróżek. Do tego stopnia musiały być one groźne, że przyjaciele i znajomi próbowali w tym czasie szczególnie pilnie śledzić kroki Prusa i pilnować, żeby nie był sam. Nie pomogły ich starania, bo oto w marcu 1878 roku prasa warszawska donosiła: *Stał się wczoraj fakt oburzający i niesłychany w naszym życiu społecznym. Jeden z powszechnie cenionych i szanowanych literatów naszych, którego satyryczne pióro śmiało karci wybryki zasługujące na naganę, padł wczoraj ofiarą zasadzki, ułożonej nań przez szajkę powodowaną chęcią dogodzenia zemście*.

Dogodzili zemście tak skutecznie, z Prus musiał kurować się jakiś czas i pozostawał w domu, ponieważ został przez nich dość dotkliwie pobity. Mówiono, że za tak niecną napaścią stali socjaliści.

Zgodnie potępiono zdarzenie w jednoznacznych określeniach, pisano o nikczemnym, oburzającym i niesłychanym fakcie, *bolesno nam, że młodzież nie szanuje studenckiego munduru* – przeczytać można było w jednej z gazet.

W innych źródłach odnajdujemy szczegółowe opisy, które nieco różnią się od siebie. Poznajemy kolejne fakty. Przykry ten incydent miał miejsce podobno 26 marca 1878 roku o trzeciej po południu, wówczas jeden ze studentów uderzył Aleksandra Głowackiego w twarz *bez żadnego powodu*, poszkodowany wezwał policję. Policmajster nalegał, żeby literat złożył oficjalną skargę, dzięki której sprawcy skandalicznego postępku mogliby zostać ukarani. Tymczasem Prus milczał, skargi nigdy nie wniósł, a nawet stwierdził, że nie wie, kto go poturbował, co było oczywistą nieprawdą. Doskonale wiedział, a nawet chciał się pojedynkować z jednym ze sprawców. Ten jednak (a chodziło o niejakiego Jana Sawickiego), rozchorował się i nie przyjął wyzwania. Istnieje też inny opis zajścia, zgodnie z którym w czasie, kiedy w cyrkule trwały przesłuchania podejrzanych studentów, do Prusa dotarły pogróżki. Widać przejął się nimi, skoro chodził po mieście w towarzystwie Ochorowicza, który eskortował go z rewolwerem w kieszeni. Razem też poszli złożyć zeznania.

Po latach widać napastnicy zweryfikowali swoje poglądy i właściwie ocenili zachowanie, bo jeden z nich usilnie zabiegał o spotkanie ze znakomitym pisarzem. Chciał się zapewne wytłumaczyć, przeprosić i uzyskać przebaczenie. Do spotkania nie doszło, bo Bolesław Prus, znając już konsekwencje pobicia, które, jak twierdzono, pogłębiły jeszcze jego związane z agorafobią lęki, powiedział o ówczesnych napastnikach znaczące słowa: *życie mi złamali…*

Złamali niewątpliwie. Ten ciekawy świata i ludzi pisarz ograniczał podróże, bo były dla niego raczej udręką, a nie przyjemnością. Owszem, wyjechał niejednokrotnie ze „swojej" Warszawy, ale napisał też, ukończywszy jedyną w życiu dłuższą podróż

zagraniczną, podczas której zobaczył między innymi Berlin, Drezno i Paryż: *tylko mi nie zawracajcie głowy, że podróż za granicę to przyjemność*. Zobaczył i przeżył wprawdzie wiele, ale równocześnie nie mógł wejść na oświetlone schody, nie mógł patrzeć przez okno, męczyło go przechodzenie przez jakikolwiek plac, panicznie bał się przekraczania Sekwany, więc, ilekroć znajomi, nawet podstępem, chcieli go w jakiś sposób przetransportować przez któryś z mostów, zorientowawszy się w sytuacji, uciekał w popłochu.

***

Jeszcze w czasach szkolnych Julian Ochorowicz w swoim dzienniku opisał zachowanie kolegi. Widać przyszły psycholog zajmował się obserwowaniem ludzkich zachowań. Aleksander Głowacki miał, jego zdaniem, *temperament krwisto-choleryczny. Usposobienie zewnętrzne zawsze wesołe, wewnętrzne melancholijno-choleryczne, fantastyk*, ponadto cechowała go *wrażliwość wewnętrzna głęboka*, wymowa dosadna i obrazowa, dowcip i zmysł obserwacyjny. Ochorowicz zauważył także, że organizm Głowackiego jest muskularny, ale *osłabiony, ruchy ma dziwaczne za to zachowuje przytomność umysłu*. Dużo czyta, dużo pisze, cechuje go skłonność do podziwu i nie ma pojęcia o dyplomacji.

W tym miejscu warto porównać zacytowane powyżej zapiski z tym, co wiele lat później, w 1958 roku, ustalił lekarz neurolog Henryk Góralski. Może nas zaskoczyć podana data – jak mógł zdiagnozować przypadłość pacjenta, skoro ten dawno już nie żył. Dodajmy jeszcze, że tego rodzaju badania lekarskie prowadzono z dystansu czasowego i w odniesieniu do innych znanych osób, na przykład Adama Mickiewicza. Takie badania prowadzi się w oparciu o dostępne źródła, listy, dokumenty, wspomnienia.

Oto wnioski lekarza specjalisty. Uważa on, że Głowacki był od najmłodszych lat osobnikiem nerwowym, niezrównoważonym, pełnym sprzecznych uczuć. Przyczyną takiego stanu rzeczy było sieroce dzieciństwo i kontuzja podczas powstania. Zespół objawów, które opisał lekarz to „cerebrastenia pourazowa", w dodatku stwierdził, że właśnie ten stan neuropatyczny przekształcił się w ciężką agorafobię. W tej sytuacji, można przypuszczać, że nie tylko napaść nieodpowiedzialnych studentów spowodowała, że Prus wiódł *życie pełne lęków*. (Taki właśnie tytuł nosiło opracowanie lekarza neurologa – Henryka Góralskiego).

„Życie pełne lęków" było z konieczności życiem pełnym różnorodnych kuracji i kolejnych „krzyżowych dróg", jak ta w Tatrach, kiedy na siłę oswajano go z lękiem towarzyszącym górskiej wędrówce. Były i inne metody. W Szwajcarii powiedziano mu, że nerwy się leczy *czymś innym niż brom i kąpiele* – zalecono – zarzucić papierosy, wódkę, herbatę itd. – *na obawę wysokości leczyć się hipnotyzmem, który podobne choroby usuwać ma radykalnie*. Dowiedziawszy się o tym, Prus napisał czym prędzej w tej sprawie do Ochorowicza. Ten chętnie zapewne przeprowadził kurację,

zachowały się nawet jego notatki z tego czasu (nieczytelne, niestety). Wiadomo tylko, że Prusowi śniło się, że przechodził przez most w Paryżu... Jedno jest pewne – Ochorowicz jego lęków nie wyleczył. Bolesław Prus bał się już do końca życia.

***

Opowiem za chwilę o szczegółach pobytu Prusa na Śląsku. Dodam jednak najpierw, że zanim tu przyjechał, Śląsk nie był dla niego zupełnie nieznanym krajem.

Podobno tytuł jego najważniejszej powieści przyszedł mu do głowy tego dnia, kiedy przeczytał wiadomość prasową z Brna na Śląsku. Młoda wdowa i jej córeczka zostały oskarżone o kradzież lalki, a później uniewinnione przez sąd. *Lalka* miała swoich czytelników, krytyków, recenzentów – przeciwników i zwolenników, a wielu z nich zastanawiało się nad znaczeniem i genezą tytułu. Tego rodzaju dyskusje irytowały zapewne autora, który przecież nie tylko o lalce napisał, więc w *Kronice tygodniowej* z 1888 roku oddał głos Anglikowi i w jego usta włożył zabawną krytykę takiego sposobu analizowania utworu: *Pewien tutejszy autor napisał kilka lat temu powieść „Figa z Makiem" czy też „Dziura w Moście", usiłując scharakteryzować w niej życie społeczne, stosunki i typy kilku pokoleń. U nas w Anglii pytano by przede wszystkim: o ile owe typy i stosunki są prawdziwe i o ile są nowe? Tu jednak najniecierpliwiej dowiadywano się: dlaczego powieść nosi tytuł „Figa z makiem" czy też „Dziura w Moście" i czy Dziura ożeni się z Makiem, a Figa z Mostem?...*

Mając na uwadze taką opinię pisarza, porzućmy w tym momencie rozważania czy i na ile tytuł *Lalk*i wiąże się ze Śląskiem i opowiedzmy o zdarzeniach, których przebieg możemy odtworzyć z dużym prawdopodobieństwem. Opowiedzmy zatem o przyjeździe pisarza do Wisły.

***

Bolesław Prus, który bał się podróży, nowych miejsc i gór, zdecydował się przyjechać do Wisły na Śląsku Cieszyńskim. Widać siła przekonywania Ochorowicza była duża. Kiedy dokładnie jego wizyta miała miejsce, próbowano nieraz już określić, pisano nawet, że przyjechał dwukrotnie, ale ostatnie ustalenia badaczy są jednoznaczne – pisarz przyjechał około 18 czerwca 1900 roku razem z żoną i przybranym synem – Emilkiem, pieszczotliwie nazywanym Psujakiem.

Od początku wszystko go przerażało. *Całą podróż z Ustronia do Wisły odbyłem z zamkniętymi oczyma, a obecną moją turystyczną działalność zamykam w granicach jednego kilometra, niewiele zatem mogę powiedzieć o wszystkich tutejszych pięknościach* – pisał 22 czerwca w liście do Władysławy i Juliana Adolfa Święcickich. Nie tylko podróż była męcząca. Każdy spacer i próba przejścia po moście na drugą stronę Wisły wiązały się ze sporymi emocjami. We wspomnianym liście donosił, że przeszedł

trzy razy most na Wiśle (ten za protestanckim kościołem) i *obecnie odpoczywa na laurach, pracując*. W innym liście, tym razem do Aliny Sacewiczowej z 12 lipca zwierzał się, że przez pierwsze dni męczyły go tutejsze mostki, górki, strumyki i dopiero po jakimś czasie zaczął *godzić się z nimi*. Dodawał jednak, że od razu zauważał zalety Wisły, która miała stać się modnym kurortem, ale na razie była wsią położoną prawie na końcu świata. Miło nam przeczytać inne fragmenty listów, w których pisarz przyznaje, że związane z jego agorafobią dolegliwości nie przysłoniły mu faktu niezwykłej urody miejsca, które wybrał i dla siebie, i dla niego Julian Ochorowicz. *Jest to okolica niepospolicie ładna i łagodna* – przyznał popularny pisarz – *nasycona powietrzem czystym i miękkim… Na szczytach lasy świerkowe i bukowe, w dolinie lipy i klony, drzewa owocowe i pola bardzo urodzajne, a nade wszystko staranniej niż u nas uprawiane….* W takim otoczeniu stopniowo przychodziło uspokojenie po trudnej podróży i przygodach związanych z przekraczaniem wiślańskiego mostu. Ludność charakteryzował jako *grzeczną, pracowitą, wesołą*, w liście do Sacewiczowej (której przeznaczony był los osoby szczególnej w jego życiu) pisał: *mieszkam w kraju pięknym, wśród bardziej rozwiniętej i bardzo uczciwej ludności*.

Andrzej Podżorski wspominał, że Prusa interesowało życie miejscowych górali, ich zwyczaje i zabawy, *chętnie przysiadał się pod wieczór z Bogdanem Hoffem i Ochorowiczem do pasterskich ognisk na wolnym powietrzu i wdychał z lubością zapach ziemniaków pieczonych w łupinie w gorącym popiele. Lubił bawić się z dziećmi kier[ownika] Szkoły Goszyka, którym pomagał piec placki ziemniaczane na prymitywnie zbudowanym w olszynie piecu z kamieni*.

Porównywał poznane właśnie krajobrazy do tych, które już znał. Ta część Wisły, w której mieszkał, przypominała mu nałęczowskie wąwozy. Pisał: *wszystko to – dolina i wzgórza – jest zielone, składa się bowiem z pól, łąk, lasów świerkowych i bukowych bez śladu skał. A wśród tego płynie z szumem Wisła, szeroka na 20 kroków, płytka na łokieć, wysypana kamieniami, zaciemniona gajami, ozdobiona niezapominajkami itp. Roślinność jest tu bardzo bogata, co też czuć w powietrzu, które jest tu jakieś dziwnie łagodne i pachnące*.

Wracam do siebie – donosił radośnie Bolesław Prus – *mam sen, apetyt, cerę, ale nerwy dopiero zaczynają się uspokajać, a oko na dawnym miejscu*. Uzupełnić trzeba przy okazji, że z okiem były od zawsze kłopoty i to ono w końcu spowodowało, że Prus dość szybko pożegnał już na zawsze Wisłę.

Wróćmy jednak do tych dni, które spędzał w „Placówce", willi, którą wybudował Julian Ochorowicz. Willi już nie ma, ale nadal wiele osób zastanawia się, czy jej nazwa miała związek z tytułem znanej powieści pisarza – pozytywisty, czy raczej – a to już wersja bardzo prozaiczna – z nazwą placków. Ochorowicz już nam nie zdradzi prawdy. Prus napisał, że *P. Ochorowicz nazwał swój dom „Placówką" na cześć żydowskich*

placków, zwanych inaczej macami. Mace podobno sprzedawał w Wiśle pewien kupiec, a pisarz kupował je u niego, bo bardzo mu smakowały. Dodajmy jeszcze, że obok drewnianej willi był piękny ogród, a w nim srebrne jodły, które przetrwały pierwszych mieszkańców i właścicieli.

Powróćmy teraz do samego Prusa. Mimo że Wisłą nie był specjalnie zachwycony, co z żalem przyznajemy, zaprosił jednak znajomych do jej odwiedzenia. Przyzwyczajonych do modnych kurortów i tętniących życiem towarzyskim pensjonatów uprzedzał, że *arcywesoło tutaj nie jest, raczej nudno,* ale za to znaleźć tu można wielki spokój i *piękne spacery*. Pisał, że jeszcze trudno tu o mieszkanie, brak doktora, apteki i nade wszystko gości.

Pierwszy i ostatni zarazem pobyt Bolesława Prusa w Wiśle dobiegał końca. 28 lipca wyjechał z żoną i Emilkiem do Krakowa, bo tutaj czekała go kuracja neurologiczna i leczenie oka. Żona i Emilek wrócili do Wisły – pisarz nie wrócił.

Emilek odbył zaplanowaną podróż do źródeł Wisły i nawet ją opisał. Był zachwycony naszymi górami. Miał wtedy 14 lat. Cztery lata później zupełnie niespodziewanie zginął. Nie dowiedziono tego oficjalnie, ale mówiono, że popełnił samobójstwo. Strzelił do siebie. Zastanawiano się, jaki wpływ na jego zagadkową śmierć miała literatura młodopolska, w której się zaczytywał, a której jego opiekun nie tolerował, a jaki – *niewinna kokieteria narzeczonej*. Prus w jednym z felietonów pisał: *o młodzi przyjaciele, którzy z sześciorublowym rewolwerem w kieszeni myślicie o samobójstwie „z miłości", wierzajcie mi, że gra niewarta świeczki*.

Śmierć przybranego syna odsunęła od siebie małżonków. Zanim to jednak nastąpiło, Prus chętnie opisywał wspólny pobyt w Wiśle. Jednemu ze znajomych zwierzył się szczerze: *z Wisły powszechne niezadowolenie*. Ochorowiczowi napisał: *Wisła drażniła mnie bardziej niż ongiś Szczawnica*. Może z przykrością zadomowiony już u nas budowniczy wiślańskich pensjonatów czytał te słowa, podobnie, jak inne – równie szczere: *co Ty tam robisz, biedaku, na tej Syberii? (…) Rozumiem, że własnych gustów nie można narzucać bliźnim (…) Pomimo to wszystko nie mogę pogodzić się z tym Twoim pustelnictwem*.

***

Cóż pozostało? Satysfakcja, że naszą Wisłę odwiedził sam autor *Lalki*. Jak już nadmieniłam, niektórzy utrzymywali przez całe lata, że powrócił tutaj, co okazało się być jedynie ich pobożnym życzeniem. Pozostały też inne nieporozumienia, jak na przykład to, że napisał tutaj *Placówkę*, albo że spotykał się z Janem Wantułą – ustrońskim chłopem i wielkim miłośnikiem książek. Pogłoska ta nie jest zupełnie bezpodstawna, bo Wantuła nawiązał kontakt z Prusem, tyle że listowny. W dodatku na tyle ważny, że odnotowywany został w poważnych biografiach pisarza. O tym za chwilę. Na razie dodam, że pozostał jeszcze jeden ważny ślad związku Prusa z naszą

ziemią. Jest nim wydana we Frysztacie *Powracająca fala*, która ukazała się w serii tomików Biblioteki Ludowej cieszyńskiego wydawnictwa „Jedność".

Czas teraz na list Jana Wantuły, który przechowywany w rękopisie w Bibliotece Instytutu Badań Literackich PAN w Warszawie jest chętnie cytowany, bo świadczy o tym, do kogo trafiały książki powieściopisarza i felietonisty i jak były rozumiane. Nie trzeba dodawać chyba, że kontakt z Prusem chłopu z Ustronia umożliwił Julian Ochorowicz. W liście, który Jan Wantuła odważył się wysłać, autor *Lalki* przeczytał pełne egzaltacji, ale piękne i poruszające zdania:

Drogi Mistrzu Słowa! Ciężką i żmudną – często zawodną – jest praca chłopa; (...) U nas, na „placówce", praca podwójna; my śląscy chłopi – bez „starszej braci" – która scudzoziemczała – lub wymarła – mamy (...) obowiązek przechowania naszym potomkom skarbu – języka macierzyńskiego, który nam wróg zohydzić i wydrzeć usiłuje. Prawdziwym sokiem odżywczym – jaki my – gałąź od pnia oderwana – od macierzystego dostajemy – takim pokrzepieniem jest dobra książka. Dalej autor listu zachwyca się *Placówką* – bo ta książka spotęgowała w nim uczucie przywiązania do ziemi ojczystej. *Przeczytałem i dałem drugim* – wyznaje. Oddajmy mu ponownie głos, bo mówi w imieniu ludzi takich jak on. Stwierdza, że i w *Placówce*, i w *Faraonie* jest *tyle współczucia do nas – chłopów, że my spod słomianej strzechy żywiemy w sercach naszych szczerą wdzięczność do Ciebie!! a ja, dzięki pośrednictwu czcigodnego Dra Ochorowicza obdarzony przez Ciebie przepysznym opisem walki polskiego chłopa z chytrym Niemcem – czuję się zniewolonym wyrazić Ci nasze staropolskie: Bóg zapłać.* List podpisał *całą duszą wdzięczny Jan Wantuła*, a zacytowane słowa przelane zostały na papier przez inteligentnego i oczytanego chłopa w Ustroniu, 26 grudnia 1904 roku.

***

Na koniec zadajmy pytanie: czy wobec oczywistego faktu agorafobii i następstw związanych z chorobą mógł mieć szanse powodzenia wyjazd Bolesława Prusa do Wisły? Czy Wisła i Beskidy mogły go zachwycić i urzec? Odpowiedź jest dość oczywista. Pisarz nie polubi gór i nadal będzie najchętniej zaszywał się w Nałęczowie. Tam zawsze odzyskiwał spokój i nawet wówczas, gdy widział miejsca urokliwe i niewątpliwie piękne, pisał, że w górach wszystko go przygniata, w Nałęczowie zaś wszystko się uśmiecha.

Z żalem żegnamy Bolesława Prusa, czyli Aleksandra Głowackiego. W Wiśle wrócił do siebie. Czuł się może nieco zdrowszym i silniejszym, niż w Warszawie, ale nie miejmy mu za złe, że naprawdę wrócił do siebie dopiero wtedy, kiedy opuścił już góry pełne stromizm, otwartych przestrzeni, dalekich horyzontów, strumyków

i rzek z kładkami i mostkami dla niego nie do przebycia. Prus wrócił do siebie – do Nałęczowa, do Warszawy, ale wyobrażamy sobie, że nasza ziemia pozostała z całą swoją urodą i niedogodnościami w jego pamięci i sercu. Odjeżdżając pewnie mówił, jak mówi się w takich razach – do zobaczenia – do następnego spotkania. Były to jednak tylko słowa...

Byłem już bliski końca

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Niespokojne i urozmaicone było życie autora *Chłopów*. Imał się różnych zawodów, wykonywał różne profesje, całe lata szukał swojego miejsca. Syn wiejskiego organisty nie poszedł w ślady ojca. Interesował go daleki świat i wszystko, co tam mógł zobaczyć, a potem opisać. Był krawcem, kolejarzem i aktorem. Miał za sobą pracę u geometry, krawca, u kupca drzewnego, był ekspedientem w sklepie z dewocjonaliami. Widać chętnie uczestniczył w niezwykłych i podejrzanych wręcz przedsięwzięciach, skoro został kimś w rodzaju medium.

Ochorowicza i Reymonta łączyło zainteresowanie okultyzmem. Władysław Stanisław Reymont najpierw uważał siebie za spirytystę, ale potem w notatkach zapisał: *Mediumiści i okultyści, ludzie przeważnie głębiej się zastanawiający i mający oprócz wiedzy i umiłowanie prawdy, odsuwają się od spirytystów*. Drażniło go, że ci, którzy uważają, że mają kontakt z duchami, bywają oszukiwani przez medium. Uważał, że okultyści to ludzie nauki, a wśród nich był sam Ochorowicz. Zainteresowanie tymi sposobami poznania rzeczywistości wynikało nie tylko z ciekawości świata, ale i z chęci zdobywania wiedzy przy pomocy spirytystów. Ambitny syn organisty miał szczytne cele. Chciał się uczyć – wielu rzeczy i w krótkim czasie. Spirytyzm nie pomógł. Okazało się, że trzeba znaleźć inny sposób, więc Reymont poważnie myślał o wstąpieniu do seminarium. Ponieważ chciał się uczyć, potrzebował spokoju. Szukał go też u jasnogórskich paulinów, bo myślał i o zamknięciu się w klasztorze. Myślał też o śmierci. Nie był chyba szczęśliwy. Zanotował:

Zajrzałem śmierci w oczy, okrutna przechera,
Wtedy gdym wyciągał doń ramiona drżące
I słał prośby o nicość namiętne, gorące,
Szepnęła: – Formy niszczę – a ból? – Ból nie umiera.

***

Julian Ochorowicz namówił Władysława Stanisława Reymonta do przyjazdu do Wisły, gdzie zaczyna swój bieg królewska rzeka. Szczególny to był dla pisarza czas, ponieważ pracował właśnie nad nową książką, o której nie wiedział jeszcze wówczas, że będzie przełomowa w jego literackiej karierze. Przełomowa okazać się miała dopiero w 1924 roku, kiedy to uhonorowana została Nagrodą Nobla. Przyjeżdżając do Wisły, planował radykalne zmiany. Powieść wprawdzie była gotowa, ale nie był z niej zadowolony. Prawdopodobnie pierwszą wersję utworu poznał zaprzyjaźniony z nim Julian Ochorowicz i, być może, jak uważał Edmund Rosner, podsunął pisarzowi kilka pomysłów. Cieszyński badacz, wytrwale idący śladami pisarzy, którzy przynajmniej na jakiś czas zawitali na naszą ziemię, chciałby, żeby jak największą rolę odegrał pobyt autora Nagrody Nobla w Wiśle i wszystko to, co tutaj przeżył i usłyszał. Czy Julian Ochorowicz *udzielał niektórych szczegółowych wyjaśnień, bowiem dobrze znał stosunki wiejskie i świetnie orientował się z problemie serwitutów leśnych*? Czy uczestniczył w dyskusjach nad zagadnieniem *rysunku psychologicznego bohaterów* – jak chce Profesor? Tego się już nigdy nie dowiemy i, póki co, nie istnieją żadne dokumenty potwierdzające takie przypuszczenia. Przypuszczenia zaś wynikają z faktu, że – po pierwsze – Ochorowicz był psychologiem, a po drugie – jak wiemy, pomagał mieszkańcom Wisły prowadzić spory z Komorą Cieszyńską i *mógł Reymontowi podsunąć, jak powinna wyglądać w powieści sprawa zatargu leśnego z dziedzicem*.

Porzućmy teraz sferę domysłów i zajmijmy się faktami. Faktem jest, że Władysław Stanisław Reymont przyjechał do Wisły, faktem jest też, że szukał miejsca, które mogłoby zagwarantować mu spokój i umożliwić ponowne przemyślenie koncepcji nowej powieści. Takim miejscem Wisła niewątpliwie była. Pamiętamy, jak spragniony widać życia towarzyskiego Bolesław Prus narzekał na brak rozrywek i nudę, ale ta sama nuda i brak rozrywek odpowiadały z pewnością komuś, kto niedawno przeżył katastrofę kolejową, nie był zadowolony z tego, co napisał i chciał zacząć wszystko od nowa.

Wspomniana katastrofa była silnym i tragicznym przeżyciem, z którego długo nie mógł się otrząsnąć. Przypuszczam, że myślał o niej nawet wtedy, kiedy spacerował wśród naszych spokojnych krajobrazów. Pisał o niej w listach, więc musiała gościć w jego wspomnieniach. Marek Sołtysik tak opisuje okoliczności tego wydarzenia: *Wszystko (...) być może biegłoby bez przeszkód, gdyby pisarz nie lekceważył magii liczb. Trzydziestotrzyletni sławny autor, uczestnik seansów spirytystycznych, zapomniał, że fatum, ucieleśnione w widmowych barwach pełgającej świecy, wcale nie musi znikać w świetle letniego dnia. Trzynastego i w piątek rozpoczął podróż*. Jej przebieg był fatalny. Zginęła jego współpasażerka, a on chwilę przed katastrofą siedział na jej miejscu. Na szczęście przeżył, choć był potłuczony, miał skrwawioną głowę, złamane żebra, stłuczony kręgosłup. Długo chorował. Prasa donosiła: *Pisarz*

stracił słuch w jednym uchu, lekarze stwierdzili, że nie może stać ani chodzić. Dzieje się to na tle nerwowym.

Medycy ostrzegali. Konsekwencje wypadku mogą być poważne – *Jedni wariują, innym pozostaje rozstrój, a trzeba pamiętać o tym, że tu chodzi o nerwy i umysł artysty – pisarza, którego twórczości wypadek taki może wiele zaszkodzić.*

Trzeba było zrobić wszystko, żeby Reymont zaczął na nowo tworzyć. Może właśnie dlatego trzeba było przyjechać do spokojnej Wisły...

***

W liście do Jana Lorentowicza z 10 października 1901 Reymont napisał: *a teraz siedzę umyślnie w tej Wiśle, aby się zabrać do „Chłopów". Byłem już bliski końca. Katastrofa mi przeszkodziła, a teraz przeglądam napisane już rozdziały i drę niemiłosiernie – zaczynam zupełnie na nowo. Zrozumcie, co to za pewnego rodzaju męczeństwo – podrzeć całą prawie książkę – nie skrzywić się i zabrać na nowo do jej napisania! Albo dojrzałem, albo zgłupiałem, że to robić muszę – ale muszę.*

W innym liście z 24 października donosił: *„Chłopów" – podarłem. Piszę ich na nowo i nieco inaczej.*

W przeglądaniu napisanych już rozdziałów, które i tak miały zostać „podarte niemiłosiernie", uczestniczył z pewnością Julian Ochorowicz, to on właśnie znalazł się w niewielkiej grupie osób, które znały nieudaną wersję powieści. Tak utrzymywał też Jan Wantuła, który we wspomnieniach napisał: ... *powiedział mi dr Ochorowicz, że pewnego razu Reymont dał mu do przejrzenia obszerny manuskrypt, napisany na temat życia chłopów. Dr Ochorowicz przeczytał i uznał jako znakomity materiał dla dużej powieści. Poradził zniszczyć, a temat poruszony zgłębić, poszerzyć i przepracować na cykl powieści....*

Trochę ta relacja jest niewątpliwie przesadzona, bo nie sądzę, żeby rola Ochorowicza była aż tak znacząca, ale jakiś udział w powstaniu nowej wersji książki z całą pewnością miał. Przypuszczam, że Jan Wantuła – ustroński chłop, któremu znajomość z uczonym na pewno imponowała, chciał mu przypisać więcej niż rzeczywiście się wydarzyło.

***

Szukam miejsca, gdzie w Wiśle powstawała powieść, która zasłużyła na Nagrodę Nobla. Informuje o tym tablica, którą wmurowano w ścianę „Ochorowiczówki". Napis głosi: *W willi doktora Ochorowicza Władysław Reymont pisał powieść pt. „Chłopi..."* Tablicę wmurowało katowickie środowisko kolejarskie w ramach obchodów setnej

rocznicy urodzin pisarza. Chlubna to i piękna inicjatywa, szkoda jednak, że napis... mija się z prawdą. W 1973 roku Maria Pilch ustaliła, że w 1901 roku Ochorowicz mieszkał w willi „Jaskółka", a dopiero później przeniósł się do murowanego domu. Odwiedzający go wtedy Reymont mógł pisać „Chłopów" w „Jaskółce", lub w „Placówce", w której wcześniej zamieszkał Bolesław Prus.

***

Nastrój, w jakim Reymont przyjechał do Wisły, musiał być nie najlepszy. Biografowie pisarza wspominają o jego naturze hipochondryka, o wątpliwościach w swoje możliwości twórcze. Miał zobowiązanie wobec redakcji „Kuriera Lwowskiego", który chciał drukować jego powieść. Powieści nie było, a pół roku po katastrofie kolejowej zapytano o *Chłopów*. Reymont wówczas odpowiedział: *Albo ja wiem? Brak do końca stron kilkudziesięciu. Czy je napiszę kiedy? Nie wiem, bo jak dotychczas jeszcze do żadnej roboty wziąć się nie jestem w stanie; od miesiąca jest mi znowu tak źle, że nawet przestałem się łudzić nadziejami – zgadzam się zupełnie na los. Co da – to będzie*. List pochodzi ze stycznia 1901 roku. Domyślamy się, jak niespokojny był okres powstawania *Chłopów*. Autor był niezadowolony z pierwszej wersji, niepewny, czy kolejna będzie udana i czy w ogóle ją napisze. W brulionie powieści zaznaczył: *Chłopi. Epos ludowy w IV-ch częściach. Warszawa, Wisła, Zakopane, Kraków, Berg-Meil, Paryż, Połęga, Warszawa 1901*.

Zastanawiano się, dlaczego Reymont często zmieniał miejsce pobytu, pisząc książkę. Prawdopodobnie wciąż szukał spokoju i samotności. Nie podawał aktualnego adresu, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Tadeusz Miciński w liście do Zenona Przesmyckiego donosił, że *Reymont zatarł ślady*. W pewnym momencie zatarł ślady prowadzące do Wisły.

Ostatecznie pierwszy tom epopei z życia wsi narodził się w Warszawie i Wiśle, ciąg dalszy powstał we Francji – w Paryżu. Z perspektywy czasu wiślański okres pisania *Chłopów* stał się dla Reymonta jedynie epizodem, skoro relacjonując przebieg prac opowiadał:

Kiedy ukończyłem pierwszą redakcję tej powieści objętości około jedenastu tysięcy wierszy i przekonałem się, że jest to tylko opowieść chłopska, nie obejmująca jednak całokształtu psychiki i bytu chłopa polskiego, spaliłem rękopis i zasiadłem ponownie do pracy. W dzisiejszych „Chłopach" nie ma ani jednego zdania z tej dawnej powieści. Pierwszy pomysł „Chłopów" powstał na ziemi francuskiej i za temat miał francuskiego chłopa.

W Paryżu Reymont pracował systematycznie, codziennie do godziny pierwszej i nie lubił, kiedy mu wówczas przeszkadzano. Mówił, że „orze" od dziewiątej do pierwszej

i pokazywał zeszyt *gęsto zapisany i poznaczony niebieskim ołówkiem*. Uważał, że jest próżniakiem, dlatego planował na każdy dzień robotę, a po obiedzie szedł do kawiarni i na paryskich bulwarach widział wioskę, którą opisywał i słyszał, jak Antek rozmawia z Jagną albo Hanką, jak w Lipcach orzą i sieją. Czy tak intensywnie pracował też w Wiśle, kiedy zaczynał pracę nad nową, właściwą już redakcją powieści? Nie wiemy na pewno, ale możemy się domyślać, że pracował intensywnie, a swoich bohaterów miał przed oczami spacerując po beskidzkiej wsi.

Wprawdzie w kilku różnych miejscowościach powstawała jedna z najważniejszych polskich powieści, ale wszyscy ci, którzy piszą lub mówią o jej genezie, zawsze wymieniają Wisłę. Nie bez powodu. Pisarz przecież „był już bliski końca", kiedy zadecydował, że wszystko zaczyna od nowa. Każdy z nas, kto cokolwiek kiedykolwiek tworzył i stwierdził, że nie takiego efektu się spodziewał, a cała praca poszła na marne, zna to uczucie rezygnacji, zmęczenia i nadziei, że następna wersja może być lepsza. Świadkiem takich uczuć i takich nadziei była Wisła. Tu wszystko zaczęło się na nowo. Po latach na pewno Reymont pomyślał – warto było pojechać do dalekiej i spokojnej wsi. Warto było wszystko zacząć jeszcze raz…

Miasto jak kamień rzuciłem za siebie

JULIAN PRZYBOŚ

Pożegnajmy Wisłę i przenieśmy się teraz do Cieszyna. Na szczęście łatwo wyobrazić sobie, jak wyglądało centrum miasta w latach dwudziestych XX wieku. Miasto zachowało piękne kamienice, ratusz i wiele innych zabytków, a dzięki temu zachowało dawny urok. Patrząc na cieszyńskie ulice, widzimy je prawie takimi, jakimi zobaczył je kolejny pisarz z dalekiego świata.

Julian Przyboś, który jesienią 1927 roku powitał Cieszyn i którego powitał Cieszyn, był w środowisku literackim albo hołubiony i doceniany jako poeta – nowator, albo – wręcz przeciwnie – lekceważony i krytykowany. Jedno jest pewne – nie był anonimowy, a członkowie jego rodziny niebawem mogli powiedzieć – *Julian już w każdej encyklopedii przyszpilony jak motyl…*

Cieszyn powitał jednak nie tyle poetę, ile nowego polonistę gimnazjum. Julian Przyboś, zanim do nas przyjechał, miał już niewielkie wprawdzie, ale jednak nieodzowne doświadczenie w pracy nauczycielskiej. Uczył w Sokalu i Chrzanowie i wiedział już zapewne, że nie jest to zawód jego marzeń. Nigdy nie był i nigdy już nie będzie. Życie zmuszało go do szukania jakiegoś źródła zarobku (z literatury, jak wiadomo, profitów zbyt wielkich najczęściej nie ma, przynajmniej na początku drogi twórczej). Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, złożył więc podanie o pracę. Chciał uczyć na Śląsku, gdzie otaczać go będzie przemysł. Marzył o Bielsku, a trafił do Cieszyna. I znowu musiał się rozczarować. Nie tylko odstręczała go perspektywa wykonywania pracy, której nie lubił, ale i świadomość zaszycia się na lata całe w pięknym wprawdzie i urokliwym, ale zaściankowym i nieco sennym Cieszynie. Wkrótce więc dumny syn rolnika z Gwoźnicy Wielkiej nazwie miejsce swojego „zesłania" mało sympatycznymi określeniami, jak choćby *pokątna mieścina*.

W tym miejscu zwróćmy uwagę na oryginalną analogię, którą zauważył Bolesław Lubosz, na pół poważnie, na pół humorystycznie opisujący w „Alfabecie śląskim" różne postacie, a wśród nich i naszego Juliana Przybosia.

Uważa on mianowicie, że w swoim cieszyńskim epizodzie biograficznym awangardowego poetę spotkały koleje losu podobne do losów samego Adama Mickiewicza. Nie chciał być nauczycielem, a został nim i to w dodatku w Kownie – na prowincji i literackim odludziu. Uczył i cierpiał, bo był samotny i wyobcowany (jak przystało na romantycznego poetę). Zbieg okoliczności, czy szczególny przypadek sprawił, że nauczyciel Julian Przyboś niedawno napisał pracę magisterską na temat Adama Mickiewicza i chociaż wielu klasyków literatury ignorował lub wręcz krytykował, poświęcił mu jako krytyk literacki sporo miejsca i – co więcej – docenił jego geniusz poetycki.

Mickiewicz w Kownie tęsknił za przyjaciółmi pozostawionymi w Wilnie. Miał już dość uczenia *żmudzkich zakutych łbów. Chyba się nauczę pić...* – oświadczył nawet i szukał czegoś, co jego życiu nada sens. I znalazł, a na dowód tego zacytuję jego zwierzenia: *Te chwile pisaniu poświęcone, są całą moją zabawą i rozkoszą…* – Słowa te mógł powtórzyć zapewne i Julian Przyboś dodając jeszcze i to, co Mickiewicz dodał do opisu swojej belferskiej udręki: *Przychodzę do szkoły prawie zawsze zgryziony albo niesfornością, albo co częściej tępością uczniów. Praca daremna. Rzucam się na łóżko i leżę parę godzin, nic nie myśląc, tylko złując i kwasząc się. Czasem zaś kwasy i złości tak wielkie, iż dość przydać dwie uncje jeszcze, żeby się zwariować lub powiesić.*

Dramatyczne to słowa, których autorem jest Mickiewicz i wypada tylko mieć nadzieję, że większość nauczycieli nie przeżywa takich katuszy. Wiadomo jednak na pewno, że Przyboś jako nauczyciel cierpiał i choć nie wyrażał emocji w tak egzaltowany sposób, jak romantyczny wieszcz, to jednak „kwasy i złości" też dawały niewątpliwie o sobie znać, a „niesforność i tępość uczniów" (zapewne nie tylko ona) powodowała, że pracy pedagogicznej nigdy nie polubił.

Dodajmy jeszcze, że Adam Mickiewicz w Kownie napisał wiersze, które na trwałe zaistniały w literaturze romantycznej, a jego samotność i wyobcowanie, a także nieutulony wydawałoby się żal po Maryli Wereszczakównie, utuliła i osłodziła żona miejscowego lekarza – Karolina Kowalska. Czy znalazł się ktoś, kto osłodził cieszyńską samotność Juliana Przybosia? Zapewniam, że tak. Tu przecież spotkał kobiety swojego życia. Tu także napisał wiele wierszy ważnych w jego poetyckim dorobku.

***

Przyjrzyjmy się teraz nowemu poloniście zatrudnionemu w cieszyńskim gimnazjum. Pracował najpierw w Państwowym Gimnazjum im. Antoniego Osuchowskiego, ale w 1929 roku nastąpił podział na dwie szkoły, a Julian Przyboś został nauczycielem w Państwowym Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym im. Mikołaja Kopernika. Oto powód, dla którego dwa znane cieszyńskie licea od lat

wymieniają wśród wybitnych nauczycieli tego samego Juliana Przybosia i oba mają w swoich archiwach interesujące dokumenty związane z jego pracą w przygranicznym mieście.

***

Jak świat światem, uczniowie przede wszystkim starają się poznać nowego „belfra" i dowiedzieć się, na co mogą sobie pod jego rządami pozwolić. Tak jest dzisiaj, tak było i w latach dwudziestych w Cieszynie i tak będzie pewnie zawsze, dopóki istnieć będą szkoły – nauczyciele i uczniowie.

Nowy polonista był niepozorny, więc dowcipni górale z Istebnej zaśpiewali mu na początek: *Oj maluśki jako rękawicka*. Zdarzyło się też, że chcąc rozdzielić uczniów, którzy rękoczynem manifestowali różnicę zdań, sam przy okazji oberwał, bo w porę nie zauważono, że wmieszał się do dyskusji nie kolejny uczeń, a nauczyciel.

Skłonni do przeróżnych figli i dowcipów gimnazjaliści szybko przekonali się, że z Juliana Przybosia się nie żartuje. Nie warto. *Przyboś radził sobie z nami wcale nieźle* – zapamiętał jego wybitny uczeń, pisarz – Kornel Filipowicz – *polegało to zdaje się po prostu na tym, że nie zwracał na nasze wygłupy uwagi; nie reagował na nie, przechodziły przez niego jak przez powietrze*.

Jan Szczepański – znany socjolog, kolejny podopieczny Przybosia, wspominał, że profesor żył na uboczu, był jakby nieobecny, skupiony, niełatwy do rozszyfrowania.

Wielokrotnie spotkałam się z opinią, że był przy tym człowiekiem o wysokiej kulturze intelektualnej, miał ulubionych uczniów, do których kierował swoje wykłady. O nich i o jego sposobie prowadzenia zajęć jeszcze wspomnę. Na razie jednak oddam głos Erykowi Nanke i przytoczę jego cenne wspomnienia spisane w jubileuszowym wydawnictwie cieszyńskiego liceum im. Mikołaja Kopernika. Pamiętał on, że Julian Przyboś siadał za biurkiem w charakterystycznej pozie z łokciami opartymi o blat i rękami splecionymi pod brodą. Nie chodził po klasie, może dlatego, że był dość niski, niepozorny, a pozycja na katedrze dodawała mu powagi. Przy okazji dowiadujemy się, jak sprytni uczniowie oduczyli chodzenia pomiędzy ławkami innego nauczyciela – historyka. Umówili się, że będą wszyscy patrzeć na jego prawy but – speszony uciekł na katedrę. Tym, którzy zasiadają w ławkach, a raczej przy stolikach naszych współczesnych szkół od razu wyjaśnię, że dawniej powaga profesora wzmocniona była podwyższeniem, na którym stało jego biurko i krzesło. Nauczyciel wchodził na katedrę i z tej katedry dominował nad sztubakami. A dzisiaj? Cóż, wiele się zmieniło…

Wiele się zmieniło, ale ludzie, a raczej typy ludzkie i charaktery się nie zmieniają. Zastanówmy się w tym miejscu nie tylko nad tym, jakim nauczycielem, ale także, a może przede wszystkim – jakim człowiekiem był nauczyciel cieszyńskich młodzieńców i panien.

***

Nowy mieszkaniec Cieszyna niewątpliwie niełatwo nawiązywał przyjaźnie a nawet zwykłe towarzyskie kontakty. Mimo to i w tym momencie daleka jestem od uogólnień, bo są i tacy, którzy uważają się za jego dobrych znajomych, a nawet przyjaciół. Wiadomo też, że bywał w Hotelu Pod Brunatnym Jeleniem, a samotnicy rzadko tam zaglądali.

Jak wszyscy zgodnie podkreślają, a potwierdzają ich słowa zachowane fotografie (na przykład te, które oglądałam dzięki uprzejmości pracowników Muzeum Literatury w Warszawie) – był niski i drobny, więc może bronił się przed niedostrzeganiem jego wielkości i geniuszu. Matka zaprzyjaźnionego z nim Jalu Kurka zamartwiała się na przykład: *dlaczego on taki drobiażdżek?* i czy aby nie powinien więcej jeść.

Mówiono o nim, że jest sztywny i nietolerancyjny, małomówny i skupiony. Wyglądał jakby kij połknął i jak własny pomnik na cokole, był samotnikiem i zarozumialcem. Ci, którzy mieli z nim do czynienia mówili także, że miał wyraźnie wodzowski charakter. Najdobitniej zaś i w sposób obrazowy tę jego cechę charakteru opisał wspomniany już Jalu Kurek opisując pozornie tylko prozaiczną sytuację: *Kiedy [Julian Przyboś] je zupę, podnosi łyżkę do ust takim gestem, jak gdyby czynił zaszczyt zupie, że raczy ją konsumować.*

Ambitny był niewątpliwie i stawiał sobie w życiu wielkie cele. Oto fragment listu, który otrzymał od niego w 1925 roku świeżo upieczony maturzysta – Adam Przyboś – jego bliski krewny. *Przekroczyłeś najlżejszy etap życia i wkraczasz w ważny (…). Idziesz w życie, to znaczy idziesz w trud, który trzeba pokonać własną mocą* – przeczytał młodzieniec. Nadawca pisał, że chce, aby jego słowa były *mocnym uściskiem dłoni, powitaniem mężczyzny.* Mężczyzna pozna teraz, jak zapowiada starszy od niego i bardziej doświadczony życiowo Julian, *co to jest troska samotności opartej o siebie samego, o istotną wartość duszy bezpomocnej i jedynej w kosmosie.* Zauważmy przy okazji jak poetyckie słowa czytamy, a przecież to był tylko list… w dalszej jego części znalazła się uwaga o tym, że wkraczający w dorosłe życie Adam nie powinien liczyć na nikogo, pokonać wszystkich i za wszelką cenę ostać wobec żywiołu. *Naturalnie, o ile chcesz, jeśli masz ambicję zostać Przybosiem, tj. tym tragicznym i dumnym bojownikiem wyższości* – kończy swoje nauki ten, którego nazwisko wkrótce będzie przyszpilone w każdej encyklopedii dodając jeszcze, że u podstawy siły moralnej ich rodu jest *boski niepokój i ambicja*.

Nie mam wątpliwości, że Julian Przyboś miał poczucie własnej wartości. Jalu Kurek pamięta, że po śmierci W. S. Reymonta i S. Żeromskiego początkujący poeta miał powiedzieć: *Słuchaj, chwila jest doniosła, ubyły dwie wielkie kolumny literatury polskiej. Najwyższy czas, abyśmy skupili się w sobie i dali z siebie wybitne dzieła, na które czeka społeczeństwo. Czy* to był żart z powagą wypowiedziany, czy rzeczywiście, dwudziestoczteroletni absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego,

polonista pochodzący z Gwoźnicy w Rzeszowskiem, zamierzał dorównać „kolumnom literatury" – nie wiadomo. Sporo jednak dumy, a może i zarozumiałości być musiało w młodym twórcy, skoro przez lata całe mówiono o jego pewności siebie i braku tolerancji dla innych – słabszych, mniej zdolnych, mniej utalentowanych.

Czy zabiegał o przyjaźń innych? Chyba niezbyt gorliwie. Wiedział, że jest samotnikiem, ale samotność wynikała z faktu, że inni nie nadążali za jego sposobem myślenia o świecie. Samotny geniusz – jak romantycy. Znamienny jest list pisany w Cieszynie 9 stycznia 1928 roku. Tego dnia wzruszył się bardzo, bo otrzymał od rodziny życzenia imieninowe. *Nawet ta, która mię kocha, nic nie wie o moich imieninach. Byłem [skreślił: jestem] dotąd i jestem niemal całkowicie sam.* Zwierzył się szczerze, że dzień imienin jest dla niego najbardziej ponurym dniem, jaki przeżył w Cieszynie. Twierdził, że nie skarżył się nigdy, a jednak tu dosięgła go melancholia i żal. Jednym z powodów była nielubiana profesja: *w szkole moc roboty, zadania, nuda i potworność: wieczne mielenie tego samego głupstwa.*

***

Samotnik i indywidualista sam decydował o tym, który z uczniów jest godny jego nauczycielskiego zainteresowania. Zbierając opinie o jego wychowawczych i dydaktycznych poczynaniach, zorientowałam się, że są one – na ogół – albo bardzo entuzjastyczne, albo zdecydowanie krytyczne. Trudno w takiej sytuacji jednoznacznie ocenić jego pracę, która polegała przecież nie tylko na przekazywaniu wiedzy, ale także na wychowywaniu młodych ludzi. Jedno jest pewne – dla wielu z nich był mistrzem, przewodnikiem i autorytetem i jemu właśnie zawdzięczają swoje późniejsze życiowe wybory. Dla innych był nauczycielem, który poświęcał się tylko wybranym i utalentowanym, formułował nietypowe tematy wypracowań i w ogóle wymagał dziwnych rzeczy.

Jego lekcje przypominały raczej seminaria, były lekcjami z poetą – nie nauczycielem. Lubił rygor i dyscyplinę. Jedni się go bali i nie rozumieli, inni – słuchali z zainteresowaniem. A zainteresować podobno umiał, jak żaden inny cieszyński polonista. Przynosił współczesne czasopisma literackie, omawiał wydarzenia artystyczne. *W ostatnich klasach interesował się nami blisko i żywo prowadził z nami na spacerach sokratyczne rozmowy, nie ukrywał przed nami swoich, bardzo na owe czasy niebezpiecznych przekonań religijnych* – wspominali uczniowie. Jeden z nich, krytyk literacki – Alfred Łaszowski pięknie pisał o zasługach swojego polonisty – o jego cyzelowaniu języka, o dbałości o słowo. *Z mowy polskiej uczynił narzędzie ze światła…*

Uczniowie, których wyróżnił, mieli okazję poznać innego Juliana Przybosia – takiego, który uczył podczas spacerów uliczkami Cieszyna i wzdłuż Olzy, który

dyskutował z nimi i słuchał ich opinii i opowiadał o tym, co jego samego fascynuje i intryguje, a nawet zachwyca.

Bogusław Kierc, autor opracowania o poecie zachował wspomnienia, które nie dotyczą wprawdzie cieszyńskiego epizodu, ale wiążą się ze spacerowaniem z Przybosiem. Pisze: *nie udało mi się trafić w jego gwałtownie zmieniany rytm chodzenia. Wolno, wolno, wolno i nagle zwrot, stale inaczej.* Czy tak chodził po Cieszynie ze swoimi uczniami rozmawiając o literaturze – stale inaczej?

***

Od początku pobytu wybitnego przedstawiciela Awangardy Krakowskiej wiadomo też było, że jest inny niż nauczyciele, którzy uczyli dotąd cieszyńską młodzież, bo jest poetą, czci miasto, maszynę i masę. W dodatku pisze dziwne wiersze zamieszczone w dziwnym tomiku z dziwną okładką. Rzeczywiście, zbiorek poetycki *Śruby* oglądano ciekawie w oknie wystawowym księgarni Stuksa przy Placu Świętego Krzyża.

Wierszy Juliana Przybosia i ich graficznych opracowań nie rozumiano, więc wzbudzały one ironiczne komentarze. Raczej je oglądano niż czytano i to bez entuzjazmu, *wydawały się alogiczne, futurystyczne…*

Nowy nauczyciel zamieszkał najpierw w kamienicy na Rynku pod numerem dwudziestym, a potem przeniósł się na Górny Rynek. Podobno od razu zademonstrował swoją odrębność malując sufit na czarno. Przyboś w notatce „o mieszkaniu" pisał: *Człowiek stworzony jest do mieszkania z powietrza i światła. Mieszkanie – jako przestrzeń zamknięta – to przesąd.*

Może i przesąd, ale za to dość kosztowny, bo sporo za nie płacił – było tego warte, skoro, jak pisze Wojciech Trzcionka w „Dzienniku Zachodnim", *jako jedyne w całej kamienicy miało drewniane posadzki i bieżącą wodę w kuchni.* Na domu, w którym mieszkał umieszczono po latach tablicę pamiątkową ogłaszającą wszem i wobec, że znakomity poeta zaszczycił nasze miasto swoją obecnością.

***

Dziwne wiersze, czarny sufit, drobna postura i surowe obejście – to nie wszystkie cechy, które powodowały, że Julian Przyboś nie był nauczycielem zwyczajnym i jednym z wielu.

W anegdotach zachował się opis jego zachowania, jego powiedzonka i zdarzenia. Mówił podobno, chcąc kogoś pochwalić, że *bystro zauważył*, a kiedy domagał się, żeby uczennica podała przykład sprzeczności w zdaniu zbudowanym z dwóch członów wykluczających się nawzajem, powiedziała w końcu ratując się przed „pałą": „suche majtki na dnie morza". Profesor Julian Przyboś tę odpowiedź uznał.

Nie tylko anegdoty charakteryzują pracę poety. Starając się odpowiedzieć sobie i czytelnikom na pytanie – jak uczył Julian Przyboś, trafiłam na wypowiedzi i dokumenty, które pomogły mi choć po części stworzyć w wyobraźni „zesłanie" do pokątnej mieściny awangardowego poety. Dzięki uprzejmości dyrektora cieszyńskiego „Kopernika" – Kazimierza Kabiesza, mogłam dokładnie spenetrować archiwum, które dopowiedziało wiele faktów. Pożółkłe dokumenty zawierają podpisywane przez niego świadectwa, oceny, sprawozdania, formułowane przez niego tematy wypracowań i opinie o uczniach. Oto niektóre szczegóły:

W roku szkolnym 1934/35 profesor Julian Przyboś przeprowadził lekcję pokazową, to znaczy taką, w której uczestniczą nie tylko uczniowie. *Tematem lekcji było ćwiczenie w pisaniu i dyskusja nad wypracowaniami uczniów* – czytamy w sprawozdaniu – *Temat wypracowań dawał uczniom możliwość wyrażenia swych przeżyć; kierując dyskusją nauczyciel uwydatnił moment wychowawczy jakim było poczucie odpowiedzialności za czyn.*

Napisano też w sprawozdaniu, że w lekturach nadobowiązkowych czytano nowości wydawnicze z literatury polskiej i obcej.

Językiem dalekim od poetyckiego redagował nauczyciel Julian Przyboś sprawozdania ze swojej pracy. Zmuszony do tego rodzaju „twórczości" nie był pewnie zachwycony, ale trzeba było pisać, więc pisał. W pierwszym semestrze roku szkolnego 1936/37 relacjonował, że w jego klasie są nowi uczniowie. Za jedno z pierwszych zadań uznał tedy zapoznanie się z indywidualnością nowoprzybyłych. Jego wychowankowie pisali kronikę klasową, a w niej zamieszczali wypowiedzi na temat bieżących wydarzeń, najlepsze zadania. *Tak więc ta kronika stała się niejakim instrumentem pojednania i zżycia się uczniów* – pisał wychowawca. Organizował wycieczki, podczas których na przykład uczniowie zwiedzili warsztaty drukarskie i introligatorskie, muzeum miejskie, schronisko na Równicy; a jedna z nich, jak czytamy, była wycieczką rozrywkowo-towarzyską i polegała na pieczeniu ziemniaków i zabawie. Przedstawiając własne osiągnięcia Julian Przyboś żalił się też, że w ubiegłym roku szkolnym wychowankowie okazywali dużo większe zainteresowanie dla spraw związanych z inscenizacją fragmentów dramatycznych lektury szkolnej, recytacji zbiorowej i chóralnej, *nowoprzybyły materiał uczniowski okazał się dla tych zajęć mniej wdzięczny* – podsumował zrezygnowany.

Lektura tematów wypracowań (bo i one znalazły się w archiwum) była szczególnie interesująca. Znalazłam wśród nich typowo „szkolne", na przykład: *Dlaczego pierwsze cztery rozdziały „Ogniem i mieczem" wzbudzają moje zainteresowanie?; Rycerz bez skazy. Życie i śmierć Longinusa Podbipięty.* Na tle dość oczywistych i latami eksploatowanych poleceń były i inne – jak perełki rzucające się w oczy. Dodam jednak, że tych perełek było sporo, widać nowy polonista nie próżnował (bo to jego wła-

śnie posądzam o tak oryginalne i nietuzinkowe pomysły). Oto przykłady: *Ulicą Głęboką; Moje popołudnia; Obrazowanie w opisie wschodu słońca; Życie poranne w moim domu; Ruch na boisku szkolnym; Na rowerze; Już biało; Gdy pociąg wjeżdża na stację w Cieszynie; Na lekcji tańców; Na Placu Klasztornym w dzień targowy; Przedwiośnie na polach zamiejskich; Żywioł śniegu i lodu; Ruch koło „Kuźni Młodych" w Cieszynie; Zakręt ulicy; Zdarzenie; Skrzydła nad światem*.

Zastanówmy się teraz, ile musiał się nagłowić przeciętny uczeń, kiedy zrezygnowany i zdenerwowany gryzł ołówek i myślał, jak zacząć wypracowanie na temat: *Zakręt ulicy*; *Żywioł śniegu i lodu* – lub – *Zdarzenie*. Nie chciałabym być w jego skórze…

***

Nie tylko uczniowie się głowili nad zadawanymi zadaniami i wypracowaniami. Niemały kłopot z nowym pracownikiem miały władze szkolne, bo zawsze uczył tak, jak chciał, a nie tak, jak wymagały tego dydaktyczne prawidła. Jan Szczepański napisał po latach, że jego wiedza w zakresie dydaktyki była *nieznaczna,* a Alfred Łaszowski – że nielubianą pracę pedagogiczną *wykonywał tyleż solidnie, co niekonwencjonalnie*.

Przede wszystkim miał swoje literackie sympatie i antypatie. Jeśli któregoś z pisarzy nie lubił, wówczas go ignorował, lub ostentacyjnie krytykował. Ludwik Brożek na przykład miał do niego żal o niezapomniany i znaczący gest. Wrzucił podobno do kosza na śmieci *Wyrąbany chodnik* Gustawa Morcinka nie czytając nawet zamieszczonej w książce dedykacji. Mieszkającej w Górkach Wielkich Zofii Kossak nie odwiedził i nigdy nie doceniał jej twórczości. Może dlatego, jak delikatnie sugeruje Alfred Łaszowski, że niezbyt dobrze znał jej książki, które od razu zaszufladkował i z góry ocenił jako niewartościowe. Tacy pisarze go nie interesowali i nie powinni również interesować jego uczniów.

Zaszufladkował zresztą nie tylko Zofię Kossak i Gustawa Morcinka, najważniejszy jest fakt, że mimo obowiązujących programów nauczania, w osobliwy sposób demonstrował swój gust literacki w ten sposób, że skazał na niebyt tych, których nie lubił, nie doceniał lub nie znał. Jako poeta Awangardy Krakowskiej, wyznawał, rzecz jasna, zasady i teorie sformułowane przez Tadeusza Paipera, który jest autorem znanego hasła: 3xM. Trzy wartości – miasto, maszyna i masa były swoistą ewangelią młodych twórców. Wszystko inne można było, a nawet należało zlekceważyć. Tradycyjni poeci wcale nie musieli być autorytetami. Nie doceniał Kasprowicza i Wyspiańskiego, omijał „Skamandrytów", a zachwycał się Kazimierzem Przerwą–Tetmajerem. Lekceważył i krytycznie oceniał współczesnych twórców. Nie znosił futurystów (Bruno Jasieński, jego zdaniem to zwyczajny ignorant), wyśmiewał turpistów (którym sam zresztą „wymyślił" nazwę), nie doceniał Czesława Miłosza i Ernesta Brylla, któremu na początku jego kariery pisarskiej powiedział, że nie powinien zostać poetą. Nic więc dziwnego, że sporo było tych, którzy go nie lubili.

Dodajmy przy tej okazji, że podobny sposób myślenia charakteryzował po latach także Juliana Przybosia – krytyka literackiego. Pisze o tym znana śląska badaczka, profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz, która cieszyńską biografię Przybosia „odkryła" dla nas i opisała. Zauważyła ona, że *błogosławił lub wyklinał, poprawiał, ganił, prostował błędne – w jego odczuciu – ścieżki naszej współczesnej literatury*. Miał w dodatku dość irytującą manierę – jak sam mówił – „napadał" na znanych twórców i wiele było w jego sposobie mówienia o innych literatach „nauczycielskich" przyzwyczajeń – wciąż nauczał i pouczał, bo przecież wiedział lepiej niż inni, wiedział najlepiej...

***

Jak Julian Przyboś postrzegał Cieszyn i okolice? Jak je zapamiętał, jak zapisał na zawsze w swoich wierszach emocje, których tutaj doświadczył?

Szukając odpowiedzi na te pytania, przeglądałam jego listy, notatki, które wydał po wojnie w tomie *Zapiski bez daty* i, oczywiście, wiersze. Wiersze z lat cieszyńskich umieszczone zostały w tomach *Sponad* (1930 r.), *W głąb las* (1932 r.), *Równanie serca* (1938 r.)

Choć moim celem nie jest analiza utworów twórców, o których opowiadam, zaproponuję Czytelnikowi lekturę choć kilku fragmentów „cieszyńskich" wierszy Juliana Przybosia. Wiersze są przecież na ogół lirycznym zapisem przeżyć i emocji, a jego przeżycia i emocje chcemy poznać. Uprzedzam od razu, że wiersze Przybosia nie są łatwe. Wynikają one z realizacji niełatwych założeń i rewolucyjnych zasad. Poezja nie powinna mówić wprost, a wiersz nie musi, a nawet nie powinien być *prosty jak podanie ręki*. Czytelnik wierszy Juliana Przybosia musi przedzierać się przez gąszcz metafor, powinien wysilić się, żeby zrozumieć i odczytać sens. Jeden z pisarzy – Tymoteusz Karpowicz, oryginalnie powiedział o tym, na czym polega mówienie nie wprost, a posługiwanie się obrazami poetyckimi. *Jeżeli powiedzielibyśmy: „pani domu była bardzo znudzona", to dla poezji nic z tego nie wynika. Natomiast jeżeli w tej samej sytuacji powiemy, że ,,szlafrok pani Zofii ziewał przerzucony przez poręcz krzesła, na którym siedziała" – jej nuda zostałaby „urzeczowiona"*.

Tak właśnie mówił Julian Przyboś, który wielką wagę przywiązywał do „zawodu" poety, co wielokrotnie podkreślał, na przykład w *Zapiskach bez daty,* czy w samych wierszach. Uważał, że jego życie to pogoń za nienapisanym jeszcze wierszem, *Prawie nigdy nie jestem z siebie zadowolony. Prawie nigdy? Nigdy? a więc... muszę napisać swój wiersz najtrudniejszy.*

Zwierzał się, że pisanie jest jedynym celem jego życia: *Całe życie poświęcić poezji – żyć poezją? Czy to nie strata życia? Ale cóż jest życiem ludzkim, jeśli nie uprawianie zawodu?* Jego życie odzwierciedlone było w poezji, a poezja była jego życiem, dlatego krytycy piszą, że możemy mówić o biografii Przybosia zawartej w jego wierszach.

Tym bardziej wiec wczytajmy się w poetyckie opisy „jak motyl przyszpilonego w każdej encyklopedii" nauczyciela z Cieszyna. Może w wierszu *Wieczór* odnajdziemy opis miasta sprzed wojny.

Ogrody opuściły swoje drzewa,
Szare domki znad rzeki – spłynęły.

Krytycy literatury zauważyli, że z zapałem realizujący hasła nowej sztuki poeta, który zachwyca się miastem, zmienia się w Cieszynie i zmienia się też jego poezja. Inne stają się nowe tomiki wierszy. Słowa klucze z wczesnego okresu jego twórczości, takie jak koło, rozruch, dynamizm, ustąpiły miejsca słowom opisującym inny świat – świat, który go otaczał i świat, który przypominał mu dom rodzinny.

Nie wiemy, oczywiście, jaki byłby Przyboś – poeta, w drugiej połowie lat dwudziestych, gdyby udało mu się zrealizować plany i otrzymać posadę nauczyciela w którymś z miast przemysłowego Śląska. Tymczasem mimo zniechęcenia i przygnębienia miejscem, w którym znalazł się wbrew i na przekór, musiał przyznać, że u nas *przestrzeń (...) porywa ku sobie, wabi*. Zwabiła go przestrzeń, bo przecież nie był synem miasta. Julian Przyboś był synem ziemi, synem wiejskiej zagrody i błotnistej drogi. Musiał sobie o tym przypomnieć w miejscu, które podobno zrodziło się z uśmiechu Boga.

Być może właśnie tutaj surowy i zdystansowany, nieprzystępny i zasadniczy belfer stał się sentymentalny. Coraz częściej przyznawał się do tęsknoty za rodziną, wspominał własne dzieciństwo, przywoływał prawie już zapomniane obrazy, wydarzenia i ludzi: *Urodzony do pługa – z nadmiaru Ziemi zostałem poetą* – przyznał w końcu. Wiersze jego stają się bardziej liryczne, osobiste, refleksyjne. Mniej w nich śrub, obrotów, kół i rozpędzonych maszyn. Pojawiają się za to łagodne wzniesienia, daleka linia horyzontu, drogi i przestrzenie. Zbuntowany wobec tradycji, sentymentalnych uniesień, nie mógł pozostać obojętny wobec tych uniesień i sentymentów, które niesie z sobą obcowanie z naturą.

Coraz częściej odwoływał się do zapamiętanych z dzieciństwa krajobrazów, pamiętał widnokrąg, własną chałupę i drogę, na której się bawił, w wyobraźni wracał do czasu, kiedy stary Pilecki siedział w cieniu jodeł i grał na fujarce. Była to szczęśliwość rajska, spadła mu na czoło kropla z gałęzi, ptaszek z niej poleciał i pomyślał poeta: *świat to miejsce zdziwionego szczęścia. Raj*.

Rozmawiałam z mieszkańcami okolic Gwoźnicy, którzy pamiętają, że Julian Przyboś jako dziecko grywał na fujarce. Sam zresztą przyznał, że najwcześniej oddziaływały na jego wyobraźnię pieśni pastusze, bajania starej Pileckiej z sąsiedniej chałupy.

Cóż, Przyboś uważał, że *istnieją miejsca na ziemi szczególnie dla człowieka*

przychylne, takie, z którymi można się porozumieć, które można przenikać, jak roślina korzeniami przenika i gruntuje sobie to jedno, przeznaczone sobie na zawsze. Czy miejscem szczególnym była nasza ziemia? Zapewne w jakimś sensie tak. O tym, co na niej widział i czego doświadczał pisał w wielokrotnie cytowanym w kontekście pobytu w Cieszynie wierszu: *Co dzień*. Początek brzmi jak przygnębiająca spowiedź nauczyciela, który bez ogródek wyznaje:

Po schodach, piętrach, wzdłuż ścian korytarzy
szwendam się i obijam, i nuda mnie miele
w murze i wapnie,
aż mnie jeden zakurzony pokój zamknie,
osłupi,
i pada, i mży nad głową w dzień i w nocy – sufit.

Skonany-m wśród zajęć szkolnych jak pośród pustaci,
ja, tępymi pałami uczniów utłuczony belfer.

Obraz skonanego belfra szwendającego się po szkole wzdłuż labiryntów korytarzy przypomina przygnębiające oniryczne wizje Brunona Schulza. Na szczęście nie tylko szkołę zapamiętał poeta, który przyznawał w tym samym wierszu, że *wystarczy niewiele*

W pierwszy lepszy wieczór jasny
wyjść za lasek zamiejski, ku polom w górze…

Krajobrazy i przestrzenie mimo tak obiecującego początku tego fragmentu tekstu nie są tylko źródłem ukojenia. Przekonujemy się nieraz, że dla Przybosia i one mogą stać się źródłem udręki. Krytycy literaccy wypowiadający się o jego utworach zauważyli lęk przed wielkością natury, a według Kanta lęk świadczy o tym, że jednostka nie osiągnęła pełni rozwoju, że nie panuje nad światem. Badacze twierdzą nawet, że skoro Kant mówi, że lęk wobec potęgi natury odczuwamy z bezpiecznego miejsca, w pewnym sensie jako turyści, to *kontakt Przybosia z przyrodą (spoza jego wsi) był właściwie zawsze kontaktem turysty-wycieczkowicza*.

Mówiłem – krajobrazami, marzenia powierzałem równiom – to wyznanie poety staje się jasne, kiedy na przykład zestawimy opisywane przez niego pejzaże z tym, co mówi sam o sobie w listach, czy *Zapiskach bez daty*.

Kiedy poeta zwierza się w cytowanym wierszu *Co dzień*: *głowę porywa mi otchłań i mogot przerażeń,* mówi o tym, co było prawie jego obsesją. Otchłań przerażała

i fascynowała go od zawsze. Poświęcę jej teraz więcej miejsca, bo to właśnie otchłań zabierze mu poznaną w Cieszynie kobietę, którą kochał. Julian Przyboś wyznał, że kilka razy w życiu doznał tak silnej pokusy otchłani, że zadał sobie pytanie – czemu tej pokusie nie uległ, dlaczego nie skoczył w przepaść (np. podchodząc ścieżką na Trzy Korony). Byłby to, jak pisze, lot samowładny, niestraszny i ten lot miałby, jak się wyraził, urwać ważące się wtedy w jego życiu sprawy najtrudniejsze. Dlaczego nie skoczył? Bo wstrzymał go mały rozmiar tych otchłani, może klaustrofobia, lęk, wstręt do ciasnoty, tunelu, szczeliny. Szczerze też napisał, że może pycha i duma, że oto miałby zginąć powierzywszy się wymiernej przepaści. Lepiej byłoby rzucić się w górę, w otchłań nieba, „wniebowspaść". *Może mit wniebowstąpienia jest tylko złagodzeniem dla potrzeb owieczek tego pociągu do otchłani, czyli do śmierci największej?* – tak kończy swoje dość niecodzienne wyznanie.

***

Wspominając choć pokrótce o wierszach napisanych nad Olzą, chcę nieco więcej miejsca poświęcić rzadziej zauważanemu utworowi: *W głąb las*. Jest w nim i tytułowy las, drzewa, konary, złamana gałąź, żółte liście na wichrze i polana. Właśnie tom: *W głąb las* wydany w Cieszynie był, zdaniem Jerzego Kwiatkowskiego, tomem przełomowym, bo ma się wrażenie, że to w nim poeta żegna się z miastem. Tom zawierał poezję pejzażu i w nim, jak sądzono, zrodziła się autopsychoanaliza. Pomijając przypuszczenia naukowców, sądzić możemy, że tom i jego tytułowy utwór musiał być ważny w dorobku poety, skoro zdarzyło mu się wybrać dla siebie pseudonim: Julian Wgłąbleski. To nie wszystko – wiersz miał swoją kontynuację, która nosi tytuł: *W głąb las [II],* a został napisany w okresie rekonwalescencji w Konstancinie i Oborach w czerwcu 1970 roku – roku śmierci poety – i określony przez Kazimierza Wykę jako jedno z wielkich osiągnięć liryki polskiej w ogóle. Jest to wiersz szczególny, wiersz – szept, wyznanie, żegnanie się ze światem. Z jednej strony łagodny opis rzeczywistości, a drugiej – dramatyczny obraz umierania. Wiersz ten znalazł się w tomie *Wiersze ostatnie* z 1971 roku, a zaczyna się pięknie:

Leśne, rośne i wonne rano
Słońce wschodzi z gałęzi,
idę wolno, chwiejnie, polaną,
jak po lek, po dziewięćsił

Autor pisze dalej, że słucha ciszy, idzie sam – i idzie w głąb, w las, *w starodrzewny przebyt bez domu. Czas mi nastał* – wyznaje i słyszy kukanie kukułki, spotyka się z czasem dzieciństwa i przede wszystkim z Matką (słowo to napisał dużą literą).

Przyznaję, że choć moja lektura wierszy Przybosia raczej ze wzruszeniami ma niewiele wspólnego, nad tym wyznaniem zatrzymałam się dłużej. Coś w nim jest bardzo osobistego, dramatycznego i pięknego zarazem. Może dojrzałość i uspokojenie, wyciszenie i pokora?...

***

Mam nadzieję, że zamyśliliśmy się wspólnie nad wierszami Przybosia. Powiem jeszcze o jednym, który powstał już po jego wyjeździe, będącym nie tylko ucieczką przed wybuchającą II wojną światową, ale może i ucieczką przed „pokątną mieściną". Kto to wie? Wiadomo za to, że wracał tu jedynie w odwiedziny.

Przyboś miał swoje ulubione miejsca w Cieszynie. Wychodził ze swojej samotni na Drewnianym Rynku i szedł w stronę Olzy. Zapewne mijał Przykopę ze starymi domkami i wędrował wzdłuż rzeki. Morcinek w *Ziemi Cieszynskiej* napisał: *Przybosia oczarowuje ulica zwana Przykopą, biegnąca kręto wzdłuż dawnych murów obronnych i przemieniająca się w cieszyńską Wenecję, z szeregiem starych domków parterowych stojących tuż nad Młynówką.*

Spacerował też po Lasku Miejskim i w wyobraźni układał nowe wiersze, a po latach, kiedy przyjechał do Cieszyna służbowo – jako dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej, znów wyruszył znaną z dawnych czasów trasą, aby odnaleźć wspomnienia. Odnalazł je zapewne. Tego dnia złożył wizytę wspomnianemu już Ludwikowi Brożkowi. Zaowocowała ona wierszem *U szkolnej muzy* dedykowanym Brożkowi, ówczesnemu kustoszowi muzeum. Rękopis pozostawił temu, który zawsze z należytym entuzjazmem i starannie dobierając pozytywne przykłady, pisał i mówił o jego pobycie w Cieszynie, ale równocześnie pamiętał moment wrzucenia do kosza na śmieci nieszczęsnego *Wyrąbanego chodnika*. Jak opowiadał Bolesławowi Luboszowi, niechcianą książkę ocalił wówczas, było mu przykro i nie rozumiał, czemu miał służyć tak ostentacyjny gest. Julian Przyboś nie wiedział zapewne o sympatiach i antypatiach bibliofila i bibliologa, zwanego przez wielu „cieszyńskim Estreicherem", który pracowicie zbierał, notował, przechowywał i opracowywał wszystko, co dotyczyło literatury i historii Śląska, a w szczególności Śląska Cieszyńskiego. Przechował więc i rękopis z dedykacją Juliana Przybosia, który podarował czytelnikom wiersz – wspomnienie o Cieszynie i swoich po nadolziańskim mieście wędrówkach.

Po długich latach, wróciwszy, idę tą samą aleją.
ale cienistszą niż niegdyś, a gwałtownie pustą,
jak gdyby w niej czas ustał,
świat zanikł.

oplecioną gałęziami wokół
Jak kokon
z dziurą, którą wyfrunął jedwabnik.

Tak zaczął swój wiersz – wspomnienie dawny profesor cieszyńskich szkół. Dalej przywołał w nim widok pomniczka bohatera miejscowej zasługi, świecącego czołem w upale – i słońce, które pławi się w piwoniach.
Nostalgiczne jest zakończenie tego wiersza, więc warto przeczytać...

(I życie mi na chwilach zbiegło?)
Nie, to z furtki ogródka idą mi dzieci –
nie: byli moi uczniowie, naprzeciw.

Towarzyszko każdego dzieciństwa, Nauczycielko,
przyśpiewująca mój rytm, głoskobarwę wszelką,
Eufonio w różowym szaliku!
Znów młoda biegniesz, powiewając niebieską chusteczką,
by wywołać wieczór –
i powłóczysz patrząc moim spojrzeniem wysoko,
gdzie mała zorza zniża się na cokół
i rudzieje w brązowej brodzie na pomniku,
żeby, gdy cię obejmę, w zaśnięciu zaniknąć.

***

Rozstajemy się na razie z poetyckimi zwierzeniami Juliana Przybosia – nauczyciela i literata. Na koniec jeszcze tylko przyjrzyjmy się, jak wyglądały wydane w Cieszynie tomiki. Ci, którzy dziwili się lub nawet kpili oglądając *Śruby* na wystawie w księgarni Stukasa, nie byli zdziwieni, kiedy wydany został kolejny zbiór wierszy. W marcu 1930 roku drukarnię Karola Prochaski w Czeskim Cieszynie opuścił tom *Sponad* (według ówczesnej pisowni *Z ponad)*. Znów opracowanie graficzne zawdzięczał Władysławowi Strzemińskiemu, z którym Przyboś współpracował. W zamyśle chodziło o to, żeby zarówno okładki jego wierszy, jak i opracowanie graficzne poszczególnych stron – wielkość, zmienność czcionek, a zwłaszcza linie, których wzajemne proporcje są zawsze zmienne, niepowtarzalne; podkreślały to, że każdy z jego utworów jest nową, niepowtarzalną rzeczywistością i w każdym z wierszy występuje ruch o „zmiennej kierunkowej". Wydanie tomiku, zwłaszcza w takiej formie graficznej, wiązało się ze

sporymi kosztami. Nauczyciel z Cieszyna musiał sam za wszystko zapłacić, a druk czterystu egzemplarzy książeczki wynosił 1978 zł. Wprawdzie krytyk Stefan Napierski napisał, że *całość wielce ambitna i bez wyjątku na wysokim poziomie*, ale były i zjadliwe komentarze, zwłaszcza krytykujące nieszczęsną szatę graficzną. Widać autor przyznał im rację, skoro *W głąb las* wydrukowany u Pawła Mitręgi w Cieszynie miał już tradycyjną, i – co ważne – tańszą oprawę graficzną. Wiele lat później Przyboś, wspominając tamte czasy, napisze o sobie, Władysławie Strzemińskim i zbiorze poetyckim *Sponad*: *ani ja, ani on – nie byliśmy zadowoleni*.

***

Ostatnia część opowieści o cieszyńskim epizodzie poety – nowatora dotyczyć będzie kobiet. Julian Przyboś w zaściankowym Cieszynie, tak jak kiedyś Adam Mickiewicz w równie zaściankowym Kownie uczył i tęsknił za innym życiem. Tęsknotę podobno łagodzą i złagodziły tym razem kobiety. Adam Mickiewicz zachwycił się dojrzałą Karoliną Kowalską, a Julian Przyboś młodziutką Marzeną, która była jego uczennicą. Zapamiętano jej taniec w teatrze i burzę jasnych włosów. Nauczyciel zapewne zainteresował się jej urodą i nie tylko. Wysoko cenił jej literackie talenty. Nie bez powodu planowała studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Marzena otoczona była wielbicielami, a miłość, czy też początkowo sympatia polonisty nie była z pewnością źródłem jedynie radosnych przeżyć i emocji. Zakochany Julian Przyboś zwierzył się rodzinie ze swoich rozterek i wątpliwości: *wydaje mi się czasem, że jestem po prostu zakochany. Stałem się z tego powodu zły właśnie wobec niej, popełniam moc nietaktów i brutalności. Jeśli się w ogóle kocham, niechbym to robił na wesoło, ale zdaje mi się, że jest to w ogóle niemożliwe. Zły jestem i z innych jeszcze rozmaitych powodów, zły jestem, tzn. źle mi*.

Profesor zakochał się w swojej uczennicy, a to zapewne nie było, zwłaszcza w owych czasach, sytuacją zwyczajną, ani ogólnie przyjętą. Jak – i czy w ogóle zauroczeni sobą okazywali sobie nawzajem w obecności innych wzajemną zażyłość i fascynację? Bliższych szczegółów nie znamy, ale Julian Przyboś otrzymał surową reprymendę i upomnienie od dyrektora szkoły, w której pracował. Było to dla niego upokarzające przeżycie. Zarówno on sam, jak i rodzina dziewczyny, którą wybrał spośród innych, utwierdzili się w przekonaniu, że „pokątna mieścina", w której zmuszony był mieszkać i pracować, była skupiskiem ludzi o tradycyjnych poglądach, wartościach i zasadach, które nowocześni ludzie, tacy jak on, uważali za nie tylko tradycyjne, ale może nieżyciowe i śmieszne.

Zanim poświęcę więcej miejsca kobietom jego życia, powiem o poglądach, które tradycyjny Cieszyn zapewne przynajmniej dziwiły. Byli i tacy, których one fascynowały.

Powiedzmy wprost – Julian Przyboś uważał siebie za ateistę i socjalistę, a potem i komunistę. Poświęćmy tym sprawom trochę miejsca, bo są one ważne między innymi dlatego, ze wpłynęły na cieszyńskich uczniów Juliana Przybosia, a także pozwalają lepiej zrozumieć wiele jego zachowań, gestów i słów wypowiedzianych i zapisanych na naszej ziemi. W jednym z listów napisał, że kościoła nie ma zwyczaju odwiedzać, a ci, którzy go znali, potwierdzają, że *postawa Przybosia wobec religii, zarówno chrześcijańskiej, jak i innych, wobec wszystkich obrządków magicznych, kultowych była zawsze racjonalistyczna, chłodna, nieuległa*. Niektórym uczniom takie odważne, ich zdaniem, podglądy imponowały. Nie wiedzieli zapewne, że jeszcze w wieku trzynastu lat ich nauczyciel chciał zostać świętym. Przeczytał wtedy książkę o zasadach życia wewnętrznego napisaną przez św. Franciszka Salezego pt. *Philothea* i przeżył głęboki wstrząs, który potem opisał: *Pamiętam wieczór nad rzeką; kiedy ślubowałem wieczornemu niebu i pierwszym gwiazdom, że będę świętym*. Utrzymywał nawet, że kiedy modlił się w kościele, zobaczył anioła...

***

Wróćmy jednak do Skotnicówny, którą pokochał poeta. Marzenę i jej nauczyciela sporo łączyło, ale dzielił stosunek do gór. Marzena i jej siostra Lidia wspinały się po górach i nie ograniczały się do zwyczajnych wycieczek – były taterniczkami. Kiedy rodzina przeprowadziła się do Cieszyna, miały już za sobą spore osiągnięcia, a przed sobą – ambitne plany. Te plany właśnie i hobby, które było piękne, ale i niebezpieczne, spowodowały, że matka chciała je wyrwać ze środowiska, które sprzyjało wspinaczkowym wyczynom. Ich opiekun, a raczej trener miał ostrzec rodzinę, że ich fascynacja, determinacja i upór połączony z młodzieńczą brawurą może doprowadzić do nieszczęścia. I nie mylił się, niestety.

***

Marzena realizowała życiowe plany, po maturze chciała studiować na Uniwersytecie Jagiellońskim. Niestety, wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazują na to, że matury nie zdała. Nadal jednak chciała pokonywać trudne do pokonania drogi. Wyjechała w Tatry i razem z młodszą siostrą wybrała ostatnią w życiu drogę wspinaczkową. Lidia i Marzena były ambitne, ale niekoniecznie rozsądne. Tak ocenili ich ostatnią drogę ratownicy. Być może ambicja i chęć wyeksponowania własnych umiejętności w obecności zaprzyjaźnionych taterników były powodem, że siostry nigdy nie osiągnęły celu. Co stało się na ścianie Zamarłej Turni – bo tę właśnie ścianę w październikowy dzień 1929 roku miały zamiar zdobyć nastoletnie dziewczyny – nie wiemy. Były bardzo młode (Marzena miała 18, Lidia zaledwie 16 lat), świat się przed nimi otwierał, ale tego dnia i przepaść się przed nimi otworzyła.

***

Zamarła Turnia była i nadal jest legendą. U jej stóp widywano tajemniczą postać, to w Dolinie Pustej przechadzała się Biała Pani, w ścianie słychać było głosy umarłych, nawoływania, dźwięki wbijanych haków. Mimo to, a może właśnie dlatego kusiła jako ta, która zbierała śmiertelne żniwo, jest dumna i niezdobyta. Opowiem o niej, zanim powrócę do opisu ostatniej wspinaczki Marzeny, w której zakochany był jej nauczyciel.

***

Jako pierwszy na Zamarłej zginął dwudziestoletni maturzysta – Stanisław Bronikowski, który w 1917 roku – we wrześniu chciał pokonać Zamarłą razem z Rafałem Malczewskim – synem malarza Jacka. Bronikowski odpadł, pękła lina, jego zmasakrowane przez upadek ciało potoczyło się po piargu, a Malczewski utrzymał się na ścianie i wiele godzin czekał na ratunek. Jeden z jego znajomych widział, co się stało i wołał, uspokajał przerażonego więźnia strasznej ściany. Rozmawiał z nim całą noc, dopóki na miejsce nie dotarli ratownicy. Syn malarza ocalał, a literatura już wówczas wzbogaciła się o opis zdarzenia, które miało miejsce na Zamarłej. Michał Choromański najpierw przedstawił miejsce dramatycznego zdarzenia: *Zamarła Turnia wznosi się złomami skał i czernieje śmiercionośnym kominem*, a dalej nastąpił opis wspinaczki i przeżyć obserwatora, który uczuł gwałtowny i nagły niepokój, bo zobaczył dużego białego motyla nad granią i pomyślał *z niedorzeczną zabobonnością*: – jeśli przeleci ponad granią – wszystko będzie dobrze, ale motyl zawrócił. Ściana znów zebrała krwawe żniwo. Nie pierwsze i nie ostatnie. Mówiono, że nawet ci, którzy pokonają Zamarłą i tak zginą w górach. Jerzy Leporowski – lotnik nie bał się przepaści ani krwiożerczej ściany, zdobył ją bez żadnej asekuracji. Przyszedł jednak czas, kiedy spadł do Dolinki Koziej. Zamarła się zemściła. Mieczysław Szczuka też przeszedł jej południową ścianę. Przestał być ostrożny, zabrał ze sobą zwykłych turystów. Była to trzynasta próba zdobycia Zamarłej, podjęta została trzynastego sierpnia. Mieczysław Szczuka zginął.

***

W księdze rejestrującej wypadki w Tatrach zapisano już w roku 1929 wiele stron, ale w październiku trzeba było dopisać kolejne. Marzena i Lidia Skotnicówny z Cieszyna szły po zwycięstwo, nie po śmierć. Postanowiły pokonać ścianę. Był szósty dzień października 1929 roku. Przed nimi wspinali się wybitni taternicy – Bronisław Czech i Jerzy Ustupski. W *Księdze wypraw* znalazła się sucha relacja *Lidia Skotnicówna wspinając się poł [udniową] Ścianą Zam[arłej] Turni odpadła od skały w kominie poniżej II trawersu, pociągając za sobą Marzenę. Obydwie poniosły śmierć na miejscu*. Więcej szczegółów podają Kroniki Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Oto relacja, która dokładnie opisuje tragedię na Zamarłej Turni. Przytoczę ją w tym miejscu, niech będzie najpierwszą, bo spisaną na gorąco przez świadków zdarzenia, opowieścią o tym, czym skończyła się kolejna próba zdobycia Zamarłej Turni: *Dnia 6 października b. r. Marzena i Lida Skotnicówne [przeszły] rano z Gąsienicowej przez Kozią Przełęcz celem zrobienia Zamarłej Turni. Należy tu wspomnieć, że młodsza z nich t. j. Lida przeszła Zamarłą Turnię w r[oku] ub[iegłym], równocześnie na Zamarłą Turnię udała się druga grupa, ze Stawów Polskich, złożona z Bronisława Czecha, Józefa Wójcika i Jerzego Ustupskiego.*

Wzajemnie grupy te o sobie nic nie wiedziały. Grupa Br[onisława] Czecha, w której Ustupski szedł ostatni znajdowała się już pod dolnym trawersem ściany, gdy zauważono podążające w ich ślady dwie turystki. Po dojściu ich na odległość około 50 m poznano w nich Skotnicówne i głośno wymieniono pozdrowienia, nadto Ustupski zapytał czy mają haki, na co Lida S. odrzekła twierdząco. Po krótkim czasie doszły Skotnicówne do Ustupskiego, który znajdował się na końcu dolnego trawersu i tu częstowały go cukierkami.

Br[onisław] Czech był w tym czasie pod drugim trawersem z Wójcikiem. Ustupski doszedł do grupy Czecha, a Lida Skotnicówna posuwała się tymczasem jako pierwsza wolno naprzód. Przy drugim haku Lida zapinając karabinek na hak wypuściła go i karabinek zsunął się po linie.

W kilka chwil później Br[onisław] Czech zobaczył lecącą głową w dół Lidę i falującą wężykowatym ruchem linę. Marzeny zaś, z powodu zasłaniającej ściany skalnej nie widzieli.Dopiero przy przekraczaniu t.zw. nyży zobaczył Br[onisław] Czech i jego towarzysze leżące dwa ciała w przepaści u stóp Zamarłej Turni.

Lida upadła na śnieg, Marzena zaś nieopodal na piargi. Świadkowie tej tragedii zupełnie wyczerpani psychicznie z trudem pokonując nawet najłatwiejsze miejsca, wyszli na szczyt, poczem okrężną drogą zeszli do martwych ciał. Nie mieli już co ratować. Późnym wieczorem dali znać z Hali G[ąsienicowej] telefonicznie o wypadku. Pogotowie Ratunkowe wyruszyło na drugi dzień na miejsce katastrofy i zniosło ciała doliną Roztoki skąd przewieziono je do kaplicy. Dwa dni później odbył się pogrzeb ofiar, który był wielką manifestacją uczuć matki.

Śmierć Skotnicówien (...) jest groźnem memento dla młodych taterniczek biorących sobie za cel wycieczki przerastające ich młodociane siły i doświadczenie taternickie. Nie wolni od zarzutu są i ci taternicy, którzy siostry Skotnicówne zbyt wcześnie wtajemniczali w trudności wypraw skalnych. Mocne słowa kończą opis, ale widocznie takie emocje wzbudzał wypadek i bezsensowna śmierć młodych kobiet.

***

Julian Przyboś napisał po latach, że przeczuwał tragedię. Kiedy Marzena i Lidia

pojechały w Tatry, by tam wspinać się po swoją śmierć, śnił niespokojny sen o dwóch stawach i o Marzenie, która pojawiła się pod łukiem ze srebra, *naga, świecąca napierśnikami z czarnego aksamitu czy krepy obszytej blaszkami ze srebra, tańcząc unosiła ramiona z bransoletami – dźwięczały i gasła, ginęła*. A on chciał ją zatrzymać – na próżno. Poddał się mrocznemu niepokojowi snów i, mimo że szedł następnego dnia na Czantorię i był słoneczny jesienny dzień, szedł w trwodze. Chciał zabić lęk, ból i tęsknotę. Z drugiej strony grzbietu Czantorii ktoś krzyczał: *Nie żyje… wołać!*. W schronisku spał „bez widziadeł", a następnego dnia otrzymał depeszę z wieścią o śmierci Marzeny.

Na marginesie dodajmy, że Julian Przyboś wierzył w sny, a niektóre z nich go prześladowały. Po pierwszej wojnie światowej śnił mu się zabity Edward S. Był to jego kolega gimnazjalny, który zginął w bitwie w 1920 roku. W tej samej bitwie uczestniczył Julian Przyboś. Edward wrócił, by opatrzyć rannego, bo wszyscy inni się bali. W drodze powrotnej z rannym prawdopodobnie obaj zostali zabici – nie znaleziono jednak ciał. Pojawiał się w snach, po których Przyboś budził się z lękiem i biciem serca. Przekonywał, że żyje, bo przyrzekli sobie, że ten, który zginie, da znać, *jeśli jest coś z prawdy w tym bajaniu o zaświecie, zjawi się, żeby nareszcie to złudzenie czy prawdę rozstrzygąć*. I Edward przychodził *w serii snów prawdziwych,* a Julian nabawił się nerwicy serca.

Inny sen, który rozpamiętywał Przyboś, to widok Matki (znów pisał to słowo dużą literą). Śnił, że była malutka i lekka, że niósł ją w ramionach dawną drogą zapamiętaną z Gwoźnicy – cienistym wąwozem ku łąkom. Wiedział, że jest w zaświatach, a czując, że sen się kończy, wołał: *Powiedz, gdzie jesteś, czy w niebie*? Nie usłyszał odpowiedzi. Obudził się.

***

Wierzył w sny, więc kiedy śnił o dwóch stawach i Marzenie – wiedział, że coś złego się wydarzy. Wrócił do Cieszyna, a tam czekała na niego wiadomość o wypadku. Razem z bratem Marzeny i Lidii – Jerzym Skotnicą pojechał zorganizować pogrzeb w Zakopanem. Wstąpił do domu krewnych w Krakowie i mówił im o swoim żalu i stracie. 7 października 1929 roku w mieszkaniu Adama Przybosia pisał list: *spotkał mnie straszny cios: oto jadę na pogrzeb najdroższej mi istoty. Czy czytaliście o śmierci dwu turystek na Zamarłej Turni? Umarły dwa wyniosłe i orle serca*. Adam dopisał, wyjaśniając najbliższej rodzinie powód rozpaczy kuzyna – *Marzena (…) miała być jego narzeczoną, Julek bardzo przejęty przyjechał z bratem do Zakopanego.*

W Zakopanem na Nowym Cmentarzu pochowano obie siostry, a zapamiętano, jak wiemy, rozpacz matki. Pod pseudonimem Marza Ostrawicka wyda trzy lata później swą powieść poświęconą pamięci córek: *Uśmiech Tatr*. W tej książce córki to Marta i Lena, a autorka ma na imię Ewa.

Na cmentarzu przy ulicy Nowotarskiej w Zakopanem zamyślamy się nad grobem Marzeny i Lidy. Na nagrobku napisano, ile miały lat i że zginęły na Zamarłej Turni. Umieszczono też ich fotografie. Zatrzymały czas – przedstawiają dwie piękne młode dziewczyny. Obie patrzą w dal i obie się nie uśmiechają.

Jerzy Skotnica po latach napisał w liście do profesor Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz o tym, jak zachowywał się jego nauczyciel. *Matkę zastaliśmy samą, w otoczeniu obcych ludzi, bowiem nasi krewni przyjechali z Czechosłowacji na sam pogrzeb. Z tego powodu Przyboś zamieszkał w naszym domu i zajął się załatwieniem formalności pogrzebowych. (...) Przyboś należał do ludzi ogromnie opanowanych i żadnego uczucia nie uzewnętrzniał, czy to smutku, czy zdenerwowania. Pamiętam to dobrze.*

Nie uzewnętrzniał uczuć nad otwartą mogiłą, ale zrobił to pisząc wiersze. Na adres matki przysłał list zawierający rękopis utworu *„Z Tatr"*, u dołu strony dopisał dedykację: „pamięci Marii Skotnicówny". Wiersz ten dziś analizowany w liceum jest echem tamtych wydarzeń, które nauczyciel z Cieszyna, a równocześnie wielki twórca, opisał językiem poetyckich metafor. Tak w oszczędne słowa ubrał swoje wyobrażenie o jej śmierci:

To zgrzyt
czekana,
okrzesany z echa,
to tylko cały twój świat,
skurczony w mojej garści na obrywie głazu;
to – gwałtownym uderzeniem serca powalony szczyt.
Na rozpacz – jakże go mało!
A groza – wygórowana!
Jak lekko
turnię zawisłą na rękach
utrzymać i nie paść,
gdy
w oczach przewraca się obnażona ziemia
do góry dnem krajobrazu,
niebo strącając w przepaść!
Jak cicho
w zatrzaśniętej pięści pochować Zamarłą.

***

Marzena pozostała w jego pamięci – w snach i wierszach, a jej miejsce w życiu Juliana Przybosia zajęła inna uczennica – Bronisława Kożdoniówna, która została jego żoną. Po latach jej miejsce zajęła inna kobieta...

Jak zakończył się pobyt Juliana Przybosia w naszych stronach? Pracę nauczycielską przerywały lata urlopów płatnych, których udzielano ludziom takim jak on – obiecującym twórcom, chcącym poznać świat i go opisać. Łaskawe to były dla niego decyzje i dobre czasy, mógł oddać się zajęciom, które były jego pasją. Tak było w roku 1937, tak było też przed wybuchem wojny. W dokumentach zapisano: *Przyboś Julian prof[esor] Tut[ejszego] Zakł[adu] otrzymał urlop płatny celem umożliwienia mu przeprowadzenia studiów literackich i naukowych w Paryżu.*

Nie wrócił już do szkoły, ponieważ razem z innymi uciekał przez Niemcami, uciekał z Cieszyna. Znów *miasto jak kamień rzucił za siebie* i może myślał, a myśl swoją ujął później w linijkę nowego tekstu – *świat nie jest, świat się wiecznie zaczyna…*

Tu przeżyłam nową młodość i nową miłość

ZOFIA KOSSAK

Beskid Jej zagrał
marsz ostatni
Przebrzmiały z czasem
jego echa.
Nad grobem usiadł
anioł biały
i wierzba – płaczka
srebrnowiecha.

Tak kończy się wiersz Emilii Michalskiej pt.: *Kossak-Szatkowskiej*, a ja tak właśnie zaczynam ostatni już rozdział książki poświęconej znanym literatom, których życiowe drogi zaprowadziły na Śląsk Cieszyński. Przyjeżdżali i odjeżdżali. Nikt z tych, o których już opowiedziałam, nie został na zawsze. Jedyną osobą, która pokochała tę ziemię aż do końca, była Zofia z Kossaków Szczucka-Szatkowska. To właśnie tu, jak napisała ludowa poetka z Pruchnej, Beskid zagrał dla niej ostatni marsz, a ona, zmierzając do końca swojego spełnionego i bogatego w wydarzenia życia, marzyła o tym, żeby ostatnia w życiu przeprowadzka była przeprowadzką na górecki cmentarz – na żaden inny na świecie, choć świat widziała wielki i kuszący. Życie jej składało się z tylu przeżyć – i pięknych, i dramatycznych, że szukała dla siebie nie tyle intensywnych doznań, ile spokoju i ciszy. To, czego potrzebowała do szczęścia – znalazła tutaj.

Nie sposób napisać wszystkiego, co dotyczy związków Zofii Kossak z Górkami Wielkimi i w ogóle ze Śląskiem Cieszyńskim, bo związki te były bogate i różnorodne. Jeśli ktoś chciałby nie poprzestać na tym, co przedstawię w ostatnim rozdziale *Historii zwyczajnych i nadzwyczajnych,* zapraszam do lektury opowieści o Zofii Kossak: *Dzieło jej życia*, w której przedstawiłam fakty znane, mniej znane i dotąd nieznane – dotyczące całej biografii pisarki.

Życie wymusiło na niej wiele przeprowadzek, wiele razy na nowo tworzyła dom dla swojej rodziny. Wciąż też na nowo tworzyła jego niepowtarzalną atmosferę i klimat – w wielu różnych i nieraz bardzo odległych od siebie domach. Zawsze jednak za-

chowywała spokój i równowagę duchową, mimo że przyszło jej zmierzyć się z czasami rewolucji na Wschodzie, dramatem pierwszej i drugiej wojny światowej, emigracją i komunizmem. Mogła mieszkać gdziekolwiek, a po powrocie z dwunastoletniego wygnania mogła wybrać miejsce równie piękne i spokojne, albo nawet piękniejsze i spokojniejsze. Wybrała Górki Wielkie.

Zofia Kossak żyła 79 lat, z czego tylko 27 lat mieszkała na Śląsku Cieszyńskim, ale mam pewność, że to Śląsk był jej prawdziwym domem. Tutaj znalazła schronienie w 1923 roku, kiedy jako wdowa z dwoma kilkuletnimi synami szukała dla siebie miejsca na świecie. Górki ją przygarnęły, a ona odtąd widziała znajome krajobrazy nawet wtedy, gdy los rzucał ją daleko stąd. Za drutami oświęcimskiego obozu koncentracyjnego wypatrywała beskidzkich szczytów, w okupowanej Warszawie wspominała górecki dwór i psy *mądre i oddane, bohaterskie lub ospałe, psy ważne lub groteskowe*; a w dalekiej Kornwalii okoliczne wzgórza nazywała imionami naszych gór.

Prawdę mówiąc to nie moja pewność na temat roli Śląska życiu Zofii Kossak jest ważna, choć opieram ją na latach studiów i badań nad jej życiem i twórczością – ważne jest to, co powiedziała ona sama. Nie trzeba długo szukać. Wystarczy spojrzeć na maszynopis przemówienia, które wygłosiła u schyłku życia, a dokładnie dziesięć miesięcy przed swoją śmiercią. Był to już z całą pewnością czas syntez i podsumowań. Okazją stał się jubileusz 700-lecia Skoczowa. Powróciła wtedy pamięcią do czasów, które związały ją z tą ziemią i wydarzeń, które ten związek uczyniły serdecznym i trwałym. Zofia Kossak mówiła – i mówiła szczerze, bo, wierz mi, drogi Czytelniku – nie należała do kłamców: *Przywiązałam się gorąco do tej ziemi. Zostałam i pozostanę jej dzieckiem adoptowanym. (...) Tu przeżyłam nową młodość i nową miłość. Tu płynęły lata szczęścia małżeńskiego, narodziny dwojga dzieci, tu dzięki współpracy mojego męża rozwinęłam się jako pisarka, zyskując sobie przyjaciół w całym kraju, a i poza krajem. Nie brakło okresów bolesnych. Straciłam najstarsze dziecko, potem śmierć ojca. Lecz czyż życie może się obyć bez łez? Wojna, wygnanie, tęsknota. Do Górek. Powrót. Oby tu pozostać do końca.*

Tyle sama pisarka, a ja cytując te zdania pomyślałam, że z powodzeniem zastąpią streszczenie jej biografii i zapewnią o jej przywiązaniu do Śląska Cieszyńskiego. Przecież lata tu spędzone nazwała najszczęśliwszymi i najtragiczniejszymi. Przyjeżdżając tu samotnie wychowywała kilkuletnich synów – Julka i Tadzia; tu odnalazł ją zakochany w niej od dawna Zygmunt Szatkowski, oświadczył się i został przyjęty. Pisarka wyszła powtórnie za mąż i urodziła Witolda i Annę.

Życie przynosiło jej wciąż nowe wyzwania, ale niezmiennie Śląsk Cieszyński był dla niej miejscem najważniejszym – sacrum i centrum świata – bo kojarzył się z serdecznym wzruszeniem. Zofia Kossak i jej rodzina wiele mu zawdzięczała, ale nie można zapominać o tym, że Śląsk Cieszyński ma także wobec niej spory dług wdzięczności.

Zacznijmy od podania powodów, dla których naszą ziemię pisarka nazwała krajem najpiękniejszym na świecie, *w który wrosnąć łatwo, ale oderwać się trudno*. Czas, w którym postanowiła w Górkach zamieszkać na stałe, był dla niej czasem niezwykle trudnym. Właściwie miała prawo sądzić, że życie doświadczyło ją szczególnie ciężko i pozostaje teraz bez perspektyw. Mąż nie żył, dwoje dzieci trzeba było wychować i utrzymać, majątek został rozgrabiony podczas rewolucji bolszewickiej, przyszło jej tworzyć nowy dom już nie pierwszy raz. Przeprowadzka do Górek była kolejną w jej życiu. Znów zaczynała od nowa. Nadzieję dawała planowana twórczość literacka, choć przecież nie miała pewności, czy debiutancka *Pożoga*, w której opisała to, czego była świadkiem na Wołyniu, jest już wystarczającym dowodem na to, że została pisarką.

Od pobytu na Śląsku Cieszyńskim tak wiele zależało... Na szczęście nadzieja powoli przemieniała się w pewność, że oto znalazła swoje miejsce na świecie. Dużo czasu zajęłoby wymienienie wszystkich tych wzmianek, wypowiedzi i utworów, w których pisała o tym, jak bardzo spodobała jej się nowa ojczyzna. Miała świadomość, że oto znów była na kresowej ziemi – pięknej i bogatej w przeszłość i tradycje. Spośród jej wypowiedzi zaproponuję te, które mnie szczególnie wzruszają – może dlatego, że potrafiła w niebanalne słowa ująć to, co i my czujemy z dumą opowiadając o naszym własnym domu, który przecież jest *istnym rajem*.

Fascynację Śląskiem Cieszyńskim Zofia Kossak wyrażała na różne sposoby. W rzadko dziś przywoływanych artykułach *Listy ze Śląska* wspominała o murowanych schludnych domkach, piętrowych szkołach, o siedlakach jadących do kościoła własną kolasą. Zauważyła też, że *dzieci sąsiada nie zrywają jabłek zwieszających się przez płot*. Pewna podgórska wieś, której nie wymieniła z nazwy, taka jak na przykład Górki Wielkie, zamieszkana była – jej zdaniem – przez ludzi nadzwyczaj uczciwych, dość zamożnych i światłych. Była to wieś położona *w tym błogosławionym zakątku Polski, gdzie przyroda jest uśmiechem Boga, a ludzie są naprawdę ludźmi*.

Swoim zachwytom pisarka dawała wyraz jeszcze nie jeden raz. Pisała o ciekawym kraju, ziemi nieznanych cudów, ojczyźnie bibliofilów, o miejscach, w których zachwycony i zauroczony otaczającym dzikim pięknem człowiek gnany w ustawicznym pośpiechu nagle przestaje się śpieszyć. Przyroda była tu, jej zdaniem, wspaniała i sobiepańska, a śląskie góry nie były ani tak dzikie, jak Beskidy Wschodnie, ani tak groźne, jak Tatry, ani tak pełne fantastycznego niepokoju, jak Pieniny. Dawały za to bezpieczeństwo, słodycz i spokój. Poznawała naszą bogatą przeszłość, historie prawdziwe i legendarne, a poznawszy, opisała ja wielokrotnie i na różne sposoby – wystarczy wspomnieć o *Nieznanym kraju*, opowieściach o Imku Wisełce i Ondraszku, ubogim i bardzo pobożnym Mikole, który wyrzeźbił postać swojego patrona, a wyrzeźbiwszy zapatrzył się w nią i w jej pobliżu został aż do śmierci. Piękne to i nieraz bardzo wzru-

szające opowieści. Najważniejsze jednak jest to, że usłyszała je cała Polska, bo pisząca je literatka była już wówczas bardzo znana.

Zofia Kossak z wdzięcznością mówiła nieraz, że stary dwór i jego okolice sprzyjały pracy twórczej. Znakomita większość jej książek została napisana właśnie u nas, a czytelnicy w Polsce i poza jej granicami do dziś, przeczytawszy wielkie historyczne powieści w tym także te, które pretendowały do literackiej Nagrody Nobla, u dołu ostatniej strony znajdują adnotację – Górki Wielkie...

Pisała je przy stoliku w parku góreckim, a obok niej stały drzewa, które dziś już mają swoje lata i pamiętają tamte czasy. Pisała ciesząc oko pięknym i zadbanym ogrodem, który możemy jeszcze podziwiać na pożółkłych fotografiach. Pisała w salonie, w gwarze domowych rozmów i spraw, w towarzystwie wszędobylskich dzieci, które wdrapywały się na jej kolana, domagając się, żeby matka namalowała coś tylko dla nich w zeszytach, które szybko wypełniała pętelkowatym i trudnym do odczytania pismem. I matka malowała z roztargnieniem odpowiadając na ich pytania, myślami towarzyszyła bowiem rycerzom wypraw krzyżowych, którzy walczyli w dalekim i niebezpiecznym świecie.

W jej wyobraźni zrodzili się także bohaterowie dziecięcych utworów, a spośród nich wymienię sympatycznego skrzata Kacperka i zaprzyjaźnione z nim żyjątka, które zamieszkiwały stary dom w Górkach Wielkich. I znów o naszej ziemi przeczytały dzieci w Polsce i na świecie, bo *Przygody Kacperka góreckiego skrzata* były bardzo popularne. Nie tylko książki i ich bohaterowie wiązały pisarkę ze Śląskiem. Była przecież nie tylko pisarką, była żoną i matką. Miała czworo dzieci, a ich los był ściśle związany z jej losem. Uważała, że mają *pierwsze miejsce przed wszelką literaturą*.

Chciała, żeby to właśnie Górki Wielkie były domem, w którym będzie rozbrzmiewał dziecięcy gwar. I rozbrzmiewał, bo najpierw wszystkie kąty łącznie z pełnym tajemnic strychem spenetrował Julek i Tadzio – dzieci, które przyszły na świat daleko stąd – na kresach wschodnich, a później wszystkie kąty i tajemnice dworu poznawały dzieci z drugiego małżeństwa – Witold i Anna. Córka pisarki – Anna Bugnon-Rosset mieszka na stałe w Szwajcarii, ale wszystko co mówi i robi świadczy o tym, jak ważny jest jej górecki dom. I chociaż dzisiaj pozostały już tylko jego ruiny, żyje w jej pamięci. Jest nadal gwarny i gościnny. Opisała go w książce o znaczącym tytule: *Był dom*.

Każdy dom żyje radościami i smutkami jego mieszkańców i dopiero wtedy jest prawdziwym domem. Tak było i z górecką siedzibą Kossaków. To tutaj właśnie pośpiesznie szykowano wyprawki dla kolejnych dzieci i *nawet wózek pompatycznie stał na honorowem miejscu*, ale i tutaj zamartwiano się, kiedy niepewne były losy zadłużonego majątku, którego część przekazano harcerzom, a część rozparcelowano. Górecki dom oglądał postępy w nauce wyjątkowo zdolnych dzieci, ale i chorobę, a potem śmierć dostojnego *starego polonusa* – ojca pisarki. Dom ten widział sukcesy pisar-

skie Zofii Kossak, ale także wielką tragedię, jaką była niespodziewana śmierć Julka – jej najstarszego syna. Opowiem o niej dokładniej za chwilę, dodam tylko w tym miejscu, że przez wiele lat upamiętniał go nie tylko wysoki nagrobek na przykościelnym cmentarzu przedstawiający anioła tulącego opiekuńczym i matczynym gestem małe dziecko, ale także dzika wiśnia w przydomowym ogrodzie. Julek razu pewnego chciał z pomocą ogrodnika posadzić drzewko, mówiąc mu, że ono będzie żyło, kiedy jego już nie będzie. Jego słowa zdumiały ogrodnika – dziesięcioletnie dziecko rzadko ma tego rodzaju prośby, ale tę spełnił. Kiedy Julek umierał, babcia Anna Kossakowa zapłakana przyszła o nie zapytać. Drzewo przeżyło najstarszego syna Zofii Kossak...

Górki Wielkie pamiętają też pośpieszny wyjazd pisarki i jej rodziny na początku wojny, pamiętają też jej radosny powrót, który nastąpił po osiemnastu latach. Wiele w jej życiu się zmieniło, ale przywiązanie do tego miejsca pozostało niezmienne. Ostrożnie chodziła po ocalałych szczątkach dawnego domu, który – w przeciwieństwie do niej – nie przetrwał wojny. Wojny nie przetrwał też drugi syn – Tadeusz i matka Anna. Po powrocie pisarka wspominała tych, których już wówczas nie było, wspominała lata przedwojenne i marzyła o odbudowie dworu. Póki co zasiedliła razem z mężem domek ogrodnika dawnego majątku Kossaków i tu dopełniało się jej pracowite, niełatwe i piękne życie. Górki znów były świadkiem dni wypełnionych pisaniem, tu przychodził ze swoimi trudnymi sprawami wielki świat, bo tutaj dowiadywała się o absurdalnych ingerencjach cenzury, o reakcji na podpisany przez nią „List 34" i odważną odmowę przyjęcia Nagrody Państwowej w imię wierności Kościołowi prześladowanemu przez komunistyczne państwo. To tu nadchodziły listy takie tak ten, w którym czytamy – *co za moc bije z tych Górek*... Tutaj przyjmowała rodzinę przyjeżdżającą z Anglii i Szwajcarii na czas wakacji, kiedy to znów zaludniał się i rozbrzmiewał dziecięcymi głosami dom. Tym razem były to głosy wnuków, którzy radosną gromadką biegli nad Brennicę i penetrowali każdy kąt domku ogrodnika i zrujnowanego dworu. To w Górkach, kiedy dopełniał się czas, ratowano jej chore serce, a potem – kiedy umarła, mimo wszystko niespodziewanie i wśród wielu życiowych planów i zamierzeń, w góreckim domu postawiono jej trumnę, a tłum ludzi chcących ją pożegnać otoczył niewielki domek. I tak zaczęła się ostatnia jej przeprowadzka na górecki cmentarz...

***

Zofia Kossak należała do najbardziej znanych pisarek XX-lecia międzywojennego. Ponieważ jednak komuniści obeszli się z nią i jej twórczością we właściwy dla siebie sposób, nazywając ją nie inaczej, tylko wrogiem ustroju, a jej książki wycofano z bibliotek i skazano na przemiał, więc z czasem zapomniano o niej, a jej utwory wypadły z obiegu czytelniczego. Określenie to, którym posługują się badacze literatury, oznacza dla literata coś w rodzaju zapaści, a czasem i śmierci. Niełatwo zaistnieć na

nowo w świadomości kogoś, kto sięga po dostępną mu książkę nie wgłębiając się w szczegóły dotyczące historii literatury. Przez całe lata książek Zofii Kossak po prostu nie było. Już nie wróciła jej przedwojenna popularność, choć ona sama nie stanęła, na szczęście, w rzędzie pisarzy zupełnie zapomnianych. Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że młodsze pokolenie zagadnięte o literackie talenty w rodzinie znanych malarzy – Kossaków, wymienia przede wszystkim Marię Pawlikowską-Jasnorzewską. Może trudno w to uwierzyć, ale dawniej było zupełnie inaczej…

Wojciech Kossak, przebywając w 1923 roku w Paryżu, odnotował w listach do rodziny, że *Pożoga* – debiutancka książka Zofii ma powodzenie i wiele się o niej mówi. Kiedy zaś przybył do Ameryki, przedstawił się, mówiąc, że jego nazwisko jest znane w Polsce – usłyszał wtedy, że w ich *Almanachu* jest wprawdzie Kossak, ale to jest *a girl. Sophie*….

Znana w Polsce i za jej granicami pisarka mieszkała u nas, więc i do nas przyjeżdżali jej goście. Goście to byli znakomici i o ich odwiedzinach opowiem w ostatnim już rozdziale książki, którą, drogi Czytelniku prawie już przeczytałeś. Postaram się, żeby dygresje, które konieczne są po to, żeby móc spotkać się i z Zofią Kossak, i z innymi znakomitymi literatami, nie były nużące. Jedną z nich zaproponuję od razu. Ważne jest, żeby pamiętać – co dla wielu jest oczywiste – że autorka *Pożogi* pochodziła z „tych" Kossaków. Jej dziadkiem był Juliusz, słynny malarz, a jego syn – Wojciech, był bliźniaczym bratem jej ojca – Tadeusza.

Zapraszam zatem do dworu w Górkach Wielkich. Powitają nas stojący przed wielkimi drewnianymi drzwiami gospodarze – Kossakowie, a na ganku w wiklinowych fotelach przysiądą zaproszeni do ich otwartego i gwarnego domu goście: Maria Dąbrowska, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Aleksander Kamiński, Melchior Wańkowicz, Jan Sztaudynger, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i Magdalena Samozwaniec. Wejdźmy więc, żeby choć na chwilę znaleźć się wraz z nimi w gościnie u Zofii Kossak.

***

Gości było sporo i zawsze byli mile witani, chociaż nieraz nieco dezorganizowali życie rodzinne i literackie plany. Zofia Kossak wspominała w liście do Marii Dąbrowskiej z 21 sierpnia 1928 roku: *Zazdroszczę Pani spokoju sam na sam z pracą. Do nas w tym miesiącu zjechał istny tłum gości, z których każdy z osobna miły, pożądany i niekrępujący, a wszyscy razem pochłaniają czas i uniemożliwiają bodaj chwilę pracy.*

Adresatka listu – Maria Dąbrowska także tutaj przyjeżdżała, często bowiem gościła w pobliskim Jaworzu. Zamieściła w *Dziennikach* informacje o swoich spotkaniach z Kossakami. Poznali się w lipcu 1928 roku. Maria Dąbrowska zanotowała: *w piątek niespodziewanie przyjechał do Stacha z wizytą p. Kossak z Górek z córką, autorką „Pożogi". (…) Zapraszali nas na następny piątek do owych Górek*. Pisarka z zaproszenia

do Górek najwyraźniej skorzystała, bo już parę dni później przyjechała i zachwycała się dworem i jego mieszkańcami: *Kossakowie wskrzeszają szlacheckie tradycje z XVI wieku: orzą, sieją, chodzą na wojnę i piszą. Przechowali w bardzo pięknej czystości piękne i dodatnie cechy szlachty polskiej.*

Zacna niewiasta – pisała Zofia Kossak w liście do Zegadłowicza o Marii Dąbrowskiej, zachwycając się jej twórczością. Od razu doceniła *Noce i dnie*. *„Uśmiech dzieciństwa" przeczytałam, przeżyłam, wzięłam w serce* – pisała w 1928 roku, odnajdując w nim swoje wrażenia i przeżycia. Zachwycił ją *Marcin Kozera*. *Pani, to jest wspaniała rzecz!* – gratulowała autorce. – *Mocna, zwarta, mądra, głęboka. To powinno być rozszerzane, reklamowane, znane wszędzie we wszystkich ośrodkach polskich za granicą.*

Pisarki wspominały w listach swoje najwcześniejsze lektury i czytanki. *Malowanki. Dziesięć kolorowych tablic opisanych rymem dla drobnej dziatwy* Jana Chęcińskiego czytała w dzieciństwie Zofia Kossak. *Pamiętam je pysznie* – napisała w liście do Marii Dąbrowskiej – *Te dwa motyle na pierwszej, może drugiej? stronie i cytrynki – które lubią tak dziewczynki!*

Nie tylko radosne wspomnienia były treścią ich rozmów i listów. Wspomniane już opowiadanie pt.: *Uśmiech dzieciństwa*, które Maria Dąbrowska przysłała do Górek Wielkich było czymś więcej niż zwykłą lekturą – było, mówiąc patetycznie – rozdrapywaniem ran. Wspominałam już o tym fatalnym zdarzeniu. W 1926 roku Zofia Kossak na zawsze pożegnała Julka – dziesięcioletniego pierworodnego syna. Był podobno bardzo zdolny, może byłby malarzem, tak jak jego pradziadek – Juliusz, którego imię dziedziczył. Może... Nikt nie zdążył się o tym przekonać, bo przeżył zaledwie dziesięć lat. Na zdjęciach widzimy zadowolonego z życia chłopca o jasnych włosach, który z dumą dosiada konia i spędza czas na zabawach z młodszym bratem – Tadeuszem, a także z dziećmi z Górek.

Jedna ze służących, z którą rozmawiałam, zapamiętała, że podczas ostatniej w jego życiu wigilijnej wieczerzy Julek zobaczył swój cień na ścianie. Ludzie mówili, że to zła wróżba, bo zapowiada śmierć w ciągu nadchodzącego roku. Wróżba miała się spełnić. Nie przeczuwająca niczego Zofia Kossak z humorem opisywała świąteczne przeżycia w liście do rodziny. *Morowe są chłopy zwłaszcza starszy, tęgi, trzeźwy pracownik, pierwszy zabijaka w klasie (jako uczeń – drugi), ale już nie dzieci.*

Podobno Julek już raz był bliski śmierci. Zofia prosiła o zdrowie dla niego, leżąc krzyżem, błagała, aby Bóg pozwolił się nacieszyć nim jeszcze trzy lata. Nie wiedziała, dlaczego tak właśnie sformułowała swoją prośbę, ale wówczas Julek wyzdrowiał. Trzy lata później historia się powtórzyła. Znów dziecko skarżyło się na ból głowy, miało wysoką temperaturę, a wszyscy wokół byli bezradni. Julek po trzech dniach gwałtownej choroby umarł. Matka cierpiała, to oczywiste, choć starała się znaleźć sens w swoim cierpieniu. Ból jednak powracał – na przykład wtedy, kiedy Maria Dąbrowska przesłała na jej adres swoje książki, a wśród nich *Uśmiech dzieciństwa*. Ten tekst kosztował ją

wiele łez, bo – jak pisała – odnajdywała co krok siebie i swoje przeżycia. Opowiadanie zaczyna się od znamiennego zdania: *Janek był najcudowniejszym chłopakiem na świecie*. Tak samo matka myślała o Julku. Dla niej też – jak kilkakrotnie wspominała w listach – pierworodny syn był najcudowniejszy i najbardziej utalentowany. Bohater opowiadania Marii Dąbrowskiej, które tak wzruszyło Zofię Kossak, był oczkiem w głowie rodziców. Energiczny, pełen radości, żył *z wesołym rozmachem, biła z niego wesoła odwaga i poczucie siły, wesoły był jak młode słońce*. Radość wielokrotnie przywoływana w opisach życia rodzinnego ustąpić musiała wielkiemu smutkowi. Chłopak nagle zachorował. Miał czterdzieści stopni gorączki. Wydawało się, że to zwykłe przeziębienie. *Przyjechał stary doktór, który uwielbiał Janka* – czytamy – *Nie umiał określić choroby. Śmiał się. Wiedział, że Janek jest zahartowany i chodzi boso po śniegu. (…) W istocie gorączka minęła*. Wydawało się, że wyzdrowiał. Cztery dni później *gorączka chwyciła go nagle i beznadziejnie*. Okazało się, że nie ma już ratunku. Janek umierał na dyfteryt. *Ojciec i matka byli przerażeni i nie mogli nawet płakać. Chłopak był przytomny i pocieszał ich*. Rozpaczliwie walczył o życie. Zapewniał, że nie umrze, ale około dziesiątej zaczął się dusić. *Matkę odciągnęli. (…) Janek skonał sam*. Tak kończy się utwór, w którym Maria Dąbrowska opisuje szczegóły śmierci chłopca. Zofia Kossak nigdy nie opowiedziała tak dokładnie o bolesnych przeżyciach i o ostatnich godzinach życia jej pierworodnego Julka. Skoro jednak tak wielkie wrażenie wywarła na niej lektura *Janka*, z pewnością uczucie i okoliczności tragedii były podobne.

Minęły lata. Po powrocie Zofii Kossak z emigracji w Anglii, Maria Dąbrowska znów przypomniała sobie o znajomej i oficjalnie powitała ją z radością w Polsce. W *Dziennikach* zanotowała w 1957 roku, że oto nastała wiosna i w związku z tym przyleciały ptaki (*w czwartek przylatuje „stary szpak" – Zofia Kossak-Szatkowska z mężem*). Przyjaciółka lub może przynajmniej dobra znajoma z lat międzywojennych, nie znając prawdziwych okoliczności wyjazdu pisarki z kraju, pozwoliła sobie na szczery komentarz, który świadczy o tym, jak postrzegano emigrantów – uciekinierów wracających z Zachodu, który kojarzył się wielu z dobrobytem: *Szczególne to musi być uczucie wracać do kraju, w którym się nie przeżyło tych wszystkich ciężkich lat. To tak, jakby się opuściło dom rodzinny nawiedzony zarazą i wracało po latach dopiero na wiadomość, że ktoś przecie został i zdrowieje*.

Znów mijały lata, a obie kobiety świadome były upływającego czasu. W góreckim muzeum ze wzruszeniem czytałam drobne pismo autorki *Nocy i dni*, która żaliła się w liście z 1962 roku: *Siły już nie starczają… Gdzie się to wszystko podziało* – pytała – w *ilu czasach, w ilu światach żyłyśmy od tej pory*. Wiele emocji niesie ten krótki odręcznie napisany list świadomej zbliżającego się końca życia znakomitej literatki, która zwierzała się: *więcej rodziny, bliskich, przyjaciół, mam już pod ziemią, jak chodzących po ziemi* i dodawała, że choć z natury nie jest *wspominalska*, mimowolnie

budzą się w niej dawne wspomnienia sprzed wojny. Pamięta przyjazdy *ślicznej i młodej* Zofii Kossak do Jaworza, a potem wyprawę końmi do Górek i krowy z długimi rzęsami w wysokich trawach – i ojca pisarki, i jej najmłodszego syna zwanego wówczas *Plagą*.

Chciałoby się powtórzyć za Marią Dąbrowską – *gdzie się to wszystko podziało?* – i zapewnić, że choć mija czas – ludzie i zdarzenia żyją w naszej pamięci.

***

W Górkach Wielkich często bywał Gustaw Morcinek, mieszkający w niedalekim Skoczowie, którego „matką chrzestną" była Zofia Kossak. Zauważyła, że ma talent, zachęciła do dalszego pisania i pomogła wydać książki. Jego goście bywali też gośćmi Górek. Jan Sztaudynger – poeta i satyryk, swój pobyt uczynił tematem reportażu pt. *U pani Kossak-Szczuckiej*. Pisał w nim, wyraźnie zauroczony, o trzech walorach gospodyni – jej kobiecości, wielkopańskości i literackości. Wspominał o rzetelności, uroku, wdzięku i kunszcie oddania się całkowicie rozmowie, o umiejętności uważnego, grzecznego i życzliwego słuchania i chęci dania najlepszej, najtrafniejszej i uczciwej odpowiedzi na zadane pytania. Wyraźnie urzekała go jej prostota, poza tym takt, poczucie humoru i zwykła ludzka dobroć. *Po kilku minutach zrozumiałem* – kontynuował – *że będzie mnie ona interesować sama dla siebie a nie ze względu na Śląsk i Kossaków*. Podoba mi się określenie, którego użył opisując jej reakcję na pytanie o to, jak czuje się na Śląsku. W odpowiedzi *Pani Kossak-Szczucka zapala się w tej chwili jak lampka. Chwali piękno krajobrazu śląskiego, chwali ludność śląską*.

Zapalała się jak lampka chwaląc piękno krajobrazu, gór i schronisk. Jan Sztaudynger, przyjeżdżając w Beskidy, też nie gardził wyprawami, a jedną z nich opisał nawet we właściwy dla siebie sposób pełen humoru. W 1933 roku wydrukowany został jego esej *U źródeł Polski,* w którym opisał między innymi narciarską wycieczkę na Kozińce, na którą namówił go Gustaw Morcinek głuchy na jego zapewnienia, że *nie umie jeździć, że narty przypiął po raz trzeci w swym życiu, że ma już niezłą konstelację guzów i sińców rozmieszczoną symetrycznie w różnych zakątkach biednego cielska*. Można się domyślić, że wycieczka nie należała do nudnych, a oto fragment eseju: *w końcu nie mogąc już wytrzymać, krzyczę mu: [Morcinkowi] „A, żeby cię szlag trafił, razem z twoimi zapowietrzonymi górami!" I taka mnie złość porywa, że nagle staję na równe nogi i jadę dalej.*

„Co pan mówił?" – udaje głuchego Morcinek.

„Nic" – odpowiadam słodziutko, „mówiłem, że po tym szlaku trafimy do zameczku i że jest tu doskonałe powietrze."

O Gustawie Morcinku pisał i przy innej okazji, wspominając dowcipnie, a może i nie bez pewnej uszczypliwości: *Nieopodal Wisły ma gniazdo Morcinek. (…) Gościnny jest nieprawdopodobnie, fotografuje swoich gości we wszystkich pozach i ze wszystkich*

stron (jakby się chciał zabezpieczyć i na wypadek kradzieży – dobrze gościa opisać).

Dobry humor nie opuszczał Jana Sztaudyngera, który nieraz bywał na Śląsku Cieszyńskim, a oto dowód – i dobrego humoru, i pobytów na naszej ziemi. Jan Sztaudynger słynął z dowcipnych fraszek:

CIESZYN
Ładna dziewczyna na ładnej dziewczynie.
I jak nie cieszyć się w Cieszynie?

ULICA STROMA
Trzeba mieć bystrość astronoma
By dojrzeć, gdzie ulica Stroma.

POD JELENIEM
W hotelu Pod Jeleniem
Sypiam pod rogów cieniem,
O rogi się niepokoję
Nie tyle cudze, co swoje.

Zimowe wakacje spędzał Szatudynger w Wiśle i wtedy powstały wspomniane impresje regionalne *U źródeł Polski*, na które składają się szkice: *Wiślane dziwy, W gnieździe Morcinka i Trytona, Orzeł i Reszka, Nareszcie śnieg, W górę i w dół, W Istebnej*.

Poeta napisał też cały zbiór wierszy o tematyce beskidzkiej: *Kantyczki śnieżne* wydane w 1934 roku. Jeden z jego utworów zasługuje na wzmiankę, bo jest nie tylko dedykowany księdzu Emanuelowi Grimowi – istebniańskiemu proboszczowi, którego G*ronie* wspomniałam we wstępie, ale i wzbudził spore dyskusje. Naukowcy piszą o nim: *z punktu widzenia poetyki historycznej wiersz ten wpisuje się w ciąg obrazów maryjnych, które są punktem wyjścia jakiejś apokryficznej czy legendowej fabuły, a ich funkcja religijna zostaje zastąpiona przez funkcję ludyczną bądź estetyczną*.

I właśnie sęk w tym, że ten wyjątkowy wiersz zaliczany do poezji maryjnej rozgniewał Zofię Kossak, która stanowczo zaprotestowała nazywając go akatolicką parodią. Szkoda, że jej się nie spodobał, ale może i wtedy nie zrozumiałaby też wierszy księdza Jana Twardowskiego, choć po wojnie polecała innym jego utwory. Pozwolę sobie mimo wszystko zacytować choć fragmenty wiersza. Związany jest przecież z naszą ziemią, którą upodobał sobie poeta i satyryk urodzony w Krakowie. Wiersz nosi tytuł *Matka Boska na nartach*.

Matka Boska na nartach
Zjechała z gór Beskidu
(A dobrze jeździć umie,
Nie zrobi narciarzom wstydu).

W sukience do samej ziemi
I dwoma świecami w dłoni
Zjechała, jak miesiąc śliczna,
Z wysokich śląskich groni.

(…)

Pytali, kto to jedzie
Z wysokich śląskich groni,
Co zamiast trzymać kijki
Dwie świeczki dzierży w dłoni.

Dwa wilki jak baranki
Biegły przy świętych nartach,
Dla Przenajświętszej Panny
Jako przyboczna warta.

Dwie sarny poklękały
Pod starą, śnieżystą jodłą
I las się oddał cały
Cichym poszumom, modłom.

Tak szybko przejechała,
Tylko mignęła w bieli,
Że już im w dali znikła,
Nim, kto jest, odgadnęli.

Biegli więc za nią spiesznie,
Ale nie dali rady,
Więc tylko poklękali
Całując nartów ślady.

A z łaski przenajświętszej,
Gdzie padły ich całusy,
Tam wiosną rozkwitały
Śnieżyczki i krokusy.

Autor powyższego tekstu zachwycony Zofią Kossak zapewne nie pomyślał nawet, jak bardzo narazi się pisarce z Górek, która bardzo poważnie traktowała swoje pisarstwo. Nieodmiennie uważała, że jest ono służbą i posłannictwem. Pewnych rzeczy po prostu pisać nie wypadało...

***

Jan Sztaudynger – poeta, nie spełnił oczekiwań autorki *Krzyżowców*. Zupełnie inaczej rzecz się miała z Melchiorem Wańkowiczem, którego utwory Zofia Kossak zawsze chwaliła i podziwiała jego kunszt pisarki.

Melchior Wańkowicz i jego żona znaleźli się z czasem w gronie przyjaciół Zofii Kossak, a zaczęło się od odwiedzin na Śląsku Cieszyńskim. Wybitny reportażysta przyjeżdżał i do Morcinka, i do Zofii Kossak. W opublikowanym w 1932 roku w „Kurierze Warszawskim" artykule *U pisarza górnika* opisywał swoją drogę z Warszawy do Skoczowa: *Im bliżej Cieszyńskiego, tym bardziej dryl pruski spełza; miasteczka przybierają jakiś swój odrębny charakter, nie spotykany w innych dzielnicach Polski*. O dziwo, zauważył, że nasze miasteczka mają *zaciszny i domowy charakter, właściwy miasteczkom włoskim* (miło przeczytać takie porównanie). Odnotował też inne swoje spostrzeżenia, że w miasteczkach Cieszyńskiego stoją figury świętych, a domy są niskie, murowane, rozsiadłe i otwarte.

Cóż, zauważmy, że sporo tych zachwytów i pochwał...

Goszcząc w Górkach Wielkich, podobnie jak inni, Melchior Wańkowicz nie oparł się urokowi gospodarzy starego dworu. Docenił przede wszystkim atmosferę i nastrój domu przeniesiony przez rozbitków z dawnych szlacheckich siedzib. Ten nastrój przyszedł z dalekiego Wołynia *z sumiastym wąsem Pana Majora, z dobrym uśmiechem starszej pani z Lubelszczyzny*. Pisząc te słowa, miał na myśli oczywiście rodziców Zofii Kossak, którzy, razem z córką i jej rodziną, przeżyli rewolucję bolszewicką na Wschodzie, a teraz nadawali ton spotkaniu *przy nieskończenie długim stole*, któremu towarzyszył zapach zboża, ziół, suszonych owoców i grzybów. Moment, w którym Zofia z Kossaków kroiła chleb, nazwał Wańkowicz dokonywaniem najświętszego misterium i opatrzył niezapomnianym komentarzem, zauważając, że zawierucha dziejowa na śląską ziemię *rzuciła ziarno pełne*. Sam jeszcze wówczas nie przeczuwał zapewne, jakie plony miało ono wydać niebawem i na trwale już wpisać się w beskidzki pejzaż i historię.

Po raz kolejny los doprowadził do spotkania Wańkowiczów z Zofią Kossak i jej mężem po wielu latach, kiedy obie rodziny znalazły się na emigracji.

Pisarkę posądzono – niesłusznie zresztą – co już dzisiaj jest oczywiste, o współpracę z komunistycznym rządem, więc emigracja odnosiła się do niej niechętnie, a nawet wrogo. Wańkowiczowie stanęli po jej stronie, a potem, kiedy wyjechała, słuchali i czytali opowieści o pobycie Zofii Kossak i jej męża na farmie Trossel w Kornwalii, gdzie życie było bardzo trudne, a praca literacka prawie niemożliwa.

Wańkowiczowie przeczytali w marcu 1954 roku, że tegoroczna zima dała farmerom *straszną szkołę. Duże straty i przyrost pracy.* Zofia Kossak pisała: *w tej chwili mam przed kominkiem pięcioro „zdychulców" (jagniąt), które w cieple przychodzą do siebie i będą z nich jeszcze pierwszorzędne barany, ale na razie kłopot nieprawdopodobny. Pięć razy dziennie karmi się tę piątkę smoczkiem*. Żeby uratować jagnięta, Szatkowscy musieli wstawać kilkakrotnie w ciągu mroźnych nocy, wędrować na pole i stamtąd przynosić zwierzęta najsłabsze i wymagające opieki.

Korespondencji Zofii Kossak z Wańkowiczami zawdzięczamy wiele wypowiedzi na temat życia prywatnego, dzieci, wnuków, z których była dumna; na temat pracy na farmie, nielicznych chwil radosnych i wielu dni trudnych i uciążliwych. Żonę Wańkowicza pisarka nazywała Zosieńką i Siostrzyczką kochaną. Najwyraźniej obie panie lubiły się i dobrze się rozumiały, a Zofia Kossak kierowała do żony pisarza zabawne opisy, jak na przykład relację z bezskutecznego wysłania listu, który nosiła kilka dni w kieszeni, dziwiąc się, że nie nadchodzi żadna odpowiedź. *Roztargnienie u młodych i ładnych kobiet bywa wdziękiem, u starych – nieznośną plagą, niechlujstwem* – dodawała.

Pisarka wielokrotnie powtarzała, że pobyt za granicą był dla niej czasem literackiej posuchy. Kiedy w 1952 roku znalazła się w szpitalu, napisała do Zofii Wańkowiczowej długi list. Informowała o tym, co ważnego działo się w życiu jej i męża. Krótko, bez podawania szczegółów i bez użalania się sobą, donosiła: *pochorowałam się dość ciężko.* Dołączyła jeszcze wiadomość z całą pewnością dla niej niezwykle przykrą. Oto od jakiegoś czasu nie tworzy już i przypuszcza, że czas jej działalności literackiej należy do przeszłości. *Z dwojga złego lepiej przestać pisać z powodu niemożności technicznej niż z powodu braku talentu, a kiedyś przecież przestać pisać trzeba* – podsumowała. Napisanie tych zdań, a raczej uświadomienie sobie, że chyba nigdy nie zrealizuje literackich planów, wiązało się zapewne ze sporymi emocjami. Wiedziała już, że wypada z obiegu czytelniczego i że nie powróci już czas sprzed wojny, kiedy jej nazwisko kojarzyło się jednoznacznie z określonym dorobkiem. Teraz nadszedł czas milczenia.

Na szczęście ten czas się skończył – Zofia Kossak i Melchior Wańkowicz wrócili do Polski mając nadzieję, że poprawi się sytuacja w kraju i nastąpi obiecywana

w 1956 roku odwilż. Wkrótce już wiedzieli, że niewiele się zmieniło, razem podpisali tzw. „List 34" – protest przeciwko cenzurze. Melchior Wańkowicz został osądzony. Zofię Kossak znów nazwano wrogiem ustroju, a jej kolejne decyzje, między innymi, o nieprzyjęciu Nagrody Państwowej pierwszego stopnia, spowodowały, że władza ludowa z niepokojem śledziła jej poczynania ciesząc się zapewne, że mieszka w swojej góreckiej samotni na Śląsku Cieszyńskim.

Po śmierci Zofii Kossak Wańkowiczowie napisali telegram do jej męża: *Uderzeni w samo serce wiadomością o zgonie wielkiej pisarki, człowieka bez skazy, wiernego przyjaciela, czujemy się jeszcze bardziej osamotnieni, brak nam na co dzień świadomości, że żyje i pisze. Wiemy, co znaczy taka strata i jesteśmy myślami przy Was wszystkich i przy tej trumnie.*

***

Poznajmy teraz kolejnego interesującego gościa dworu w Górkach Wielkich – Aleksandra Kamińskiego. Jest on znany przede wszystkim jako autor *Kamieni na szaniec* – książki, która naprawdę interesuje gimnazjalistów. Znalazła się, na szczęście, w spisie lektur szkolnych i jest jedną z niewielu dobrze opowiedzianych historii o prawdziwych bohaterach. Czy ci, którzy ją czytają wiedzą o tym, że jej akcja zaczyna się na dawnej ziemi Kossaków? Czy wiedzą, że Zofia Kossak przez całe lata była zaprzyjaźniona z pedagogiem, wychowawcą, instruktorem harcerskim, twórcą metody zuchowej w jednej osobie – czyli charyzmatycznym „Kamykiem"? Paradoksalnie to tarapaty finansowe, w które nie po raz pierwszy wpadł Tadeusz Kossak – ojciec pisarki, spowodowały, że część majątku zagospodarowali harcerze. Dzięki temu Aleksander Kamiński kierował ośrodkiem i w Nierodzimiu, i w Górkach Wielkich. Odwiedzał sąsiadów i obserwował na przykład, jak Zofia Kossak odnosi się do dzieci i jaka w domu panuje atmosfera. Spotykano się przy stole, gdzie dzieci musiały – jak przystało na dobry dom – zachowywać się grzecznie. Nie tylko przy stole obserwował Aleksander Kamiński dzieci państwa Szatkowskich. Był wychowawcą – praktykiem, więc można dać wiarę jego słowom i spostrzeżeniom. Docenił zachowanie dzieci Zofii Kossak – Witolda i Anny, nazywając rodzeństwo uroczą parą i chwaląc *opanowaną swobodę, niepopisującą się bystrość, życzliwość dla ludzi, zwierząt, roślin, nawet dla mebli!*. Zauważył ważne szczegóły pozytywnie oceniając postawę ich rodziców, którzy, jak to określił, nie *spieszczali* ich imion, a przy stole dzieci występowały *w roli współtowarzyszy*. W swoich wspomnieniach na temat Zofii Kossak pochwalił też jej umiłowanie przyrody (zauważył, że była człowiekiem pól i lasów) i fakt, że prowadziła aktywne życie. Latem penetrowała najdalsze zakątki ziemi cieszyńskiej, organizując wyprawy rowerowe, a Aleksander Kamiński związany od 1935 z Górkami Wielkimi i sąsiadujący z nią jako kierownik męskiego ośrodka

harcerskiego na Buczu, tak właśnie zapamiętał ją z góreckich czasów. Jako wnikliwy obserwator dorzucił jeszcze ważną uwagę, która wyraźnie wyróżniała pisarkę spośród innych osób. Ta cecha dotyczyła rozmów przy góreckim stole. *Jakaż to rozmowa bez plotek* – pytał przekornie i opowiadał, że pisarka starała się nie mówić źle o bliższych i dalszych znajomych. *Gdy to zauważyłem* – pisał Aleksander Kamiński – *usiłowałem prowokować wypowiedzi o osobach, o których wiedziałem, że nie są aprobowane przez Panią Zofię. Zawsze ten sam wynik.* Zofia Kossak albo uśmiechała się i nie mówiła nic, albo mówiła nic nie znaczące ogólniki, albo stwierdzała różnice poglądów – i tyle. Nic więcej. Dodam, że zdarzyło mi się i w innych wspomnieniach znaleźć potwierdzenie tej opinii, co nie znaczy, że pisarka nigdy nikogo nie krytykowała. Wręcz przeciwnie. Owszem, krytykowała, o czym się jeszcze przekonasz, Czytelniku, ale jej wypowiedzi trudno byłoby nazwać plotkarskimi. Aleksander Kamiński się nie mylił.

Wojna wypędziła z Górek i Zofię Kossak, i harcerzy. W *Kamieniach na szaniec* czytamy, że bohaterowie książki po zdanej maturze zorganizowali dziesięciodniową wycieczkę w Beskidy Śląskie. Było lato 1939 roku. Wyprawa okazała się nadzwyczaj udana, a jej uczestnicy pełni wrażeń opowiadali o swoich planach na przyszłość. Nie wiedzieli, że niedługo brutalnie zmieni je to, co wydarzy się pierwszego września. Na razie jednak było słonecznie i obiecująco. Byli na Baraniej Górze i w Trzyńcu. *Potem na tarasie Ośrodka Harcerskiego w Górkach Wielkich, opici świetnym mlekiem, opalali się leniwo w piekących, letnich promieniach słońca, w zapachu górskich łąk.* Na Równicy Rudy, Alek i Zośka mówili o tym, kim będą i czego dokonają, a potem w doskonałych humorach, śpiewając o słonecznym dniu, szli w stronę domu i szli w stronę pięknej i bohaterskiej śmierci, która miała ich spotkać już niebawem.

Podczas wojny Zofia Kossak pomagała „Kamykowi" – autorowi książki, której akcja zaczyna się na naszym Śląsku Cieszyńskim. Spotkawszy go w Warszawie zapytała po prostu: *czy macie gdzie mieszkać*? Kamiński nie miał i przygarnęła go, jak wielu innych. W jej warszawskim mieszkaniu spędził kilka miesięcy i widział pracę konspiracyjną i zwykłe troszczenie się o gospodarstwo. Potem był też świadkiem jej niezapomnianej relacji o tym, co przeżyła, kiedy Niemcy więzili ją w obozie koncentracyjnym. Cudem uratowana *Pani Zofia zaczęła opowiadać o Oświęcimiu na pozór spokojnie, ale zacinanie się w toku tych wspomnień oraz nienaturalnie wydłużające się przerwy wskazywały, że dzieje się z nią coś niezwykłego. Wreszcie z oczu zaczęły płynąć łzy. Nie przerywała opowiadania, tylko zdania stawały się coraz krótsze. Mówiła – płacząc.* Po tym spotkaniu i kilku innych stracił z nią kontakt już na zawsze.

Nie stracił za to kontaktu z Ziemią Cieszyńską. Ucieszyłam się, kiedy przeczytałam jego wpisy w *Księdze gości,* którą posłusznie uzupełniali goście Gustawa Morcinka.

Autor *Kamieni na szaniec* do tych gości należał i wpisał się dwukrotnie. Po raz pierwszy – 26 marca 1937 roku: *Pani Teresce* [siostrze pisarza] – *potrafiącej prześlicznie opowiadać i Panu Gustawowi – który za serca chwycił setki instruktorów harcerskich – dziękuję ogromnie serdecznie za to wszystko co dla Nierodzimia w ciągu czterech lat dobrego zrobili.*

Wojna zmieniła wiele, ale nie zmieniła jego stosunku do naszej ziemi. Oto kolejny wpis z 22 sierpnia 1948 roku. W *Księdze gości* czytamy: *Po dziewięciu latach – widzę znów Śląsk Cieszyński, i Górki Wielkie, i Nierodzim, i dom Pana Gustawa i jego gospodarzy. Gdybym napisał, że nie jestem wzruszony – skłamałbym, tak samo jak skłamałbym, gdybym napisał, że jestem mało wzruszony. Ten kraj i jego ludzie są niezmiennie najmilsi i najcenniejsi – oby się udało kiedyś zostać tu już na stałe!*

Nie udało się wprawdzie, ale śmiało możemy zaliczyć pisarza, pedagoga, wychowawcę, instruktora harcerskiego, twórcę metody zuchowej w jednej osobie – czyli charyzmatycznego „Kamyka" nie tylko do gości góreckiej „Kossakówki", ale i do tych, których nasza ziemia urzekła. Jeśli był szczery – a nie znam żadnego powodu, żeby nie wierzyć jego słowom – marzył, żeby tutaj zostać na stałe. Co więcej – nie tylko krajobrazy go zachwyciły, choć przyroda z całą pewnością go wołała. Uważał, że to my – ludzie tej ziemi jesteśmy najmilsi i najcenniejsi. To zdanie nie tylko wbija w dumę, ale i zobowiązuje.

***

Wymieniając gości góreckiej siedziby Kossaków, nie można nie wspomnieć o kuzynkach Zofii Kossak – Marii i Magdalenie – córkach Wojciecha. Magdalena Samozwaniec napisała wspomnienia, dzięki którym na przykład poznaliśmy okoliczności przyjazdu Tadeusza i Anny – rodziców pisarki – do Górek Wielkich koło Skoczowa. Wcześniej mieszkali na Wołyniu, ale po rewolucyjnej zawierusze nie mieli niczego – ani majątku, ani perspektyw. Znów Tadeusz liczył na pomoc brata – malarza. Razem z żoną zatrzymał się w zakopiańskim mieszkaniu Wojciecha Kossaka i jakiś czas czekał na lepsze czasy ze świadomością, że jest dla rodziny ciężarem. Lepsze czasy nie nadchodziły. Podobno postanowili razem z Anną, że popełnią samobójstwo. W tym miejscu oddajmy głos Magdalenie z Kossaków, która wspomina: *Tego dnia, kiedy to w nocy mieli zrealizować ową dramatyczną decyzję, Tadeusz spotyka na ulicy swojego sąsiada, tak jak on obywatela ziemskiego, który mu radził, aby starał się o dzierżawę starego dworu na Śląsku koło Cieszyna, wraz z całym gospodarstwem.*

Przyjechali do nas, a do nich przyjeżdżali inni Kossakowie. Wertując listy i wspomnienia Wojciecha, znajdziemy nieraz złośliwości pod adresem różnych członków rodziny. Zofii Kossak znakomity malarz też nie oszczędził. *Lotek na wieczorze wczoraj spotkał «Pożogę», bardzo była tykająco familijna* – pisał z przekąsem

z Warszawy 13 stycznia 1936 roku. Nie odwiedzali się chyba specjalnie często, bo 22 lutego 1938 roku informuje: *Byłem wczoraj na bridżu u Szatkowskich z Jadwigą. Dałem się zmiękczyć, paskudna ona i niesympatyczna ta Zofia, ale ostatecznie do blasku tego niezwykłego rodu się przyczynia także… pal sześć. On, odprowadzając mnie na schody, głęboko wzruszony mi dziękował, a ona zaraz dziś przysłała dwa tomy „Bez oręża”.*

Pretensje rodziny dotyczyły pieniędzy pożyczanych przez Wojciecha Tadeuszowi „na wieczne nieoddanie”, a także, a może przede wszystkim – książek. Kolejne książki bowiem przynosiły Zofii rosnącą popularność. Dodajmy jeszcze, że w rodzinie niejednokrotnie dyskutowano na temat jej twórczości i to nie zawsze życzliwie. Dla pełnej jasności dodam jednak, że Wojciech jest autorem okładki do pierwszego wydania *Pożogi*, w dodatku dzięki jego protekcji książka się w ogóle ukazała. Nikt nie sądził jednak, że będzie tak rozchwytywana. A ta sama rodzina, która udzieliła poparcia, z ironią nazywała potem sławną już krewną „Pożogą” albo „Szczuką”.

Znów oddajmy głos Wojciechowi Kossakowi, który pisał z Warszawy 7 listopada 1935 roku: *Nasza Maria mile połechtana wawrzynem złotym, tylko uważa, że Szczuka powinna była dostać także* (M. Pawlikowska-Jasnorzewska dostała w 1935 roku Złoty Wawrzyn PAL-u, a Zofia Kossak rok później). Mimo wszystko autorka *Pożogi* była od swoich kuzynek wówczas dużo bardziej znana. W 1931 roku Maria pisała z żalem: *Mnie wzięli za Zofię Kossak-Szczucką, potem za Madzię – ale o mnie nie wiedzieli.* Maria uważała, że Zofia i jej twórczość miała zawsze wpływ na ludzi niezbyt mądrych, ona sama zwracała się do elitarnego czytelnika. Nic też dziwnego, że w chwili szczerości w liście do męża napisała zgryźliwie: *Pończochy jedwabne są bardzo poetyczne, skarpetki zaś z tej samej rodziny pochodzą, trochę się tylko różnią, jak Zosia Szczuka ode mnie (ja jedwab, ona bawełna, trochę przepocona).*

Zofia Kossak też nie była wielbicielką twórczości kuzynki, a powody jej opinii wynikają z bardzo poważnego traktowania posłannictwa pisarza (pamiętamy, że podobnie rzecz się miała ze Sztaudyngerem). Zapytana, co sądzi o wierszach Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej powiedziała: *Ciągle czekam na coś godnego jej wielkich zdolności, a cóż to jest? Prestidigitatorstwo, wytrząsanie z rękawa kolorowych piórek i dmuchanie na nie, żeby wiatr je poniósł, gdzie chce. A ona ma olbrzymi talent, po prostu olbrzymi; nawet trudno sobie wyobrazić jak wielki i oryginalny. Po podwójnym biegu, bo maluje i pisze. Zupełnie niepospolicie obdarowana natura, aż żal patrzeć, że się tak marnuje. Ogromny talent Lilki Pawlikowskiej wisi w powietrzu jak storczyk i jak storczyk kwitnie ślicznie dla znawców, ale tylko tyle. Trzeba mu gleby koniecznie, jakiejkolwiek, ale gleby. (…) Mnie najniezasłużeniej Bóg dał życie tak pełne i bogate, że siedząc w Górkach za górami, zaledwie nadążam przeżyć i przemyśleć wszystko, co mi ono przynosi. Ona, biedactwo, przy swojej olbrzymiej pojemności duchowej ma*

życie bardzo puste jeszcze. Więc jeździ, bawi się, jest w nieustannym pseudoruchu, byle to czemś wypełnić.

Domyślamy się, że obie panie nie rozumiały się najwyraźniej, a czas bardzo różnie obchodził się z ich twórczością.

Maria z Kossaków na zawsze pozostała w Górkach, a to dzięki akwareli, która wisi na ścianie gabinetu Zofii Kossak. Piękna twarz w szklanej kuli, to właśnie ona.

Dzięki swoim obrazom na zawsze też pozostał w Górkach Wielkich Witkacy – twórca genialny i kontrowersyjny. Zanim poznamy więcej szczegółów na temat pobytów w Beskidach znanego pisarza, malarza i filozofa – Stanisława Ignacego Witkiewicza, wyjaśnić trzeba powody, dla których nieraz gościny użyczał mu górecki dom. Witkacy był mężem Jadwigi – córki admirała Zygmunta Unruga. Jadwiga była zaś blisko spokrewniona z Kossakami jako siostrzenica Tadeusza – ojca Zofii Kossak, a więc i ona była wnuczką znanego malarza – Juliusza. Dowiedziałam się, że bywała w Górkach Wielkich. Szkoda, że nie zachowała się korespondencja ani żadne inne dokumenty skrupulatnie przed wojną gromadzone w góreckim domu. Ci, którzy pamiętają wizyty Jadwigi i jej męża, mówią, że miała bardzo arystokratyczne maniery, podobno brzydziła się wręcz dotknąć rzeczy, które, jej zdaniem, nie były sterylnie czyste. Dzieci zaś wciągały dorosłych domowników i gości w swoje oryginalne zabawy. Goście Kossaków musieli na przykład wypalić z nimi fajkę pokoju. Można sobie tylko wyobrazić, z jakim obrzydzeniem Jadwiga z Unrugów brała ją do ust.

Stanisław Ignacy Witkiewicz niewątpliwie był człowiekiem, którego zachowanie bywało często kontrowersyjne. Nic więc dziwnego, że uznająca dawne dobre tradycje rodzina Kossaków nie była zbyt zachwycona decyzją Jadwigi. Witkacy całe życie szukał nowych wrażeń, przygód egzystencjalnych, dość ekscentrycznych, a nawet perwersyjnych doświadczeń. Nic więc dziwnego, że niezbyt długo był wierny żonie. Utrzymywał jednak, że stale ją kocha, odwiedzał ją w warszawskim mieszkaniu, a ona zawsze wiernie na niego czekała. Podobno był dumny, że przez żonę spokrewniony jest z Kossakami. Odwiedzał więc nieraz, albo sam, albo z żoną rodzinę w Górkach Wielkich. Czy był tu mile widziany? Biorąc pod uwagę jego dziwaczne zachowanie i niezrozumiałą twórczość, można mieć wątpliwości. Zofia Kossak hołdowała przecież, zarówno w życiu, jak i w twórczości, zupełnie innym zasadom. Nie ma jednak powodu sądzić, że góreccy gospodarze byli niegościnni. Z całą pewnością Witkacy dość chętnie tu przyjeżdżał, może więc widziano w nim raczej człowieka wrażliwego, cierpiącego, samotnego, niespełnionego artystę, błazeństwem zagłuszającego swój prawdziwy dramat. Tak o nim mówiła pisarka, choć nie lubiła jego twórczości. Po wojnie, prosząc krewną o przesłanie z Warszawy jego *Nienasycenia*, pisała – *prześlij mi to świństwo*.

W marcu 1931 roku Witkacy odwiedził Śląsk Cieszyński. Zamierzał jeździć na

nartach. Okoliczności jednak nie sprzyjały jego planom, halny spowodował zmianę pogody i śnieg stopniał. Gość góreckiego domu nudził się, więc pojechał do sąsiedniego Skoczowa, gdzie kupił zwykły papier. Na nim namalował portrety domowników. Określił je jako „bardziej charakterystyczne", a więc mniej „udziwnione". Portret Zofii Kossak podpisał jako Maciej Witkasiewicz i opatrzył adnotacją, z której wynika, że nie pił 20 dni.

Do dziś w Górkach Wielkich pozostały dwa portrety. Przedstawiają rodziców pisarki. Oba robią niezwykłe wrażenie. Pierwszy z nich – przez lata całe uważany za zaginiony, odnaleziony został przypadkiem podczas porządkowania pokoików w dawnym domku ogrodnika. Byłam świadkiem, kiedy świeżo odzyskany zajął miejsce na biblioteczce, a córka Zofii Kossak nie mogła się nadziwić, jaki to przypadek – nie – przypadek pozwolił odzyskać prawdziwy skarb. Zawinięty w gazety przetrwał prawie nienaruszony portret sumiastego i dumnego szlachcica – ojca Zofii. Na drugim portrecie, wyjątkowo oszczędnym w doborze środków wyrazu, została uwieczniona jego żona Anna – kobieta o wyjątkowo smutnych oczach. Tak właśnie widział ją genialny Witkacy, tak samo zapamiętali ją inni.

Stanisław Ignacy Witkiewicz i jego żona na trwale zapisali się w pamięci góreckiego domu. Może tu, w Górkach Jadwiga opowiedziała kuzynce Zofii o tym, jak przyrzekła swojemu mężowi, że nie urodzi dziecka. (Witkacy zdecydowanie nie chciał mieć potomka). Kiedy jednak w 1925 roku okazało się, że jest w ciąży, bardzo chciała zostać matką. Mąż jednak był nieubłagany, kazał ciążę usunąć (mimo że była już dość zaawansowana). Nie wypada przytoczyć wszystkich słów, które pisał do niej, kiedy była w szpitalu, są zbyt cyniczne, okrutne i niesmaczne. Najbardziej jeszcze „cenzuralne" i zarazem charakterystyczne jest egoistyczne stwierdzenie: *Stan mój jest opłakany. Mieszkam w nadbudówce psychicznej(...) Bardzo cierpię za Ciebie, ale już samym koniuszkiem duszy, bo sam jestem jak jedna dupa wołowa*. Nie cierpiał z powodu śmierci swojego syna. Chciał znać szczegóły „zabiegu" i dowiedzieć się, co czuje człowiek poddany narkozie. Tymczasem jego żona zobaczyła martwego chłopca, którego miała nie urodzić i nigdy nie zapomniała tej życiowej tragedii.

Kontakty rodziny Kossaków z Witkiewiczami nie urwały się wraz z wybuchem II wojny światowej. Jadwiga mieszkała z Zofią z Kossaków i jej matką w Warszawie. Niefortunnie złamała wówczas nogę, a w gipsie ukrywano konspiracyjne materiały, dzięki czemu rodzina podczas jednej z rewizji cudem uniknęła aresztowania. Stanisław Ignacy Witkiewicz już wówczas nie żył. Popełnił samobójstwo tuż po tym, kiedy dowiedział się o napaści Związku Radzieckiego na Polskę. Podobno był pewien, że oto na jego oczach spełniają się apokaliptyczne przepowiednie, a okrucieństwo bolszewików i sposób, w jaki traktowali Polaków poznał już przed laty. To strach wywołał tak desperacki krok. Razem z nim w Jeziorach na dalekim Polesiu (dzisiejsza

Ukraina) umrzeć miała jego kochanka – Czesława Oknińska, która jednak ostatecznie samobójczą próbę przeżyła. Oficjalnie mówiła odtąd o sobie: Witkacowa. Twierdziła bowiem, że tuż przed śmiercią Witkacy ją poślubił. Tymczasem prawowita żona Witkacego – Jadwiga z Unrugów żyła w biedzie, nie mogła znaleźć mieszkania, chorowała. Prawdopodobnie wszystkie te przeżycia stopniowo doprowadziły do tego, że można ją było określić jako osobę, z którą trudno się było porozumieć, kobietą chimeryczną i wiecznie ze wszystkiego niezadowoloną.

Kiedy Zofia Kossak z mężem po wieloletniej emigracji wróciła do Polski i osiadła w swoich ukochanych Górkach, znów w jej życiu pojawiła się żona Witkacego. Zaczęły przychodzić listy zawierające dramatyczne prośby. Jadwiga prosiła o pomoc w załatwieniu mieszkania w Warszawie. Tymczasem przebywała w sanatorium. *Jedzenie okropne* – pisała – *dieta prawie żadna (...) doktór bardzo nieprzyjemny, stosujący metody obozowe. Byłabym dawno stad wyjechała, gdybym miała dokąd. Błagam Cię Zosiu, ratuj mnie – przez wzgląd już nie na pokrewieństwo, ale na dawną, długoletnią przyjaźń.*

Zofia Kossak pomagała, przesyłała pieniądze, pocieszała. Jej krewna była jednak wciąż niepocieszona, załamana i nieszczęśliwa. Z tego czasu zachowała się nawet opinia psychiatry wydana w 1957 roku, zgodnie z którą *u Obywatelki Jadwigi Witkiewicz stwierdza się ciężką psychonerwicę na tle sytuacyjnym.* „Tło sytuacyjne" to nic innego, jak brak spokojnego kąta i paniczny strach przed bezdomnością, o której pisała w liście z 11 października 1957 roku, przechowywanym w góreckim muzeum: *Zosiu moja – myśl o bezdomności prześladuje mnie ciągle. Nie sypiam, nie jadam, tylko męczę się w potworny sposób.*
Jadwiga zamieszkała w końcu w Warszawie, gdzie pielęgnowała pamięć o swoim mężu, przepisywała jego rękopisy, gromadziła i przechowywała listy, dokumenty, obrazy, szkice. Z czasem zaczęto o nim mówić jako o wielkim artyście, choć prawdziwej „mody na Witkacego" jego żona już nie doczekała.

Zadawano sobie nieraz pytanie – czy Witkacy to geniusz, czy grafoman i psychopata? Tak właśnie tutaj – w Beskidach, a dokładniej w Wiśle nazwał go w sierpniu 1937 roku Karol Irzykowski. Zdarzenie to wspomina Stanisław Hadyna, który uczestniczył wówczas w wykładach i odczytach zorganizowanych w ramach Wakacyjnego Instytutu Sztuki. Ekscentryczny i prowokujący publiczność Witkiewicz pokłócił się ze znanym literatem: *Ponieważ Witkiewicz w sposób oczywisty nie miał racji i wcale o nią nie zabiegał, starał się dziwaczyć w miarę możności, młodzieżowa cześć widowni była po jego stronie choć bez przekonania. Irzykowski nazwał go grafomanem i psychopatą, który chce zbić majątek na eksponowaniu swojej choroby. Witkacy nazwał go głupcem, a ponieważ Irzykowski (...) był członkiem Akademii Literatury (...) skandal wisiał w powietrzu.*

Witkiewicz bywał nie tylko w Górkach Wielkich i Wiśle. Przyjeżdżał też do Bielska, Białej, Bystrej i Jaworza. Nieraz wypoczywał, jeździł na nartach, a „szus z Beskidów" upamiętnił na jednym z rysunków, który swoim zwyczajem opatrzył tajemniczymi adnotacjami. Wynika z nich, że szkic powstał 14 marca 1932 r. a autor od trzech miesięcy nie palił, a od pięciu – nie pił.

Jeszcze w lipcu 1938 roku Witkacy wygłosił w wiślańskim Wakacyjnym Instytucie Sztuki wykład o istocie malarstwa. Nieco ponad rok później popełnił samobójstwo i pochowano go na dalekim Polesiu. Witkacy lubił kpić z ludzi, ale może to oni ostatecznie okrutnie z niego zakpili. W imię przyjaźni polsko-radzieckiej postanowiono zorganizować coraz bardziej modnemu i popularnemu pisarzowi uroczysty pogrzeb, a ciało jego sprowadzić z terenów Związku Radzieckiego i pochować obok matki na zakopiańskim cmentarzu. Co więcej, przy okazji okrzyknięto go pisarzem rewolucjonistą. Nikt nie zadał sobie jednak trudu, żeby należycie przeprowadzić ekshumację zwłok, więc na wiejskim cmentarzu zakłócono spokój przypadkowego nieboszczyka, a prawdopodobnie nawet nieboszczki, która z honorami spoczęła obok matki Witkacego. Rodzinie, która od razu zauważyła pomyłkę, władze partyjne kazały milczeć. Nad grobem ksiądz Józef Tischner w kwietniu 1988 r. mówił o zmarłym na rozpacz bracie Witkacym, a cenzura skreśliła znaczący akapit o okoliczności śmierci – o dniu klęski i dniu zdrady.

Witkacy poprzez swoje życie, a zwłaszcza dramatyczną śmierć stał się postacią tragiczną, ale i interesującą. Po wojnie, kiedy nastała „moda na Witkacego", zaczęto podawać coraz to nowe sensacyjne informacje na jego temat. Najpierw gruchnęła wieść, że Witkacy – kpiarz i tym razem sobie zakpił z pompatycznej uroczystości, jaką był jego – nie jego – pogrzeb, a teraz zaczęto mówić o faktach jeszcze bardziej niezwykłych. Witkacy się nie zabił – przeczytaliśmy w 2008 roku w jednym z artykułów. Reżyser i scenarzysta – Jacek Koprowicz uważa, że samobójstwo Witkacego to mistyfikacja. Przeżył wojnę i ukrywał się u kochanki, z którą miał razem umrzeć we wrześniu 1939 roku. Jednym z dowodów jest fakt, że Okińska odebrała zamówioną przed wojną sztuczną szczękę Witkacego. Koprowicz przygotowuje nowy film na ten temat. Znów nie wiemy, jak naprawdę potoczyły się losy kolejnego gościa dworu w Górkach Wielkich.

Dramatyczne było nie tylko życie Witkacego. Magdalena Samozwaniec uważała, że również Zofia Kossak miała swój fatalny los zapisany w gwiazdach. Według jej relacji Józef Albin Herbaczewski – pisarz, krytyk i publicysta, niesłychanie biegły w astrologii, poznawszy datę urodzenia Zofii Kossak, miał powiedzieć: *Waga; odpowiednia karta tarota – «śmierć». Przy tej osobie musiało dużo ludzi umrzeć!* Rzeczywiście – zastanawiała się jej kuzynka, dając wiarę słowom o przeznaczeniu wynikającym z kart

i gwiazd – wydarzyło się niespodziewanie wiele przykrych sytuacji, w które obfitować miało aż do końca życie Zofii Kossak.

Pozostaje jeszcze na zakończenie powiedzieć o tym, że po wojnie Zofia Kossak odnowiła kontakty z rodziną pozostającą w kraju. Wspomniałam już o żonie Witkacego, ale dodać trzeba, że uczestniczyła i w życiu innych. Nie pochwalała ekshibicjonizmu, którego doszukała się w książkach kuzynki – Magdaleny z Kossaków (Magdalena Samozwaniec opublikowała książki pt.: *Zalotnica niebieska*, a także *Maria i Magdalena*) i żałowała, że sama nie opublikowała wspomnień na temat zmarłej na emigracji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Uważała, że Magdalena nie powiedziała o niej całej prawdy.

Po 1957 roku, a więc po powrocie do Polski, pisarka uczestniczyła w życiu nie tylko najbliższej, ale i dalszej rodziny. Otrzymywała na przykład listy od Isi (Marii) Woźnikowskiej (córki Jerzego Kossaka) i Magdaleny Samozwaniec. Obie krewne opisywały perypetie związane z remontem, utrzymaniem, sprzedażą czy nawet roztrwonieniem rodzinnego gniazda – Kossakówki i mieszczących się w nim pamiątek. Isia pisała wprost o wariactwie Madzi, która chce sprzedać idealnie swoje części rodowej siedziby. Magdalena Samozwaniec z kolei donosiła, że Kossakówka prezentuje sobą widok rozdzierający, a ona sama bez żalu rezygnuje z tego smętnego cmentarzyska, skoro pozostały już tam tylko rozdzierające wspomnienia, po których biegają obce typki. Uważała, że dawnych Kossaków już nie ma, bo utalentowani przedstawiciele rodziny ożenili się byle jak i miała nadzieję, że we wnukach Zofii Kossak odezwie się znowu jakiś Wojtek, Lilka lub Zosia. Na nikim z najbliższej rodziny nie pozostawiała suchej nitki, pisząc, że mąż Lilki (Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej) zgłupiał zupełnie i nie zgadza się na przeniesienie prochów swojej żony z Anglii do Polski, gdy tymczasem tam, na obczyźnie, jej grób już zarasta trawą. Niepokoiło ją zachowanie Ninki, żony Witkacego, i nazywała swoją kuzynkę – Jadwigę psychopatką w ostatnim stadium depresji, a w 1960 roku donosiła, że ta otruła się w szpitalu. Wkrótce jednak śpieszyła ze sprostowaniem. Witkiewiczowa żyje, a pogłoski o jej samobójczej śmierci okazały się fałszywe. Przy okazji jednak dodała, że nadal jest zdziwaczałą osobą o niezwykle trudnym charakterze.

Spory rodzinne, wielkie sprawy literackie i społeczne, plany życiowe, ludzkie radości i dramaty – wszystko to nadal pozostaje u nas – w Górkach Wielkich, bo wszystko ożywa, kiedy penetrujemy bogate archiwum pisarskie Zofii Kossak. Spotykamy ją samą, jej rodzinę i gości. Wystarczy tylko czas poświęcony na lekturę setek listów, wyobraźnia, która ożywia zwyczajne słowa i już jesteśmy wśród żywych ludzi – jesteśmy w kręgu historii zwyczajnych i nadzwyczajnych…

ZAKOŃCZENIE

Pożegnaliśmy Zofię z Kossaków i jej gości, więc pora już zakończyć wspólną wędrówkę. Spotkaliśmy ludzi, których wiele dzieliło, ale połączył pobyt w naszych stronach i fakt, że byli literatami. Na koniec niech przemówi w swoim, a może i ich imieniu Władysław Orkan, który wprawdzie należy do mniej znanych pisarzy, ale postanowiłam oddać mu głos, bo chciałabym, żeby każdy z moich bohaterów jego słowami mógł wyrazić to, co czuł i myślał...

Schorowany Orkan postanowił napisać nową książkę. Słyszał o naszej ziemi wiele dobrego, a usłyszawszy, powiedział: *Pojadę na Śląsk, przewędruję go wzdłuż i wszerz*. Słowa dotrzymał. Na tyle, na ile starczyło mu sił wędrował, słuchał, podziwiał i notował. Polubił tę ziemię i zaczął już pisać o tej ziemi powieść. Nie zdążył jej skończyć – śmierć okazała się szybsza, ale zanim umarł, powiedział: *Czasem zamykam oczy i widzę tamte ziemie, a one oddają mi swój urok, abym go zawarł w słowie*....

Proste i piękne słowa, które wypowiedziane zostały chyba po to, żeby stać się podsumowaniem i uogólnieniem. Zrodzony z uśmiechu Śląsk Cieszyński – nasz dom i centrum naszego świata, udzielał gościny szczególnym ludziom. Kto wie – może właśnie po to dane było bohaterom, których spotkaliśmy, odpowiedzieć na jego zaproszenie, żeby potem, kiedy już byli daleko stąd, mogli zamknąć oczy i widzieć tę ziemię, która oddała im swój urok, ponieważ to właśnie oni mogli go zawrzeć w słowie.

INDEKS OSÓB

Boy Żeleński Tadeusz 5
Bronikowski Stanisław 63
Brożek Ludwik 15, 54
Bryll Ernest 54
Bugnon-Rosset Anna – zob. Szatkowska Anna
Chęciński Jan 74
Choromański Michał 63
Czech Bronisław 63, 64
Dąbrowska Maria 4, 73-76
Domańska Jadwiga 24
Dulębianka Maria 7, 8, 19
Filipowicz Kornel 49
Głowacki Aleksander – zob. Bolesław Prus
Góralski Henryk 36
Grim Emanuel, ksiądz 3, 77
Gumplowicz Ludwik 16-18, 20, 21
Gumplowicz Maksymilian 15, 17- 21
Gumplowicz Władysław 20
Gumplowiczowa Franciszka 20, 21
Hadyna Stanisław 87
Heska-Kwaśniewicz Krystyna 55
Hoff Bogdan 22, 38
Hoff Bogumił 22
Irzykowski Karol 88
Jasieński Bruno 54
Kabiesz Kazimierz 53
Kamiński Aleksander 4, 73, 81-83
Kant Emanuel 57
Karpowicz Tymoteusz 55
Kasprowicz Jan 54
Kierc Bogusław 52
Kolińska Krystyna 15
Konopnicka Maria 4-11, 13-15, 18- 22
Koprowicz Jacek 88
Kossak Szczucka-Szatkowska Zofia – zob. Kossak Zofia
Kossak Tadeusz 72, 81, 83-85
Kossak Wojciech 73, 83, 84.
Kossak Zofia 4, 68-77, 79-89
Kossakowa Anna 72
Kotarbińska Lucyna 12
Kowalska Karolina 48
Kożdoniówna Bronisława 67
Krzywicki Ludwik 8
Kurek Jalu 50
Kwiatkowski Jerzy 58
Leporowski Jerzy 63
Londzin Józef ksiądz 9, 13
Lorentowicz Jan 44
Lubosz Bolesław 47, 59
Łaszowski Alfred 51, 54
Łopatkiewicz Zdzisław 20
Majeranowski Piotr 9
Malczewski Jacek 63
Malczewski Rafał 63
Marcinek Antoni 17
Marcinkowa Jadwiga 17
Marcinkowa Janina 16
Marza Ostrawicka zob. Skotnicowa
Michalska Emilia 68
Michejdowa Stefania 17
Mickiewicz Adam 36, 48, 61
Mickiewiczowa Zofia 20
Miłosz Czesław 54
Mitręga Paweł 61
Morcinek Gustaw 3, 59, 76, 77
Morcinek Teresa 83
Nanke Eryk 49
Napierski Stefan 61
Obrochta Bartuś 33
Ochorowicz Julian 11, 22-40, 42, 43
Orkan Władysław 90
Orzeszkowa Eliza 10, 11, 14, 20
Ostrawicka Maria – zob. Skotnica-Ostrowicka Maria
Paiper Tadeusz 54
Palladino Eusapia 24, 30, 31
Pawlikowska-Jasnorzewska Maria 4, 73, 84
Piotrowski Józef – zob. Zaleski Józef
Podżorski Andrzej 38
Pol Wincenty 22
Prochaska Karol 60
Prus Bolesław 4, 6, 22, 24, 28-41, 43, 45
Przerwa-Tetmajer Kazimierz 5, 12, 54
Przyboś Adam 50, 65
Przyboś Julian 4, 47-62, 64-67
Pytlińska Laura 19
Reymont Władysław Stanisław 4, 28, 42-46,50
Rosner Edmund 20, 43
Sacewiczowa Alina 38
Salezy Franciszek, święty 62
Samozwaniec Magdalena 4, 73, 83, 89
Schreinzer Franciszek 12
Schulz Bruno 57
Sienkiewicz Henryk 8, 25, 28
Skotnica Jerzy 65, 66
Skotnica-Ostrowicka Maria 65
Skotnicówna Lidia 63, 64
Skotnicówna Marzena 61- 67
Słowacki Juliusz 12, 25, 28
Sobczyńska Krystyna 17
Sołtysik Marek 43
Spasowicz Włodzimierz 34
Stańko Anna 9
Strzemiński Władysław 60, 61
Szatkowska Anna 69, 71, 81

Szatkowska Zofia zob. Kossak Zofia
Szatkowski Witold 69, 81
Szatkowski Zygmunt 69, 81
Szczepański Jan 49, 54
Szczucki Juliusz 69, 71, 72, 74, 75
Szczucki Tadeusz 69, 71, 72, 74
Pawlikowska-Jasnorzewska Maria 4, 73, 84
Szczuka Mieczysław 63
Sztaudynger Jan 4, 73, 76-79, 84
Szypowska Maria 8
Święcicka Władysława 37
Święcicki Julian Adolf 37
Świętochowski Aleksander 20, 31
Tischner Józef, ksiądz 88
Tomala Rudolf, ksiądz 13
Tomczykówna Stanisława 26, 31, 32
Trembiński Emil 37, 39
Trzcionka Wojciech 52
Unrug Zygmunt 85
Ustupski Jerzy 63, 64
Wantuła Jan 26, 27, 39, 40, 44
Wańkowicz Melchior 4, 73, 79, 80, 81
Wańkowiczowa Zofia 80
Wereszczakówna Maryla 48
Witkacy zob Witkiewicz Stanisław Ignacy
Witkiewicz Stanisław 33
Witkiewicz Stanisław Ignacy 4, 73, 85, 86, 87, 88
Witkiewiczowa Jadwiga 87, 89
Woźnikowska Maria 89
Wójcik Józef 64
Wyka Kazimierz 58
Wyspiański Stanisław 54
Zaleski Józef 15-19
Zawada Paweł 9, 13
Żeromski Stanisław 50
Żeromski Stanisław 49

BIBLIOGRAFIA

MARIA KONOPNICKA

A. P., Czy „Rota" Konopnickiej i „Placówka" B. Prusa powstały w Wiśle?, „Głos Ziemi Cieszyńskiej", 1962, nr 21.
Brożek L., Listy Ludwika Gumplowicza do Józefa Zaleskiego, „Głos Ziemi Cieszyńskiej, 1976, nr 7, 8, 9, 10.
Kolińska K., Listy do nie kochanych, Wydawnictwo „Śląsk", Katowice, 1983.
Majeranowski P., Na tropach „Roty", W: Kalendarz Cieszyński 2000, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn, 1999.
Marcinkowa J., Dziadek Zaleski, W: Kalendarz Cieszyński 2000, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn, 1999.
Miękina L.: Znów minie wiek… Antologia literatury nadolziańskiej, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn, 2001
Rosner E., Konopnicka w Beskidzie, „PRO-FILIA", Cieszyn, 1996.
Szypowska M., Konopnicka jakiej nie znamy, Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa, 1963.
Warneńska M., Droga do Żarnowca, W: M. Warneńska: Śladami pisarzy, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1962.
Zgon wielkiej poetki, „Tygodnik Ilustrowany" nr 42, 1910.

BOLESŁAW PRUS

Adamiec Z., Duch Ochorowicza, „Głos Ziemi Cieszyńskiej", 1997, nr 30.
Bolesław Prus 1847-1912. Kalendarz życia i twórczości. Opracowali Krystyna Tokarzówna i Stanisław Fita pod red. Zygmunta Szweykowskiego, PIW, Warszawa, 1969.
Danel R., Duchy w Ochorowiczówce, „Głos Ziemi Cieszyńskiej", 2004, nr 51-53.
Kartki z podróży, tom II, W: Bolesław Prus: Pisma. Pod red. Z. Szweykowskiego. Tom XXVIII, Książka i Wiedza, Warszawa, 1950.
Kierasiński Z., Z pobytu B. Prusa w Wiśle, „Kurier Literacko-Naukowy", 1931, nr 35.
Kulczycka-Saloni J., Bolesław Prus, Wiedza Powszechna, Warszawa, 1967.
Markiewicz H., „Lalka" Bolesława Prusa, „Czytelnik", Warszawa, 1967.
Pauszer-Klonowska G., Trudne życie. Opowieść o Bolesławie Prusie, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin,1975.
Pilch M., Pierwsze polskie wille w Wiśle, „Głos Ziemi Cieszyńskiej", 1963, nr 30.
Pilchówna M., Wisła, wieś słowiańsko-ewangelicka. Regionalne szkice literackie, Nakładem Strażnicy Ewangelicznej, Bytom, 1948.
Podżorski A., Z pobytu Bolesława Prusa w Wiśle, „Głos Ziemi Cieszyńskiej", 1961, nr 5.
Prus B., Zjawiska mediumiczne, „Tygodnik Ilustrowany", nr 2843 z 2 lipca 1910.
Radwan E., Wieczorna wizyta, „Głos Ziemi Cieszyńskiej", 1962, nr 21
Rosner E., Bolesław Prus w Beskidach, Beskidzka Oficyna Wydawnicza BTSK, Bielsko-Biała, 1985.
Śliwiński P. J., ks. Zwoliński A., Cisowki H., Regierz A., Kościół a spirytyzm, Wydawnictwo „M", Kraków, 2001.
Tyszkiewicz T., Bolesław Prus, Państwowy Zakład Wydawnictw Szkolnych, Warszawa, 1971.
Valis-Schyleny S., Zachowane w pamięci. Ludzie wiślańskiego „Zacisza"., Towarzystwo Miłośników Wisły, Wisła, 1998.
Wantuła J., Książki i ludzie. Szkice o wydawnictwach i piśmiennictwie na Śląsku Cieszyńskim, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1956.
Zborowski J., Z opowiadań i przeżyć Bartusia Obrochty, „Ziemia" 1929, nr 6.

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Kocówna B., Reymont. Opowieść biograficzna, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1971.
Warneńska M., „Wczoraj" i „dziś" Lipiec reymontowskich, W: M. Warneńska: Śladami pisarzy, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1962.

JULIAN PRZYBOŚ

Filipowicz K., Opowiadania cieszyńskie, Cieszyński Ośrodek Kultury „Dom Narodowy", 2000.
Heska-Kwaśniewicz K., Apokalipsa spełniona w górach („Z Tatr" J. Przybosia), W: Poezja polska. Interpretacje. Pod red. K. Heskiej-Kwaśniewicz i B. Zelera, Wydawnictwo „Książnica", Katowice, 2000.
Heska-Kwaśniewicz K., Jak powstał wiersz Juliana Przybosia „Z Tatr". Rozważania o genezie i tekście. W: Szkice o literaturze dawnej i nowszej, Uniwersytet Śląski, Katowice, 1992.
Heska-Kwaśniewicz K., „Miłość jak przepaść". Julian Przyboś i góry, „Śląsk", Katowice, 1998.
Jagiełło M., Wołanie w górach. Wypadki i akcje ratunkowe w Tatrach, Wydawnictwo Iskry, Warszawa, 2006.
Kierc B., Przyboś i, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk, 1976.
Kłak T., „Siatka innej geografii" (O cieszyńskim okresie twórczości Juliana Przybosia), W: T. Kłak: Ptak z węgla. Studia i szkice literackie, Wydawnictwo „Śląsk", Katowice, 1984.

Księga pamiątkowa Państwowego Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego obecnie Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Cieszynie, Wydana z okazji siedemdziesiątej rocznicy założenia szkoły.
Księga pamiątkowa Polskiego Gimnazjum Macierzy Szkolnej w Cieszynie obecnie Liceum Ogólnokształcącego im. Antoniego Osuchowskiego w Cieszynie, wydana z okazji 100 rocznicy założenia szkoły, Macierz Ziemi Cieszyńskiej.
Listy Juliana Przybosia do rodziny. Opracował Adam Przyboś, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1974.
Lubosz B., Alfabet śląski, Katowice, 1995.
O Julianie Przybosiu. Wspomnienia – studia – szkice. Pod redakcją Tadeusza Bujnickiego i Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz, Uniwersytet Śląski, Katowice, 1983.
Przyboś J.: Noc majowa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Warszawa,1981.
Przyboś J., Zapiski bez daty, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1970.
Szymański W. P., Julian Przyboś, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1978.
Tatry i górale w literaturze polskiej, Antologia. Opracował Jacek Kolbuszewski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław, 1992.
Trzcionka W., Pokątna mieścina, „Dziennik Zachodni", 2001, nr 28.
Waśkiewicz A. K., o poezji Juliana Przybosia, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk, 1977.
Z cieszyńskich wspomnień. Wydano z okazji koleżeńskiego zjazdu absolwentów Państwowego Gimnazjum im. Antoniego Osuchowskiego i Gimnazjum matematyczno-Przyrodniczego w Cieszynie, Pod patronatem Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, Towarzystwa Miłośników Regionu w Cieszynie, Cieszyn, wrzesień 1980.

ZOFIA KOSSAK

Bugnon-Rosset A., z białych plam w życiorysie Zofii Kossak, „Tygodnik Powszechny" 1988, nr 14- 15.
Dąbrowska M., Dzienniki, T. 1, Warszawa, 1988.
Heska-Kwaśniewicz K., Niezwykłe konsekwencje odrzucenia Nagrody Państwowej, „Tygodnik Powszechny", 1996, nr 34.
Maria z Kossaków Jasnorzewska, Listy do przyjaciół i korespondencja z mężem (1928-1945), oprac. K. Olszański, Kraków, 1998.
Jurgała-Jureczka J.,Dzieło jej życia. Opowieść o Zofii Kossak, Częstochowa, 2007.
Jurgała-Jureczka J., Oswajanie „nieznanego kraju". Śląsk w życiu i twórczości Zofii Kossak, Cieszyn, 2002.
Jurgała-Jureczka J., Zofii Kossak dom odnaleziony i utracony, Cieszyn, 2003.
Olszański K., Niepospolity ród Kossaków, Kraków, 1994.
Pałaszewska M., Listy Zofii Kossak do Józefa Birkenmajera, „Akcent", 1999, nr 1.
Pałaszewska M., Listy Zofii Kossak do Marii Dąbrowskiej, „Ruch Literacki" R. XXXV, 1994, z. 5-6.
Pałaszewska M., Zofia Kossak, Warszawa, 1999.
Rosner E., Wokół Zofii Kossak. Zbiór szkiców i przyczynków, Cieszyn – Górki Wielkie, 1995.
Ryszka Cz., Milczący obecny i inne szkice o pisarzach katolickich, Katowice, 1984.
Samozwaniec M., Maria i Magdalena, Kraków, 1978.
Samozwaniec M., Zalotnica niebieska, Kraków, 1973.
Szatkowska A., Był dom... wspomnienia, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 2006.
K. Szymanowski K.: Listy Zofii Kossak do Emila Zegadłowicza, „Życie i Myśl", 1969, nr 11-12, 1969.
Zofia Kossak na emigracji. Oprac. M. Pałaszewska, Warszawa, 1998.
Zwyczajna świętość. Wspomnienia o Zofii Kossak. Wstęp, opracowanie, wybór tekstów K. Heska – Kwaśniewicz, Katowice – Cieszyn, 1997.

***

Borucki M. Polskie gniazda literackie, Sport i Turystyka – MUZA SA, Warszawa, 2009.
Dzieje Skoczowa od zarania do współczesności, Skoczów, 1993.
Gustaw Morcinek w 70-lecie urodzin, Wydawnictwo „Śląsk", Katowice, 1961.
Morcinek G., Ziemia Cieszyńska, Wydawnictwo „Śląsk", Katowice, 1968.
Rosner E., Cieszyńskie okruchy literackie, Cieszyn, 1983.
Rosner E., Podróże artystyczne na Śląsk Cieszyński, Kalendarz Cieszyński, 1993.
Sołtysik M., Piękni szaleńcy, czyli sztuka skandalem podszyta, Świat Książki, Warszawa, 2006.
Warneńska M., Orkanowe ścieżki, W: Śladami pisarzy, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1962.
Zahradnik S., Ostatnia podróż Henryka Sienkiewicza, „Głos Ludu", 1999.

SPIS TREŚCI

NA NOWO ODCZYTANE 3
MARIA KONOPNICKA *Kto kocha człowieka – ułomność kocha* 5
BOLESŁAW PRUS *Wracam do siebie* 22
WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT *Byłem już bliski końca* 42
JULIAN PRZYBOŚ *Miasto jak kamień rzuciłem za siebie* 47
ZOFIA KOSSAK *Tu przeżyłam nową młodość i nową miłość* 68
ZAKOŃCZENIE 90
INDEKS OSÓB 91
BIBLIOGRAFIA 93

Nr 42

Ogólnego zbioru Nr 3,[illegible]
Wydawnictwa rok 51

15 października 1910

TYGODNIK ILLUSTROWANY

Ś. P. MARYA KONOPNICKA.

Ulewa, dzwonie, słowej Pani,
grzmij w słońca grodu,
Nad Ukrainą się rozbudzysz,
Jak serca narodu!
Jak na krzyczy tępo kołatanie,
przy dębowem oknie,
Zapomniał głos podania,
co Pta nad Krakowem!

Poleciały dźwięki ciekawe
na pola, na Tatry,
Na karpackie zbrzyną górne,
elegijne kochany,
U ołtarzyki katedralnej
Wśród Świętej Anny,
Rozbudziły stare echa
gładkiej Marysi Pani!

Ta, co była dzieci polskiej
w ciała grzmiącym dzwonem!
Ta, co była polnym kwiatem
nad polskim zapomnel
Ta, co była jasną gwiazdą
na tem polskim niebie –
Ziemia nasza, ziemia polska,
pożegnała ciebie!

Strona tytułowa „Tygodnika Ilustrowanego" z 15 października 1910 roku,
który poinformował o śmierci Marii Konopnickiej

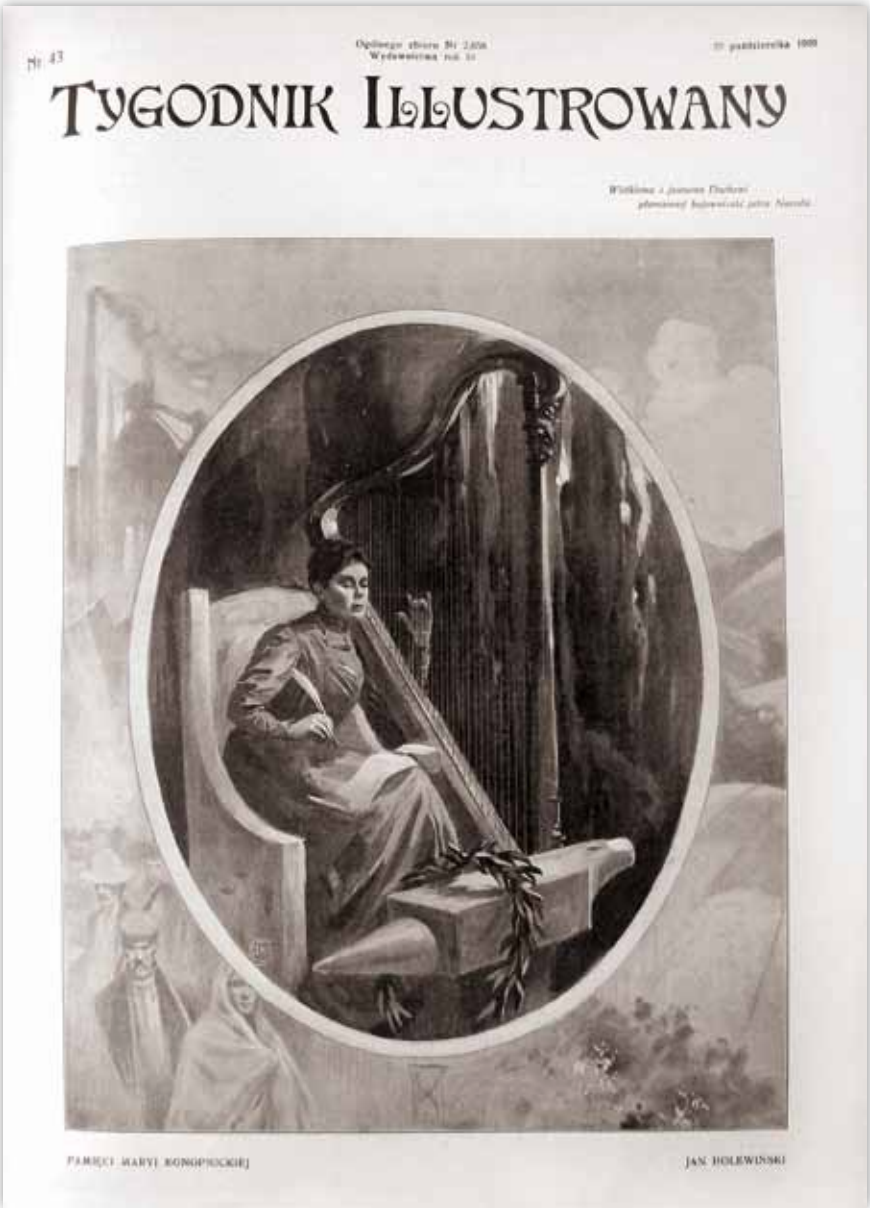

Strona tytułowa „Tygodnika Ilustrowanego" z 22 października 1910 roku, poświęconego pamięci Marii Konopnickiej

Widok Wisły (fot. ze zbiorów Muzeum Beskidzkiego w Wiśle)

Willa Placówka (fot. ze zbiorów Muzeum Beskidzkiego w Wiśle)

Willa Zofiówka (z lewej)
(fot. ze zbiorów Muzeum Beskidzkiego w Wiśle)

Julian Ochorowicz w Ojcowie (fot. ze zbiorów Muzeum Beskidzkiego w Wiśle)

Julian Ochorowicz w wiślańskiej pracowni na Dzielnicach
(fot. ze zbiorów Muzeum Beskidzkiego w Wiśle)

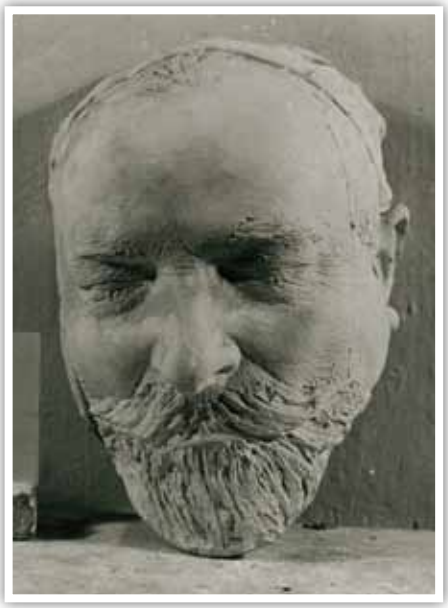

Maska pośmiertna Juliana Ochorowicza
(ze zbiorów Muzeum Beskidzkiego w Wiśle)

„Ochorowiczówka" w Wiśle

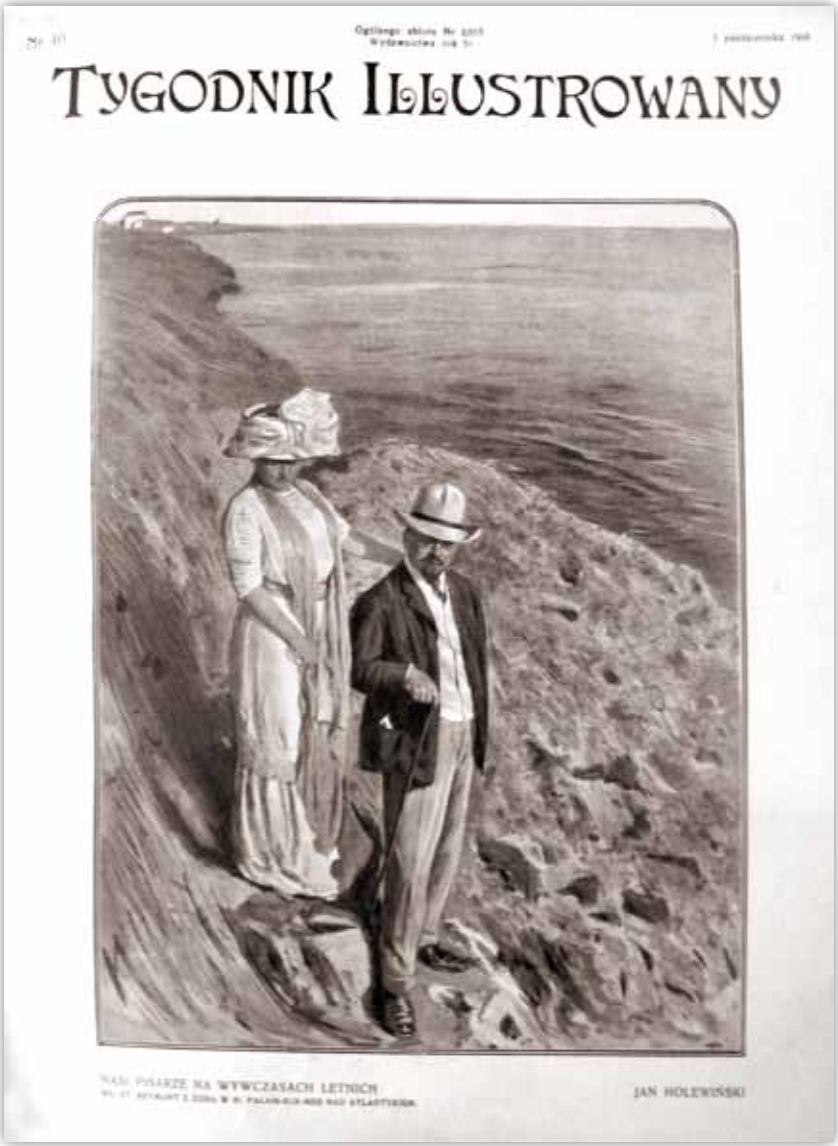

Władysław Stanisław Reymont z żoną „na wywczasach letnich" nad Atlantykiem – ilustracja zamieszczona w „Tygodniku Ilustrowanym" z 2 lipca 1910 r.

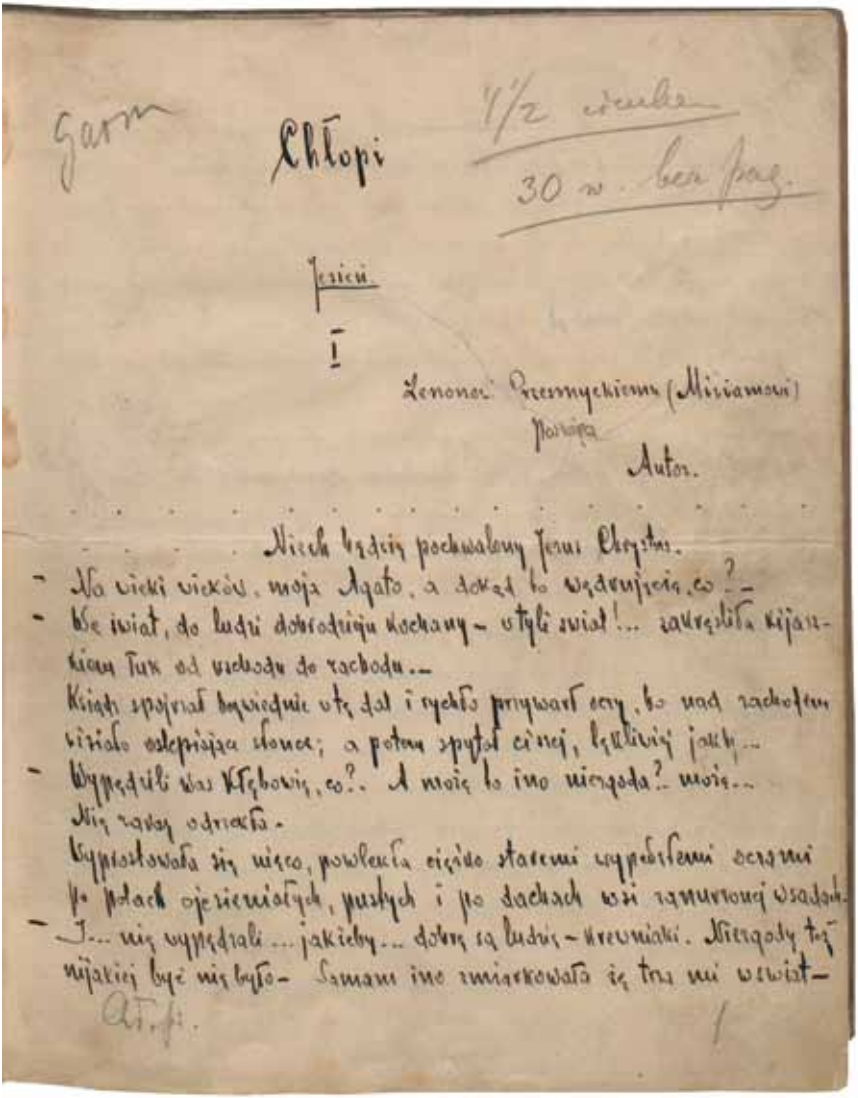

Chłopi

Jesień

I

Leonowi Przemyckiemu (Miriamowi)
Poniżej
Autor.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
– No wieki wieków, moja Agato, a dokąd to wędrujecie, co? –
– We świat, do ludzi dobrodziju kochany – ułyli świat!... zawrzeszczała kijaszkiem tak od wschodu do zachodu...
Ksiądz spojrzał bywiednie w tę dal i rychło przywarł oczy, bo nad zachodem siziało ostępiejące słońce; a potem spytał ciszej, łagodniej jakby...
– Wypędzili was Kłębowie, co?.. A moje to ino nierządza?.. moje...
Nie zaczęły odrzekła.
Wyprostowała się nieco, powlekła ciężko starczemi wypadłemi oczami po polach ojcierzystych, pustych i po dachach wsi zamurowanej wsadach.
– J... nie wypędzali... jakieby... dobre są ludzie – kreśniaki. Nierządy też nijakiej być nie było – Samam ino zmiarkowała się tra nie wczwiat –

Strona rękopisu pierwszego tomu „Chłopów" W. S. Reymonta
(ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie)

Julian Przyboś – Cieszyn 1928 r.
(ze zbiorów Muzeum Literatury w Warszawie)

Julian Przyboś – Cieszyn ok. 1930 r.
(ze zbiorów Muzeum Literatury w Warszawie)

Julian i Bronisława Przybosiowie – Zakopane 1935 r.
(ze zbiorów Muzeum Literatury w Warszawie)

Julian Przyboś z Jerzym Skotnicą i Bronisławą
w Tatrach – Zakopane 1935 r.
(ze zbiorów Muzeum Literatury w Warszawie)

Julian Przyboś jako nauczyciel gimnazjum w Cieszynie ze swoimi uczniami
– lata dwudzieste XX wieku (ze zborów Muzeum Literatury w Warszawie)

Julian Przyboś z żoną Bronisławą – Cieszyn 1932 r. (ze zbiorów Muzeum Literatury w Warszawie)

Grób Marzeny i Lidy na cmentarzu w Zakopanem

Dom przy ulicy Górny Rynek w Cieszynie, w którym mieszkał Julian Przyboś

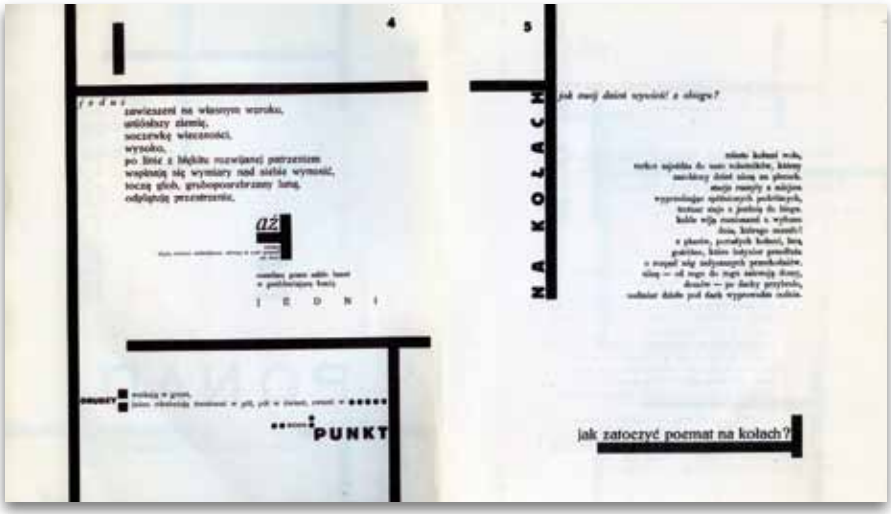

Strony reprintu tomiku poetyckiego Juliana Przybosia pt. „Z ponad" wydanego w Cieszynie.

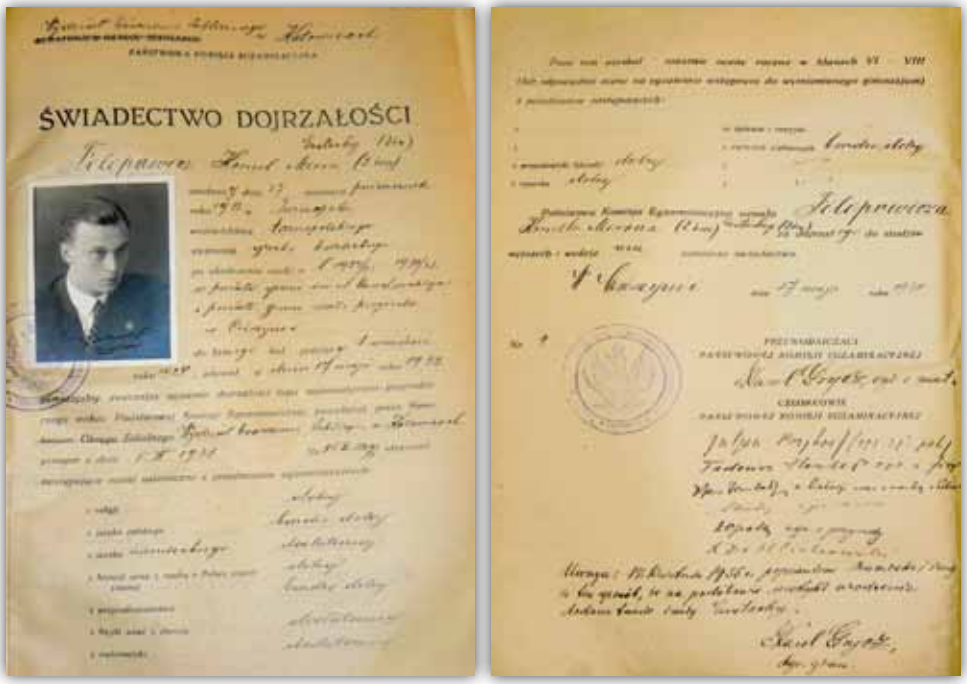

Świadectwo maturalne Kornela Filipowicza – wychowanka Juliana Przybosia
(ze zbiorów archiwum Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. M. Kopernika)

Podpis Juliana Przybosia na świadectwie maturalnym
(ze zbiorów archiwum Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. M. Kopernika)

Rodzina Zofii Kossak i ich goście przed dworem w Górkach Wielkich w 1932 roku.
(Tadeusz Kossak, Gustaw Morcinek, Zofia Wańkowiczowa, Zofia Kossak z córką, Anna Kossakowa,
Maria i Krystyna Wańkowiczówny i Witold Szatkowski

Zofia Kossak i Gustaw Morcinek przed dworem w Górkach Wielkich – fot z lat trzydziestych XX wieku
(ze zbiorów prywatnych)

Ruiny dworu Kossaków w Górkach Wielkich

Zofia Kossak przy biurku w gabinecie domku ogrodnika
(ze zbiorów Muzeum Zofii Kossak–Szatkowskiej w Górkach Wielkich)

Domek ogrodnika – ostatni dom Zofii Kossak